

NANNGA PARBAT

ŚNIEG, KŁAMSTWA I GÓRA DO WYZWOLENIA

Dominik Szczepański, Piotr Tomza



NANGA PARBAT

ŚNIEG, KŁAMSTWA I GÓRA DO WYZWOLENIA

Dominik **Szczepański**, Piotr **Tomza**

REDAKCJA: **Wojciech Fusek**
KOREKTA: **Jacek Bławdziewicz**
PROJEKT GRAFICZNY OKŁADKI: **Ula Pągowska**
ZDJĘCIE NA OKŁADCE: **Marek Klonowski**
ZDJĘCIA: **Michał Dzikowski** (część „Strona RUPAL”); **Adam Bielecki Team** (część „Strona DIAMAR”)
FOTOEDYCJA: **Rafał Szczepankowski**
OPRACOWANIE GRAFICZNE: **Elżbieta Wastkowska**
PRZYGOTOWANIE ZDJĘĆ DO DRUKU: **Zuzanna Waligórska**



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
www.wydawnictwoagora.pl

WYDAWNICTWO KSIĄŻKOWE:
DYREKTOR WYDAWNICZY: **Małgorzata Skowrońska**
REDAKTOR NACZELNY: **Paweł Goźliński**
KOORDYNACJA PROJEKTU: **Katarzyna Kubicka**

© copyright by **Dominik Szczepański & Piotr Tomza 2016**
© copyright by **AGORA SA 2016**

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
WARSZAWA 2016
ISBN 978-83-268-1886-8 (epub), 978-83-268-1887-5 (mobi)



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI

Wstęp

Bohaterowie książki

Strona Rupal • Piotr Tomza

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Fotografie

Strona Diamir • Dominik Szczepański

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Rozdział XXIV

Fotografie

Szczyt

Zejsście

Podziękowania

Playlisty

Przypisy

*Wszyscy leżymy w rynsztoku,
ale niektórzy z nas patrzą w gwiazdy*
Oscar Wilde

– *Chyba w zimie to niemożliwe?*
– *Myślę, że możliwe, jeżeli ma się szczęście.*
Jak przy wszystkich zimowych podróżach
Ursula K. Le Guin, Lewa ręka ciemności,
tłum. Lech Jęczmyk, Warszawa 1995, s. 195

WSTĘP

Taka zima pod Nangą już się nie powtórzy. Wyjadacze i nowicjusze. Profesjoniści i amatorzy. Idealiści i pragmatycy. Wszyscy w jednym czasie i miejscu, z jedną myślą w głowie.

Dziwna to była zima.

Nanga Parbat – 8126 metrów nad poziomem morza. To na tej górze blisko pół wieku temu Reinhold Messner stracił brata lub, jak twierdzą inni, poświęcił jego życie, by przejść do historii. To tu Hermann Buhl, pierwszy zdobywca szczytu, w 1953 roku wspinał się na wierzchołek na amfetaminowym speedzie. Tutaj 19 lat wcześniej, podczas ekspedycji, nad bazą której powiewała nazistowska flaga, w kilka tygodni śmierć poniosło aż dziesięć osób, w tym lider wyprawy, Willy Merkl. Adolfowi Schlagintweitowi, który w połowie XIX wieku jako pierwszy opisał Nangę i przekazał o niej relację do Europy, ucięto głowę.

Nie ma miejsca, gdzie kontrowersje i ciemne strony himalaizmu byłoby widać lepiej.

Ponura góra, rzucająca głęboki cień na dolinę Diamir, jest równie straszna co piękna. Są tacy, którzy powiedzą, że najpiękniejsza w Himalajach. Samotna i potężna, osłania przed wiatrem skąpaną przez cały dzień w słońcu, narkotycznie zieloną latem dolinę Rupal, wznosząc się ponad nią na niewyobrażalne cztery i pół kilometra w pionie. Podnieca, prowokuje i daje śnić sen o wolności. Podobno zamieszkują ją wróżki.

Rupal i Diamir. Jasność i ciemność. Prawda i fałsz. Wszystko naraz. Jak w iluzji.

* * *

Nie pamiętam, gdzie to się wydarzyło.

Mogliśmy leżeć i rozmawiać o śmierci w zimnym pokoju w Tarashing. Kilka godzin wcześniej zrobiłem zdjęcie, na którym szczyt Nanga Parbat wygląda, jakby pluł chmurami. Od strony Rupal cielsko góry jest potężne, odwrócone plecami pełnymi kamiennych narośli. Jakby Nanga wygrzewała je w słońcu, którego brakuje po stronie Diamir. Tam jest jej twarz, chyba ładniejsza strona, do której wiodą ciasne wąwozy. W dolinie Diamir jest ciemno, a w dolinie Rupal jasno. W pierwszej wszystko skrywa cień, w drugiej rzeczy wydają się bardziej prawdziwe. Ale może to tylko iluzja?

Mogliśmy też leżeć w cieplejszym pokoju w Astore, kilka godzin drogi jeepem od Tarashing, skąd góry już nie widać.

Dziwne, ale nie pamiętam, gdzie padły najbardziej poruszające słowa tej zimy, w której wspinacze chcieli wejść na niezdobytą o tej porze roku ośmiotysięcznik, a my pragnęliśmy to opisać. Oni walczyli z trzaskającym zimnem, my próbowaliśmy znaleźć prawdę, ale ta się rozmywała, przeciekała między palcami.

Słowa padły, gdy było już ciemno i po kolacji staraliśmy się rozgrzać w śpiworach. Spałem w pokoju z Pawłem. Zaczęło się niewinnie, bo od rozmowy o K2, książkach

górkich i jeźdzeniu stopem. Dunaj jest czystą energią, urodzonym optymistą. Dopiero co spędził z przyjaciółmi – to w tej opowieści ważne słowo – dwa i pół miesiąca w Himalajach, a już zaczął mówić, że po powrocie mają dziesięć miesięcy, by przygotować kolejną wyprawę. Oczywiście jeśli ktoś nie wejdzie w tym czasie na szczyt Nanga Parbat, spod którego wracaliśmy powoli do Polski.

– Wtedy na pewno uda się nam za rok, nie ma opcji, żebyśmy już na nią nie weszli – mówił i wiercił się w łóżku.

Nagadaliśmy się, pauzy robiły się coraz dłuższe. Nadchodził sen.

I wtedy Paweł powiedział, że umrze w górach. Wyobrażam sobie, bo było zbyt ciemno, by dojrzeć jego sylwetkę, że zrobił to z uśmiechem. Przynajmniej tak brzmiał. Mówił powoli.

– Za dużo czytam książek, zbyt wiele znam historii i statystyk. Tak po prostu musi być i godzę się na to – powiedział.

Trochę jak Kukuczka, który w *Moim pionowym świecie* godził się na wiatry tygodniami bijące w ściany namiotów i doprowadzające go do granicy szaleństwa. Na drogi prowadzone na granicy wytrzymałości. Na walkę ze wszystkimi niebezpieczeństwami. „Nagroda, którą otrzymuję za te trudy, jest niebotycznie wielka. Jest nią radość życia” – pisał Kukuczka.

Paweł powiedział więcej i ta zima stała się jeszcze dziwniejsza.

BOHATEROWIE KSIĄŻKI

STRONA RUPAL

ZESPÓŁ NANGA DREAM – JUSTICE FOR ALL

Marek Klonowski – Lider wyprawy. Z Gryfina. Przyszły premier. O prądzie wie wszystko. Kręci i montuje energetyczne filmy i teledyski. Przejechał stopem Amerykę Północną, wszedł na Denali oraz Mount Logan. Pod Nangą po raz piąty.

Michał Dzikowski (Dziku) – Fotograf, nurek, artysta życia. Nigdy nie rozstaje się z przynajmniej jednym ze swoich trzech aparatów. Pod Nangą po raz drugi. By wyjechać w tym roku, rzucił pracę w korporacji.

Paweł Dunaj (Pablo) – Najmłodszy z czterech braci. Pod Nangą po raz drugi. Za pierwszym razem zabrała go z niej lawina. Zleciał 1200 metrów. Prawie zginął. Nie przeklina. Przed wyjściem w góry starannie się myje i pierze.

Paweł Witkowski (Kudłaty) – Weganin z burzą dredów, miłośnik reggae. Reporter samozwańczej telewizji Giewont TV. Od dziecka nie widzi na jedno oko. Po raz pierwszy w górach wysokich.

Tomasz Dziobkowski (Dziubas) – Z Gryfina. Źle sypia na wysokości. Ma szczęście do lawin. Mechanik, rozwodnik i wieczny student. Pod Nangą po raz pierwszy.

Paweł Kudła (Strażak) – Najmłodszy Polak w ekipie. Pierwszy raz w Himalajach. Strażak z urodzenia, wychowania i powołania. Nie zraża go nawet to, że zamiast ratować ludzi, częściej gasi ścierniska.

* * *

Abbas Ali – Z Tarashing. Oficer łącznikowy wyprawy. Guide. Człowiek od wszystkiego. W dolinie Rupal zna każdego.

Szabir – Z Tarashing. Kucharz wyprawy. Szczęśliwie, bo z wzajemnością, zakochany w Anili.

Manaf – Z Tarashing. Asystent Szabira. Ojciec siedmiorga dzieci. W wolnych chwilach – muezin. Kiedy potrzeba – fryzjer.

STRONA DIAMIR

ZESPÓŁ I

Adam Bielecki – Pierwszy zimowy zdobywca Broad Peak i Gaszerbrum I. Nie rozstaje się z żółto-zielono-czerwoną czapką. Wyjeżdżając na Nangę, zapowiadał wejście na szczyt w rewolucyjnym stylu. Z wykształcenia psycholog.

Jacek Czech – Partner Bieleckiego i jego pierwszy instruktor. Do rany przyłóż. Mocno wierzący. Nie przeklina.

ZESPÓŁ II

Simone Moro – Włoch. Przed wyjazdem na Nangę wszedł zimą jako pierwszy w historii na trzy ośmiotysięczniki. Sponsorowany przez duże marki. Obecnie najbardziej medialny zimowy himalaista na świecie. Z zawodu bibliotekarz.

Tamara Lunger – Włoszka. Wysoka skialpinistka. Wiecznie uśmiechnięta. O 20 lat młodsza od Moro. Wierzy w przeznaczenie, nie znosi kontroli.

ZESPÓŁ III

Alex Trikon – Bask. Biega po górach, startuje w zawodach drwali. W zimie 2014/2015 roku był blisko wejścia na szczyt Nangi. Do bazy przyjechał z dziewczyną i menedżerką Igone.

Daniele Nardi – Włoch. Łatwo z nim złapać kontakt. W bazie słucha mów motywacyjnych. To jego czwarta zimowa wyprawa na Nanga Parbat. Wierzy, że ludzie są małymi bogami.

Muhammad Ali „Sadpara” – Zaczynał jako tragarz, obecnie najlepszy himalaista w Pakistanie. W bazie był łącznikiem między Trikonem a Nardim. Silny i pewny siebie. Pracował jako kamieniarz.

ZESPÓŁ IV

Tomasz Mackiewicz – Szósty raz pod Nanga Parbat. Jedna z najbarwniejszych postaci światowego himalaizmu. Były narkoman. Wiecznie w długach. Wierzący, że świat da się naprawić, ale najpierw trzeba wygrać z konsumpcjonizmem.

Elisabeth Revol – Mała, szybka, świetnie przygotowana fizycznie. Była gimnastyczka. Bardzo uprzejma.

* * *

Mir Ghani – Nauczyciel wielu przedmiotów w Sar, wiosce oddalonej o dzień drogi od Nanga Parbat. Opiekun wypraw.

Atta Ullah – Brat Mir Ghaniego. Opiekun wypraw.

**STRONA
RUPAL**



Lattabo, dolina Rupal

ROZDZIAŁ I

środa, 13 stycznia 2016 roku

– Góra mnie wzywa – powiedział.

„To znaczy co?” – pomyślałem, ale nie zdążyłem spytać, bo Marek złapał za leżący na ziemi pogrzebacz i go podniósł. Odsunąłem się, miejsca nie było wiele, wolałem nie ryzykować.

– To jest grań Mazeno – pokazał na dłuższą część zagiętego pręta. – A to jest nasza grań.

Skupiłem uwagę na krótszym końcu. W żeliwnym piecyku, którego obaj prawie dotykaliśmy kolanami, skwierczało aż miło (gdy spojrzano się nań z góry, wyglądał jak ósemka albo, jeszcze lepiej, symbol nieskończoności – wystarczyło podnieść dekiel, żeby zajrzeć do środka). W izbie unosił się słodko-gryzący zapach ogniska. Dziku powie mi później, że to „zapach Lattabo”, że będę go czuł jeszcze długo po powrocie do Polski i że będzie mi przypominał wszystko, co się tu wydarzyło. Ale ja przyjechałem przecież dopiero przedwczoraj.

– Jak na razie dotarliśmy dotąd – miejsce, które wskazał Marek na pogrzebacz, było dość odległe od zagięcia, ale nie przysłoby mi do głowy, że to aż kilometr w pionie. – Znaleźliśmy lodową jamę na grani, na wysokości 6000 metrów, założyliśmy w niej obóz II i stamtąd działamy dalej. Do Mazeno Pass na siedmiu kołach mamy jakieś cztery kilometry w poziomie. Przy dobrych warunkach dwa dni i od pewnego momentu prawie żadnych trudności technicznych, tylko wiatr, zimno oraz wysokość. Ale najpierw musimy się wspiąć jeszcze 200–300 metrów i pokonać garb.

Poczułem, że robi się chłodniej. Ogień przygasł. Trzeba było dorzucić drewna i rozgrzać żar, więc rekwizyt powrócił do swojej pierwotnej funkcji. Nad piecem, na rozciągniętych pod sufitem sznurkach, suszyły się skarpetki, buty i rękawice, a z wpuszczonej w ścianę półki po prawej spoglądała na nas maska Guya Fawkesa.

– To jaki macie plan? Co dalej? – spytałem.

– Odpowiedź jest bardzo prosta. Od samego początku plan mamy jeden: idziemy do góry! Nigdy nie było innego.

* * *

Marek Klonowski, kierownik zimowej ekspedycji „Nanga Dream 2015/16 – Justice for All”, ma 37 lat i jest tutaj po raz piąty. Tutaj, czyli pod Nanga Parbat. A po tej stronie uchwytu pogrzebacza – w dolinie Rupal – po raz trzeci.

Ma zmierzwiłone, ciemnoblond włosy, wystające czasem spod spłowiełej bejsbolówki z logo Auburn University, która kiedyś musiała być czarnopomarańczowa, trzy wyraźne, poziome bruzdy na czole, niewielki zarost i uważne spojrzenie odrobinę skośnych oczu. Niekiedy sprawia wrażenie, że jest myślami zupełnie gdzieś indziej, prawie zawsze – że robi dokładnie to, co powinien. Oprócz gór

drugą jego wielką pasją jest elektryczność.

– Wierzę w wyzwolenie ludzkości. Uwalniając energię elektryczną i czyniąc z niej dobro powszechne, uniezależnimy się od korporacji. W ten sposób walczę z systemem, Nanga Dream to przygotowanie do kampanii wolności.

Klonowski trafił pod Nangę przed pięcioma laty. To był szalony pomysł – na przyjaźń, realizację marzeń i wyczyn. A przy tym – być może najbardziej śmiałe przedsięwzięcie podróźnicze ostatnich lat. Dwóch facetów, jedna góra, zima. Himalaje! Kwintesencja punkowego podejścia do eksploracji. Wszystko na opak, pod prąd, wbrew schematom.

Ten drugi facet to Tomek Mackiewicz – Czapa. Czapkins. Byli zuchwali.

Zapytałem ich kiedyś: – Czy już za pierwszym razem jechaliście tam z przekonaniem, że wam się uda? Że we dwóch, prawie prosto z samolotu, niosąc niemal wszystko na plecach, z pomocą ledwie dwójki porterów, jako pierwsi ludzie w historii zdobędziecie zimą Nanga Parbat?

– Oczywiście, że tak! Mieliśmy aż taką fantazję. Jasne, dziś już wiem, że ten wyjazd nie miał najmniejszych szans powodzenia, ale musieliśmy się o tym przekonać na własnej skórze.

To była zima 2010/2011, styczeń. Wzięli urlopy z roboty, kupili trochę używanego sprzętu na aukcjach w internecie, coś tam pożyczycy i pojechali. Mało kto wiedział, że na jednym z pięciu – wówczas – niezdobytych zimą ośmiotysięczników, na którym połamało sobie zęby kilkanaście wypraw, działa dwóch Polaków. W środowisku wspinaczkowym prawie nikt o nich nie słyszał, a już na pewno nie brał na poważnie.

Kilka miesięcy wcześniej napisali do Artura Hajzera, który w latach 80. ubiegłego wieku wspinał się z Jerzym Kukuczką (wspólnie weszli m.in. jako pierwsi zimą na Annapurnę) czy Reinholdem Messnerem, a teraz zarządzał programem „Polski Himalaizm Zimowy 2010–2015”. PHZ, dysponując wsparciem Ministerstwa Sportu i Turystyki oraz dużym budżetem, miał przywrócić polskiemu wspinaniu blask „złotej ery” – dekady, podczas której to Polacy byli najsilniejszą nacją w najwyższych górach świata.

Hajzer odpisał:

Zdecydowanie radzę:

- *ukończyć kurs tatrzański zimowy (wcześniej letni i samodzielny sezon letni tatrzański)*
- *zaliczyć 2 samodzielne sezony zimowe w Tatrach – po 5 dróg min. V stopnia min. 400 m*
- *pojechać na ośmiotysięcznik w sezonie niezimowym, wcześniej najlepiej w Pamir na ponad 7000*
- *potem dopiero myśleć o himalaizmie zimowym*

Nie posłuchali.

– Mieliśmy takie a nie inne środki i znaleźliśmy tylko jeden sposób podejścia: wbijanie się z namiotem do przodu. Namiot bazowy? Zapomnij! Styl alpejski, wersja *extreme*: wysiadasz z autobusu i idziesz z plecakiem do góry.

8 stycznia 2011 roku Nanga pozwoliła im na siebie spojrzeć po raz pierwszy.

Na chwilę wyłoniła się zza chmur.

– Bogini – powiedział Marek.

I to było właściwie na tyle.

– Włożyliśmy wtedy dużo wysiłku, pomarziśmy, doszliśmy do kuluaru, całego w lodzie, i zdecydowaliśmy się wycofać. Poczuliśmy tę zimę i nam się spodobało. Schodząc, podjęliśmy decyzję, że wracamy za rok.

Być może przeczuwali już, że na jednym powrocie się nie skończy. I że to nie jest kwestia decyzji.

Na filmie, który Marek nagrał podczas tamtego wyjazdu, grupka dzieci z wioski Sar w dolinie Diamir, powtarzając za Klonowskim, wykrzykuje do kamery:

– Pokój! Miłość! Muzyka!

Raczej nie rozumieją, co to znaczy, ale wyglądają, jakby doskonale wiedziały, że coś dobrego.

* * *

Prawie rok później, w sylwestra 2011, idący z wielkim plecakiem w górę doliny Diamir Tomek Mackiewicz spotkał Simone Moro. Włoch, jeden z najbardziej rozpoznawalnych na świecie współczesnych himalaistów, mający wówczas w dorobku m.in. pierwsze zimowe wejścia na Sziszapangmę, Makalu i Gaszerbrum II, rozpoczynał właśnie, wspólnie z Denisem Urubką i swoim rodakiem Matteo Zangą, świetnie przygotowaną i zabezpieczoną logistycznie wyprawę sponsorowaną przez koncern The North Face. Jedną z ostatnich rzeczy, jakich mógł się spodziewać, było to, że pod Nangą zostanie małomównego gościa, który będzie biwakował nieopodal w małym namiocie.

Pogadali chwilę o pogodzie. Że jest całkiem niezła.

Dziesięć dni później do Mackiewicza dołączyli Klonowski i towarzyszący im podczas tamtej wyprawy Łukasz Biernacki – Krzaq. Czapa tak o tym opowiadał:

– Dopiero jak chłopaki przynieśli resztę rzeczy, postaviliśmy namiot bazowy i zaczęło się robić poważnie. W środku zamontowaliśmy piecyk. Na dole znalazłem blaszaną puszkę, podziurawiliśmy ją czekaniem, stała na kuchence. Można było się przy tym zagrzać, jak przy kominku.

Zainstalowali też maszt z turbiną wiatrową.

Pomiędzy pojawiającymi się w mediach doniesieniami z wyprawy Moro oraz Urubki zaczęły się przebijać informacje, że międzynarodowa zimowa ekspedycja na Nangę nie jest w sezonie 2011/2012 jedyną, która działa w tamtym rejonie. W relacjach o Polakach dominował jednak ton niedowierzania.

Faktycznie Klon, Czapa i Krzaq doszli do wysokości zaledwie 5500 metrów. Ale profesjonaliści też nie osiągnęli dużo więcej. Moro z Urubką wycofali się z 6800.

* * *

Trzeciej odsłony „Nanga Dream – Justice for All” media nie mogły już jednak zignorować. Zwłaszcza społecznościowe. Bo tym razem, znów bez instytucjonalnego wsparcia, z trudem dopinając budżet, wyprzedając się i zadłużając, Klonowski

i Mackiewicz^[1] osiągnęli zimą na Nandze więcej, niż udało się komukolwiek od czasu kierowanej przez Andrzeja Zawadę wyprawy z sezonu 1996/1997. Czapa, w ostatniej fazie działając sam, dotarł drogą Hannsa Schella po stronie Rupal na wysokość 7400 metrów. Wyżej od niego zimą byli tam wcześniej tylko Zbigniew Trzmiel i Krzysztof Pankiewicz, którzy wspinali się drogą Kinshofera, po drugiej stronie góry.

Po powrocie Klonowski zmontował teledysk, podkładając swoje filmy i zdjęcia pod utwór *Na szczycie* ze słowami i muzyką GrubSona.

– Pomysł miałem już wcześniej, wcześniej też segregowałem materiał, ale sam montaż zajął mi godzinę. Usiadłem przed komputerem i film po prostu powstał.

Portal Wspinanie.pl napisał: „Jeżeli ktoś myślał, że nie da się ciekawie pokazać wyprawy himalajskiej, to produkcja relacjonująca zmagania Marka Klonowskiego i Tomka Mackiewicza na Nanga Parbat powinna przekonać go, że się mylił”.

Klip stał się hitem internetu (do dzisiaj miał na YouTube ponad 400 tysięcy odsłon, a można go też obejrzeć na Vimeo).

Zaczęły się wywiady, relacje na portalach, o Nanga Dream zrobiło się głośno. Ta historia odpowiadała na drzemającą w wielu ludziach tęsknotę – za tym, że inny, bardziej sprawiedliwy świat jest możliwy. Dwóch chłopaków, bez pieniędzy i bez zaplecza, za to z pasją i wiarą, że to, co robią, jest ważne i wartościowe, rzuca wyzwanie światu i sprawia, że otoczenie zaczyna się dostosowywać do nich.

Czy to nie piękne? Któż by się oparł?

Dzięki zorganizowanej w internecie społecznościowej zbiórce pieniędzy przed czwartą odsłoną Nanga Dream (po raz drugi zdecydowali się na flankę Rupal) wreszcie udało im się zgromadzić w miarę sensowny budżet. Pojawili się też sponsorzy, a do składu wyprawy dołączył doświadczony himalaista Jacek Teler (wspinał się między innymi na Evereście i K2 oraz zdobył Broad Peak; był także w zimie pod Nangą, od strony Diamir). Ekipę uzupełnili Paweł Dunaj, Michał Dzikowski i Michał Obrycki.

Wydawało się, że wszystko idzie w jak najlepszym kierunku. Tyle że Nanga przestała być już tylko ich prywatną sprawą. Ludzie śledzili postępy, byli ciekawi.

– W nas nic się nie zmienia – mówił przed wyjazdem Czapa. Okazało się jednak, że to była ostatnia wspólna wyprawa jego i Marka. Teraz, dwa lata później, Klonowski był tutaj, a Mackiewicz po drugiej stronie góry – znowu w dolinie Diamir.

* * *

Zbite z desek i opakowane folią drzwi wejściowe, na których zewnętrznej stronie, izolowanej rozciąętym workiem jutowym, ktoś powiesił plakat z *pin-up girl* (taką z lat 50.; na dzisiejsze standardy ubraną dość skromnie), otwały się i wszedł Dziubas. Poznałem go wczoraj tuż po tym, jak o mały włos nie zginął w lawinie.

Kiedy Abbas przyprowadził mnie tu dwa dni temu z Tarashing, w Lattabo – prócz kilku miejscowych pasterzy, pakistańskich policjantów i Szabira oraz Manafa – przywitali mnie tylko Strażak i Dziku. Rozejrzałem się po okolicy i powiedziałem im, wtedy jeszcze nieco na wyrost, że to miejsce bez trudu radzi sobie z tym, by sprostać swojej legendzie.

Co chwilę łapałem się na tym, że robię coś po raz pierwszy w życiu. Pierwszy raz

szedłem przez lodowiec, pierwszy raz patrzyłem z bliska na ośmiotysięcznik, pierwszy raz rozmawiałem przez radio. Po tym, jak nagle przerwało nam połączenie, Marek wyjaśnił: – Prawdopodobnie gadałem dłużej niż minutę. Wtedy radyjko się wyłącza, bo te pięć watów mocy przypala ostro w mózg i grzeją mi się oczy. Ale to nic, przynajmniej jest ciepło.

Wdrapując się na morenę lodowca Bazhin, zastanawiałem się, kiedy byłem ostatnio na zimowej wycieczce w górach. To musiał być rok 2011, jeszcze przed narodzinami mojego syna. Rozłożony na dwa dni trawers Babiej Góry z zejściem przez Gówniaka, potem pięć lat przerwy i znalazłem się tu, w Himalajach. O dziwo, teraz pogoda była o wiele lepsza.

Odsapnąłem już po sześciu godzinach marszu i myślałem, co robić dalej. W przeciwieństwie do pozostałych nie miałem planu.

– Może pójdziesz z nami do ABC? Przejdiesz się, prześpisz w namiocie, rano ruszymy do „jedyńki”, a ty sobie wrócisz. Zmarzniesz trochę, zobaczysz, jak to jest – zachęcał Dzik.

Wyszliśmy następnego dnia po obiedzie.

ABC, czyli wysunięty obóz bazowy, znajdował się na wysokości 4100 metrów, w dolnej części żlebu opadającego z grani. Trzy namioty schowane za skalnym załomem i trochę porozkładanego pomiędzy nimi szpeju. Z Lattabo – w zależności od tempa, sprawności, obciążenia i miejsca urodzenia – od 50 minut do dwóch godzin drogi. Najpierw na zachód, płasko, jedną z dziesiątek ścieżek wydeptanych w dolinie przez pasterzy, kozy i owce, a potem ostro w prawo, na północ, pół kilometra pod górę. Spacer, nawet dla kogoś mającego doświadczenie wyłącznie z Beskidów. Mimo to poczułem ulgę, gdy po półtoragodzinnym marszu w monotonnym, śnieżno-skalistym, szaro-białym krajobrazie pojawił się jaskrawopomarańczowy kontrpunkt. Ocenilem, że do celu został mi najwyżej kwadrans. Chłopaki były już dawno na miejscu. Oprócz sylwetek Dzika oraz Strażaka między namiotami dało się dostrzec jeszcze dwie postacie. Marek i Dziubas, po czterech nocach spędzonych na 6000 metrów w lodowej jamie na grani (nazywanej przez nich jaskinią Zębatego), zdecydowali się zejść do bazy. Zapas gazu, który mieli, był na wykończeniu (Marek: – Czterech chłopca pije trochę wody. Stopić tyle lodu to nie jest prosta sprawa), a do depozytu pozostawionego przez Pabla dwa lata temu jak na razie nie udało im się dotrzeć. W ABC zatrzymali się, żeby odpocząć. Wyglądało na to, że niebawem wszyscy się tam spotkamy. Była 16.

Spojrzałem w lewo. Środkiem żlebu, z budzącą respekt prędkością, sunęło w dół coś, czego jeszcze przed chwilą z pewnością tam nie było. Potężna biała chmura, ogromna pierzyna śniegu. Lawina. Stałem jak zaczarowany. Była piękna, a przy tym na tyle odległa, że nie czułem się zagrożony.

Pomarańczowe sylwetki w ABC poruszały się teraz znacznie szybciej niż poprzednio. Ktoś chyba coś do mnie machał, a może też krzyczał, ale nie byłem w stanie niczego zrozumieć. Od lawiny nadal dzieliło mnie nie mniej niż kilkaset metrów, poza tym miała do pokonania zakręt, a ja znajdowałem się za załomem, postanowiłem jednak na nią nie czekać. Ruszyłem w prawo, by w razie czego przytulić się do ściany żlebu, i ku zaskoczeniu odkryłem, jak wiele sił mi zostało. Pięć minut i witałem się z chłopakami przy namiotach.

Było po wszystkim.

Lawina straciła impet, chmura opadła, ale Dziku nadal chodził w tę i z powrotem.

– Słyszałeś? Wołaliśmy do ciebie, żebyś się schował. Ja pierdolę! Takie kamienie leciały.

Przywitałem się z Tomkiem. Widzieliśmy się pierwszy raz w życiu. Poczęstowałem go przywiezioną z Polski bombajką. Wiedziałem, że słodycze w górach zawsze są w cenie.

– Dziubas, wyście tamtędy szli pół godziny temu, tak?! – zapytał Dzik.

– No, nawet chyba mniej, z 20 minut, ła?

– O kurwa mać! Ale mieliście fuksa.

Następnego dnia, wchodząc energicznie do chaty, Dziubas nie wyglądał jednak na kogoś, kto narodził się po raz drugi. Zamknął drzwi i rozglądając się po izbie, zapytał:

– Jest tu miednica? Dawajcie. Zamówiłem u Manafa *garam pani*. Moje stopy zasługują na spa.

* * *

Dziubas, czyli Tomek Dziobkowski, jest o pół głowy wyższy i dwa lata młodszy od Marka. Obaj pochodzą z Gryfina, niewielkiego miasteczka w Zachodniopomorskiem. 20 tysięcy mieszkańców, trzy kilometry do granicy z Niemcami, 20 kilometrów do Szczecina. Rozlewiska, kanały, wyspy. Piękna kraina. Poznali się, gdy mieli po kilkanaście lat.

– Bawiliśmy się z chłopakami w hardkory. Wtedy to się nazywało wyczyn. Przejedziesz rowerem po zamrzniętym stawie? Przejadę! Lód miał dwie warstwy: cienką na górze, potem trochę wody i grubą na dole. Kołami musiałeś rozpruć tę górną. Jak przejechałeś, miałeś zaliczony wyczyn. A jak się wywaliteś, to pół wyczynu.

Obaj przychodzili do Międzyszkolnego Klubu Sportowego „Hermes” (który działa w Gryfinie do dzisiaj). Sekcję żeglarską prowadził Józef Figlarz, nauczyciel zajęć praktyczno-technicznych i życia.

– Przyłączyłem się do klubu, gdy byłem w drugiej klasie podstawówki. Spędziłem w nim co najmniej dziesięć lat, co weekend na przystani – wspominał Marek.

Figlarz zabierał ich na dwutygodniowe spływy i organizował obozy żeglarskie na Międzyodrze. Otwierał głowy kilkunastoletnim chłopakom i pokazywał im, że świat leży w zasięgu ich możliwości. Spali w namiotach wojskowych albo tam, gdzie popadnie – w trzcinach, a zdarzało się też, że i w łódkach. A kiedy spuszczał ich z oczu, włamywali się na teren stacji żeglarskiej w Gryfinie, gdzie przecież i tak – zupełnie słusznie – czuli się jak u siebie.

– Myśmy ją przejmowali na własność! Najlepsza zabawa była z wrzucaniem puszek z gazem do ogniska. ła! Jak miała na imię ta dziewczyna, co się jej spaliły włosy?

– Ewka. – Marek sięgnął na półkę po kostkę haszyszu kupioną półtora miesiąca temu w Besham, przy Karakoram Highway. Była wielkości mojego notesu (format A6). – Wiesz, zajęcioterapia się przydaje, zwłaszcza na pewnym etapie. Gdy weszły drągi, ja byłem już na maksa wkręcony w żeglarstwo. Pochłaniało mnie to. Więc nie, dziękuję – wołałem pójść pogrzebać przy łódkach.

Zajęcia z Józefem Figlarzem nauczyły ich również tego, że podróżowanie jest łatwe. Wystarczy uwolnić się od paraliżującego przesądu, że wszystko trzeba dokładnie przemyśleć i zaplanować.

Po szkole obaj wyjechali na studia – jeden do Gdyni, drugi do Szczecina. Na wuesemce (Wyższa Szkoła Morska, dawna nazwa Akademii Morskiej w Gdyni) Marek ukończył kierunek elektroautomatyka okrętowa (zainteresowania: jakość energii elektrycznej i generatory wiatrowe), a Dziubas wylądował na wydziale mechanicznym i formalnie wciąż jest studentem. Od tego czasu zdążył przepracować kilka lat jako mechanik na statkach, ożenił się i rozwiódł.

– Zacząłem zbyt często wyjeżdżać w góry – przyznaje.

Na rozwód do Szczecina przyjechał taksówką z Poznania, bo spóźnił mu się pociąg z Wrocławia. Nikt nie chciał go zabrać albo żądali fortuny. W końcu zlitował się kierowca z postoju przy dworcu. – Wsiadaj pan – powiedział. – Ja też po rozwodzie.

Teraz zarabia, instalując turbiny wiatrowe w Niemczech. Zdarza mu się też jeździć po Polsce i stawiać maszty służące do pomiaru prędkości wiatru. Przez wiele miesięcy robił to razem z Czapą, ale już nie współpracują.

– Halo, baza? Halo, baza?

Zakłócany przez szumy i trzaski głos Kudłatego dobiegł z radia przymocowanego do pionowej belki za stołem. W gęstwinie kolorowych kabli znalazłem czarny nadajnik.

– Słyszemy was. Co tam?

– Siema, bąble! No niestety, dopadła nas dzisiaj niemoc. Po pięciu nocach w jamie pan Zębaty wyssał z nas wszystkie siły. Mamy dosyć, schodzimy.

Popatrzyłem na Marka. Skończył skręcać jointa i okutany w ogromny, czerwony, puchowy śpiwór zabrał się za przeglądanie materiału wideo, który zarejestrował podczas niedawnego, już trzeciego tej zimy, wyjścia w górę. Z głośnika leciało Joy Division. Wyszedłem przed chatę. Termometr na ścianie pomiędzy drzwiami a kuchnią wskazywał minus dziewięć stopni Celsjusza. Od północy w stronę zabudowań zmierzało dwóch mężczyzn. Uginali się pod ciężarem niesionego drewna, sprytnie umocowanego w prowizorycznych plecakach wykonanych z kawałków starych lin wspinaczkowych.

* * *

Kiedy Pablo z Kudłatym wreszcie zeszli do bazy, od dawna było ciemno, a my zdążyliśmy już zapomnieć o tym, jak smakowała kolacja. Sądziłem, że po paru godzinach marszu (końcówka w świetle czołówek) będą wykończeni, zrzucą plecaki gdzie popadnie i zwiną się w śpiwory. Ale nie. Kudłaty, z promiennym uśmiechem, który nie schodził mu z twarzy, rozsiadł się za stołem, Pablo zaś cały zanurzył się w działaniu.

ROZDZIAŁ II

czwartek, 14 stycznia 2016 roku

Była siódma, kiedy Manaf otworzył drzwi i zajrzał do środka. Marek już nie spał, więc drobny, lekko zgarbiony Pakistańczyk o zamyślanej, obrysowanej zmarszczkami twarzy porozumiewawczym spojrzeniem wywołał go do kuchni. Poranki wyglądały tu zawsze tak samo. Chociaż Manaf znał tylko kilka słów po angielsku, Marek zaś jeszcze mniej w urdu i szina, pierwszy kwadrans dnia spędzali razem, pijąc kawę i rozmawiając o wszystkim i niczym.

Klonowski powie później, tuż przed powrotem: – Oni siedzą cały dzień na ulicach, obserwują, dla nich to nie jest problem. U nas, żeby posiedzieć na murku, musisz mieć nastrój i najlepiej, żeby jeszcze ptaki śpiewały. A oni potrafią taki stan osiągnąć wszędzie. Stan nieposzukiwania zmartwień.

Wygrzebałem się ze śpiwora. Założyłem ocieplane kalosze, kupione w Decathlonie za 50 złotych, i sięgnąłem po wiszącą na gwoździu, pożyczoną na ten wyjazd puchową kurtkę. Było zimno, ale decyzji o tym, żeby wyjść na zewnątrz, żałowałem tylko przez krótką chwilę. O tej porze najłatwiej dało się zrozumieć, skąd biorą się te wszystkie zachwyty nad Lattabo. Przy porannej toalecie mogłem wybierać: widok na złocistą, oblaną słońcem kumulację skał przed wierzchołkiem Nanga Parbat (z końcówką drogi Messnera z 1970 roku) – jakies, lekko licząc, cztery i pół kilometra pionowo w górę od czubka mojej zadartej głowy – albo na dwie, odcinające się na tle błękitnego nieba po przeciwnej stronie, wyjątkowo seksowne (również z nazwy) piramidy Shaigiri Peak i Laila Peak. Zdecydowałem się na Nangę. Było pięknie.

Myłem zęby i myślałem o tym, że Lattabo, położone mniej więcej w połowie długiej na ponad 20 kilometrów doliny Rupal, to być może jedyne takie miejsce w Himalajach. Nigdzie indziej wyprawy, których celem jest ośmiotysięcznik, nie lokują obozu bazowego tak nisko (3500 metrów; przy odrobinie szczęścia w głowie nawet nie zaszumi od wysokości), nigdzie indziej też nie ma szans, by podczas takiej ekspedycji urządzić się w zamieszkiwanej wiosce. Chociaż akurat to, że ktoś tu przebywa na stałe, na pierwszy rzut oka wcale nie było oczywiste. Pasterskie sioło, usytuowane ponad rozległą łąką (teraz w śniegu, ale latem musiało tu być narkotycznie zielono) wypełniającą przestrzeń pomiędzy morenami lodowców – Tapp od wschodu i Shagiri od zachodu – od południowego wschodu zamkniętą grzbietem, z którego wyrasta blisko sześćtysięczny Rupal Peak, od północy zaś masywem Nangi, składało się z zaledwie kilkunastu zabudowań. W dodatku chaty – niektóre z kamienia i gliny, inne ulepione z ziemi – wkomponowane były w skalne rumowisko tak precyzyjnie, że z oddali trzeba było wysilić wzrok, by je dostrzec. Całość – na przekór licznym sygnałom płynącym od współczesności – stanowiła namacalny dowód na to, że symbioza człowieka z naturą wciąż jest możliwa.

W jednej z takich chat, znajdującej się na skraju wioski, w izbie na co dzień służącej za schronienie dla kóz oraz owiec, od trzech dni mieszkąłem wraz

z anarchoromantykami z Nanga Dreamu.

To była ich baza.

Wrzuciłem śnieg do kubka z jeszcze ciepłą wodą (Manaf dbał o to, by w dwóch termosach stojących za drzwiami, po lewej stronie, nigdy nie zabrakło wrzątku i zielonej herbaty), wypłukałem usta i poczułem, że robię się głodny.

* * *

Na śniadanie były jajka sadzone. Po dwa na głowę, jak zwykle, i jak zwykle przygotowane przez Szabira, który akurat tego ranka oznajmił: – 20 tuzinów. Tyle jajek zjedlicie, odkąd tu jesteście. Do tego wypiekane na bieżąco czapati albo parathy (płaskie chleby, właściwie placki, z mąki pszennej lub razowej, wody i soli) – bez ograniczeń, służące również za sztucce. Wyłamywał się tylko Kudłaty, wcinający owsiankę, do której dodał garść suszonych owoców. Z głośnika dobiegał głos Boba Marleya:

*We're jammin',
I wanna jam it with you.
We're jammin', jammin',
And I hope you like jammin', too.^[2]*

– Dopiero 9? – rzucił ktoś godzinę później. – Myślałem, że już przynajmniej 12.

W górze czas płynął podobno inaczej: – Tam ledwo się podniesiesz, a już jest 15! Robi się ciemno, zimno i albo trzeba wracać do nory, albo szukać miejsca, żeby się zagrzebać.

Przesunąłem się, żeby zwolnić kawałek ławki dla Pabla. On najwyraźniej nie miał dylematów związanych z czasem. Podobnie jak poprzedniego wieczoru – działał. Na przykład teraz taszczył plastikowe niebieskie wiadro wycięte ze starego kanistra, trzymając je za sznurkowy uchwyt.

– Będę robił pranie – powiedział.

– Pranie? – Marek wyglądał na zdęgowanego. – Przecież to bez sensu. Majtki czy podkoszulek można przeprać, ale każda inna rzecz w takiej ilości wody tylko bardziej się zbrudzi.

Pablo w ogóle się tym nie przejął.

* * *

Paweł Dunaj, rocznik 1985, inżynier budowlany z Białegostoku, był w ciągłym ruchu, ale zwracał na siebie uwagę również tym, że prawie nie przeklinał. „Figa z makiem” to prawdopodobnie najmocniejsze wyrażenie, jakiego zdarzyło mu się użyć w moim towarzystwie. Nangę ujrzał po raz pierwszy dwa lata temu i – jak wielu tutaj – od razu się w niej zakochał. W Lattabo spędził wtedy prawie trzy miesiące, nic więc dziwnego, że teraz czuł się tu jak u siebie. Obserwowałem go wczoraj, gdy zaraz po powrocie do bazy zaczął się rozpakowywać. Wieszając rzeczy i odkładając je na służący za półkę hamak, działał równocześnie na pamięć oraz bezbłędnie.

Doskonale wiedział, gdzie i co znaleźć. Chociaż ryzykownie byłoby twierdzić, że w chacie panował porządek, za sprawą Pabla wydawało się przynajmniej, że wszystko ma tu swoje miejsce. Większość logistyczno-funkcjonalnych rozwiązań dotyczących zagospodarowania przestrzeni wynikała właśnie z jego doświadczeń z poprzedniej wyprawy. „Boazeria” na ścianach, zrobiona z kawałków tektury, dzięki której można się było oprzeć, nie brudząc sobie ubrania gliną, piecyk ustawiony tak, by równocześnie zmieściło się wokół niego nawet i sześć osób, wieszaki z gwoździ. Choć zimą 2013/2014 ekipa Nanga Dream miała bazę w tej samej izbie, nie było w niej tak wygodnie jak teraz.

Wtedy też, dwa lata temu, niewiele brakło, by Paweł Dunaj stracił życie. Miał pecha albo przeciwnie – ogromne szczęście. Potężna lawina zabrała go sprzed obozu I. To miało być ich ostatnie wyjście w górę tamtej zimy i faktycznie było. Pablo zjechał w dół dobre 1200 metrów. Tylko odrobinę krótszy lot zaliczył idący wówczas wraz z nim – nie byli związani liną – Michał Obrycki. W przeciwieństwie do Pawła nie stracił przytomności i dał radę wezwać pomoc.

– Kiedy zaczyna się lawina, najpierw leci jeden kamyczek. Potem drugi, trzeci i dopiero wtedy słyszysz w uszach ten huk! I nie masz już kontroli nad niczym.

Prawa strona jego ciała została doszczętnie pogruchotana. Z powodu pękniętego płuca przez ponad miesiąc od wypadku nie mógł ryzykować podróży samolotem, a więc i wrócić do Polski. Kiedy kilka lat wcześniej paskudnie złamał sobie nogę w Kirgistanie, na Piku Lenina (7136 metrów), ewakuował się od razu, a kości do kupy złożyła mu w Białymstoku jego mama, ortopeda. Tym razem musiał przeczekać – najpierw w szpitalu w Skardu, a następnie w Islamabadzie. Niewdzięcznością wobec losu byłoby jednak narzekać – gdyby, lecąc z lawiną żlebem opadającym z grani Nanga Parbat, uszkodził lewy bok, a nie prawy, środek transportu nie miałby już znaczenia. Złamane żebro najpewniej przebiłoby serce.

– Nie miałeś stracha, mijając w tym roku to samo miejsce? – spytałem.

Powiedział, że nie.

– Akurat! – włączył się do rozmowy Kudłaty. – Nogi ci się trzęsły, nerwówka była.

– Może faktycznie – przyznał. – Ale tylko za pierwszym razem. Potem w ogóle już o tym nie myślałem.

* * *

Z tego, co mówili, wynikało, że ABC, w którym wczoraj spałem, stanowiło na drodze Schella górną granicę bezpieczeństwa. Powyżej mogło się wydarzyć wszystko.

– Trawersujesz stok i wiesz, jak niewiele trzeba, żebyś na przykład podciął przyklepione do stoku masy śniegu, a w konsekwencji zerwał lawinę – ciągnął Kudłaty.

– Idziesz i po prostu czujesz, że znajdujesz się w miejscu, w którym nie powinno cię być.

– Ale jesteś tam, idziesz, i to w dodatku z własnej woli?

– Bo też bez przesady, to nie jest tak, jakbyś jechał autostradą pod prąd z zamkniętymi oczami – zaczął łagodzić. – Czynników ryzyka faktycznie jest mnóstwo, ale większość z nich starasz się minimalizować i mieć pod kontrolą.

Dwa tygodnie wcześniej, w sylwestra, on również miał szczęście. Gdy wspinał się

dopiero co zaporeczowanym przez Marka kuluarem przy „turni Wielickiego”, nieco poniżej grani, kamień wielkości pięści omal nie trafił go w głowę. Odłamek zmienił kierunek lotu w ostatniej chwili, odbijając się od czekana.

Moment tuż po tym zdarzeniu Marek uwiecznił na filmie.

Kudłaty: – Panowie, ja limit szczęścia w kuluarze na dzisiaj już wyczerpałem. Kamień.

Pokazuje na wgnieciony czekan.

Marek: – Ja pierdykam!

Dziubas: – Aż tak?

Jeszcze raz Kudłaty: – Gdyby nie czekan: sayōnara!

I śmieje się przy tym od ucha do ucha.

* * *

Akcja górską na Nandze po stronie Rupal rozpoczęła się w sezonie 2015/2016 dokładnie pierwszego dnia kalendarzowej zimy. Ekipa Nanga Dream do Lattabo dotarła co prawda wcześniej, ale – nie licząc założenia ABC i dostarczenia do niego części sprzętu – do 21 grudnia nie wykonywała powyżej 4100 metrów żadnych działań. Powód? By w razie ewentualnego sukcesu nikt nie mógł go podważyć, argumentując, że skoro wspinaczka rozpoczęła się jeszcze jesienią, wejście na szczyt nie może zostać zakwalifikowane jako zimowe.

Warto dodać, że wbrew pozorom kwestia ta nie jest jednoznaczna. Na początku 2015 roku spory ferment w środowisku himalaistów wywołał artykuł Denisa Urubki, w którym stwierdził on, że wobec warunków panujących w najwyższych górach świata za zimę w Karakorum i Himalajach powinno się uznawać okres od 1 grudnia do końca lutego. Przyjmując taką interpretację kalendarza, listę pierwszych zimowych wejść na ośmiotysięczniki należałoby sporządzić właściwie od nowa, w dodatku pozbawiając Polaków prymatu na Dhaulagiri, Czo Oju, Annapurnie i Sziszapangmie oraz wykreślając z niej zrealizowane w marcu wejścia na Gaszerbrum I i Broad Peak. Kontrowersje związane z publikacją tekstu Urubki były tym większe, że swoją koncepcję rewizji historii himalaizmu pochodzący z Rosji zdobywca wszystkich 14 ośmiotysięczników przedstawił kilka tygodni po otrzymaniu polskiego obywatelstwa.

Późnym popołudniem pierwszego dnia działalności chłopakom udało się założyć obóz I, C1, na wysokości 5100 metrów. Tempo było więc niezłe – szczególnie gdy uwzględnić liczbę oraz wagę lin, które musieli wytargać (większość z nich ważyła po sześć kilogramów za każde 100 metrów; łącznie wnieśli ich 150 kilo) – ale nazajutrz pogoda wyraźnie się pogorszyła. Oni jednak ani nie chcieli, ani też – myśląc w perspektywie kilku najbliższych tygodni – nie za bardzo mogli czekać. Warunki były trudne między innymi ze względu na dużo mniejszą niż w poprzednich latach ilość śniegu. – Ale się naskrobałem rakami po skale! – narzekał Marek. Wigilia Bożego Narodzenia wypadła w namiocie tymczasowego obozu C1a na wysokości 5500 metrów. Był barszcz, kabanosy i liofilizaty z parmezanem. Całkiem smaczne. Pierwszego dnia świąt pogoda załamała się jednak na dobre. Niebo było zasnutę, a wiatr nie pozwolił Markowi dojść nawet do końca lin poręczowych, położonych dzień wcześniej. – Nie ma się co szarpać. Tym bardziej że dostaliśmy info, że ma tak

być przez następne 48 godzin – zarządził kierownik.

* * *

Drugie wyjście, 27 grudnia, musieli zacząć od odkopania spod śniegu namiotów w ABC oraz w C1. Warunki jednak stopniowo się poprawiały i dwa dni później kuluar zaporęczowany był już do wysokości 5750 metrów.

– Pięknie? Aż orze beret. Idziemy walczyć o grań! – zadeklarował Klonowski 30 grudnia. Ale, choć mieli błękitne niebo przez większość dnia i bezwietrzną pogodę, ugrali niewiele. Na przeszkodzie stanął lód zalegający poniżej „turni Wielickiego”. Marek z Dziubasem noc spędzili w namiocie ustawionym na wyciętej w zboczu, prowizorycznej śnieżnej platformie zabezpieczonej balustradą z plecaków, zaś Pablo z Kudłatym (który wcześniej przez dwa dni odchorowywał w bazie zatrucie pokarmowe) spali w C1a. Do jedzenia mieli batony o energetyzujących właściwościach i nazwach. Na śniadanie „Aloha”, na obiad „Kosmos”, na kolację „Petarda”.

Ostatni dzień 2015 roku znów przywitał ich piękną pogodą. – Wschód słońca pada na twarz! Warun wspaniały, lecimy – zaczął sylwestra Marek (nawiązując do hitu GrubSona) i zanim ostatecznie zdecydował się zejść do bazy z Dziubasem (ten, po kilku nieprzespanych nocach na wysokości, miał dosyć), zaporęczał kluczowy fragment drogi przed samą turnią. Do grani pozostawało zaledwie 100 metrów.

Pobudka, jaką w obozie znajdującym się kilkaset metrów niżej mieli tego samego ranka Pablo z Kudłatym, była nieco mniej entuzjastyczna.

– Ciężko się wynurzyć z tej lodowej krainy, ale już czas najwyższy. Pablo? – Kudłaty skierował kamerę w stronę poruszającego się niemrawo w rogu namiotu czerwonego śpiwora pokrytego warstwą lodu przypominającą cukrową polewę. – Pablo? Jak się dziś masz, lukrowany eklerku?

Postanowili nie wracać do bazy i zawalczyć o to, by Nowy Rok przywitać na grani. Wieczorem dotarli na 5900 metrów, gdzie w kolejnym tymczasowym obozie C1c mieli spędzić noc sylwestrową. Miejsce – jak to określił Pablo – znajdowało się na „szlaku przemytniczym lawin”.

Faktycznie – było emocjonująco. Kudłaty zarejestrował wszystko na filmie.

– Pablo, proszę, przestań już szykować te karnawałowe stroje! Podejrzewam, że w tych butach [robi zbliżenie na plastikowe, wysokogórskie „skorupy”] będziesz mógł tańczyć na grani przez całą noc. Oj, chyba zaczyna działać nasz sok z gumijagód [skład: herbata, napój izotoniczny i liofilizowane jagody]. Chciałbym przypomnieć, że elementem udanej imprezy, oprócz napojów, są także niezapowiedziani goście.

– A my się kogoś spodziewamy?

– Niestety, na pewno odwiedzi nas pan Zębaty!

– A ile jest stopni? Już chyba z minus 25, co?

Kudłaty, raz po raz włączając i wyłączając czołówkę: – Czy chcecie, żeby Zębaty był z nami? Nie! Nie! Nie! Czy chcecie, żeby w nogi było zimno? Nie! Nie! Nie!

Mimo tak intensywnie spędzonego wieczoru nazajutrz zapału im nie zabrakło. W pierwszy dzień 2016 roku, zgodnie z planem, zakończyli poręczowanie na wysokości 6000 metrów, „odblokowując” możliwość działania w wyższych partiach. Nie przypuszczali, że jeszcze przez wiele dni ich sukces pozostanie nieskonsumowany.

* * *

Powodów było kilka. Przede wszystkim dłużej niż dotychczas utrzymywała się kiepska pogoda, a kiedy już się poprawiła, drogę w górę na niektórych odcinkach trzeba było od nowa torować w śniegu. Samo wyjście zaś (numer trzy) odbywało się na raty. W rezultacie C2, obóz II – choć w Nowy Rok wyglądało na to, że wszystko jest już przygotowane – powstał dopiero 8 stycznia. A i to tylko dlatego, że Marek i Pablo wiedzieli, gdzie szukać.

– W innych okolicznościach na pewno nie pchalibyśmy się tutaj w taką pogodę.

Co chcieli znaleźć? Dwa lata wcześniej, podczas wyprawy w sezonie 2013/2014, na wysokości 6100 metrów, przy grani, trafili na obszerną szczelinę. Pusta przestrzeń pomiędzy zwałami lodu a skałą stanowiła doskonałe schronienie przed wiatrem i, po drobnych adaptacjach, nadawała się do zamieszkania. Miała minusy, ale i tak była najlepszym możliwym miejscem do założenia „dwójki”. Trzeba było tylko ponownie odszukać do niej wejście i je odkopać.

– Proszę państwa – Marek w jednej ręce trzymał łopatę, w drugiej kamerę. – Mamy ją! Jest tutaj: magiczna jama! Od dziś grań będzie miała lokatorów. Szykuje się parapetówka.

Jaskinia była duża, liczyła około 300 metrów kwadratowych powierzchni.

– Taki metraż na czterech chłopa to całkiem nieźle – zagadnąłem Marka.

– No dobra, uściślijmy: zaraz po naszym przybyciu ilość poziomego miejsca w środku wynosiła nie więcej niż metr kwadratowy. Kiedy się urządziliśmy, wzrosła do, tak sądzę, sześciu.

By się dostać do środka, należało zjechać jakieś cztery metry na linie lodową rynną. – W lecie byłoby tu niebezpiecznie. Ze sklepienia, które jest masą lodu, mógłby spaść na głowę na przykład tonowy odłamek. Teraz też trzeba trochę uważać. Na przykład po lewej jest miejsce, skąd głazy toczą się w dół. Więc tam nie chodzimy. W ogóle staramy się nie naruszyć struktury jaskini.

Następnego dnia po zamieszkaniu jamy, korzystając z dobrej pogody, Marek z Kudłatym zaporęczowali odcinek około 200 metrów po grani, dochodząc w pobliże „garba”, kumulacji skał stanowiącej ostatnią trudność techniczną w perspektywie kolejnych kilkuset metrów.

– Nie schodzimy, dopóki nie założymy „trójki” – oznajmił kolegom kierownik wyprawy. Obóz III miał się znaleźć na wysokości 6600 metrów.

Nazajutrz zaczęło wiać. Rano jeszcze na tyle słabo, że dało się wyjść z jaskini i dotrzeć tak wysoko jak dzień wcześniej, ale z każdą godziną wiatr przybierał na sile.

– Jak nie przestanie, wyjście do „trójki” będzie niemożliwe – ocenił Marek, ale i bez tego Kudłaty z Pablem doskonale zdawali sobie sprawę z sytuacji.

Postanowili, że spróbują przeczekać, okopując się na grani. Machając łopatami, ubrani w żółte kombinezony, na tle śniegu i coraz mniej błękitnego nieba wyglądali malowniczo. Ale nie o wrażenia estetyczne chodziło. Taktyka nie zdała egzaminu. Przemoczeni i zrezygnowani zdecydowali się na „wycof”.

– Ty, może to jet stream idzie? – zapytał Pablo już w jamie.

Miał na myśli ruch mas powietrza powodujący na wysokości bardzo silne zachodnie wiatry, wiejące z prędkością powyżej 90 km/godz.

– Kij wie, ale na pewno dobrze, żeśmy zeszli – odparł Marek.

Na zewnątrz już w najlepsze szalała wichura.

Następnego dnia pogoda się zmieniła, ale tylko nieznacznie, i to na gorsze.

– Jest ostro. Wczoraj przynajmniej ten wiatr był ciepły, a dzisiaj już arktycznym daje – relacjonował Pablo.

W praktyce oznaczało to jedno: kibel (czyli wymuszony złą pogodą przestój). Niestety, 12 stycznia też się nie poprawiło, w dodatku pojawił się wspomniany wcześniej problem z kurczącymi się zapasami gazu. Marek i Dziubas wrócili do bazy (to właśnie tego dnia spotkałem ich w ABC tuż po zejściu lawiny). Dzień po nich wycofali się Kudłaty i Pablo.

Wyjście czwarte, które miało się okazać decydującym, mogło się rozpocząć lada dzień, nawet jutro. Na razie jednak w bazie utrzymywał się ten nietypowy dla niej stan – było tłoczno. Akurat mnie to cieszyło. Nie musiałem ryzykować, by stać się świadkiem czegoś interesującego, a poza tym miałem z kim porozmawiać.

* * *

Jeszcze ciekawiej zrobiło się po południu. Do Lattabo, prosto z C1a, wrócił Michał Dzikowski (był tam ze Strażakiem, żeby porobić trochę zdjęć i zostawić depozyt).

– Dziku to, Dziku tamto – Pakistańczycy wprost go tu uwielbiali.

– Wy też tak macie? – spytał, stojąc i ciężko oddychając w drzwiach izby, tuż po tym, jak na zewnątrz zrzucił sporych rozmiarów plecak. – Schodzę z góry i wszędzie widzę kobiety. Ciągle myślę o kobietach, nie mogę się od nich uwolnić. Wszędzie cipki!

– Ja na razie myślę o jednej – odpowiedział mu Kudłaty. – O Nandze.

– Duża. Gustujesz w takich?

Obiecująca konwersacja została niestety gwałtownie przerwana.

– Słuchajcie, Bielecki miał wypadek!

Pablo odblokował właśnie skrzynkę odbiorczą w swoim telefonie satelitarnym i odczytywał SMS-y. Na wyposażeniu wyprawy był również modem, ale ponieważ od wielu dni kredyt na karcie u dubajskiego operatora pozostawał nieopłacony, o dostępie do internetu musieliśmy zapomnieć (odebranie/przesłanie jednego megabajta danych kosztowało 4 dolary; gdyby jednak zapłacić 3000 dolarów z góry, transfer byłby nielimitowany). Aparat Pawła był w tej chwili jedynym środkiem łączności pomiędzy bazą a światem (zasięg GSM, rzecz jasna, także nie funkcjonował; kończył się na długo przed Tarashing). Wiadomość o Adamie Bieleckim, niezależnie od siebie i niemal w tej samej chwili, przysłały z Polski do Lattabo aż cztery osoby.

– Odpadł od ściany i poleciał 80 metrów. Teraz liże rany w bazie. Podobno asekurował go Nardi.

Informacja o zdarzeniu po stronie Diamir najwyraźniej była jednym z newsów dnia w kraju.

– A pamiętacie, jak wypadek w Gilgit miał Dziku? – spytał Kudłaty. – Też poleciał, w dodatku bez asekuracji. Całe dwa metry: z chodnika do rowu!

* * *

Po kolacji ktoś włączył Chucka Mangione. Zanim w refrenie wybrzmiał charakterystyczny motyw na trąbce, Don Potter zaśpiewał o tym, że do tego, by przeżyć, nie wystarczy być najedzonym.

ROZDZIAŁ III

piątek, 15 stycznia 2016 roku

Marka i Pabla istotnie różniły poglądy na temat celowości prania na wysokości, ale bywały momenty, że rozumieli się telepatycznie.

– Biorę twoje buty – rzucił do mnie Paweł i zniknął na zewnątrz. Byłem przekonany, że idzie się załatwić, bo i gdzie indziej miałyby się wybierać o tak wczesnej porze. Przez noc napadało.

– Całe szczęście, że jest kiepska pogoda – odezwał się Marek. Włączył muzykę, chyba znowu Marleya. – Jakby było ładnie, plułbym sobie w brodę, że nie wyszedłem do ABC już wczoraj wieczór. No dobra, przydałoby się odśnieżyć panel.

Na dachu chaty, w której siedzieliśmy, chłopaki zamontowały tuż po swoim przyjeździe cztery monokrystaliczne panele fotowoltaiczne o mocy szczytowej 50 Wp każdy. Dzięki nim i kilku innym sprytnym rozwiązaniom w bazie był prąd – przez 24 godziny na dobę. Abbas żartował, że pod względem stabilności dostaw energii Lattabo bije na głowę resztę Pakistanu.

W tej samej chwili w drzwiach stanął Pablo.

– Odkopałem panel – powiedział, otrzepując kalosze ze śniegu.

Poznali się przez internet. Pablo obejrzał kilka filmów, które Marek wrzucił na YouTube – z Alaski albo z Logana – i pomyślał, że fajnie byłoby się gdzieś z kimś takim wybrać (Marek: – Robię te filmy, bo dzięki nim mam poczucie, że dopełniam całość, zamykam temat. Wyprawa zrealizowana, zarchiwizowana, jedziemy dalej. No i przede wszystkim w ten sposób mogę się tym dzielić. Lubię to. Cieszę się, że mogłem zrobić coś, co się ludziom podoba. Dlatego u mnie zawsze jest muza, rytm. A ty masz usiąść i się zrelaksować, taki mam cel). Napisał do niego, a ten odpowiedział, że nie widzi przeszkód. We trzech, z młodszym bratem Klonowskiego Krzyśkiem wyruszyli na motocyklach w góry Tienszan – do Kazachstanu i Kirgistanu. To było lato 2010 roku. Żaden z nich nie miał doświadczenia w motocyklowych podróżach (w rowerowych – i owszem), mało tego – Pablo prawo jazdy na jednośląd zrobił dopiero tuż przed wyjazdem. Ale bawili się świetnie. Są momenty, w których filmowa relacja z tej wyprawy, zatytułowana *Z archiwum K.*, przypomina *Fear and Loathing in Las Vegas* Terry'ego Gilliana. Tyle że dzieje się w środkowej Azji, no i nie ma Johnny'ego Deppa.

– A gdzie Kudłaty? – zapytał nagle Dzik.

– Poszedł obczaić boulder.

* * *

Potężny głaz znajdował się około 200 metrów od bazy. Był ogromny. Wysoki i szeroki przynajmniej na 10–12 metrów, w sam raz nadawał się do tego, żeby poćwiczyć na nim formę. Prawdopodobieństwo, że spadł tutaj kiedyś ze szczytu, było

niewielkie, ale sama myśl o tym działała pobudzająco na wyobraźnię. Skądś zlecieć musiał, a Nanga była najbliżej. A zatem, dlaczego nie? Ktoś, już nie pamiętam kto pierwszy, rzucił hasło: – Rozwiązanie problemu boulderowego to klucz do rozwiązania problemu Nangi.

Zupełnie w to nie wierzyłem, ale brzmiało świetnie.

Bouldering to wspinaczka bez liny na wolno stojące bloki skalne, na przykład takie jak ten w Lattabo. Asekurację, na wypadek odpadnięcia od skały, powinien zapewniać *crashpad*, materac rozkładany pod ścianą, albo koledzy, nazywani spotterami, czekający z wyciągniętymi rękami, by w razie potrzeby osłabić upadek delikwenta i uchronić go przed uderzeniem plecami lub głową o ziemię. Sztuka boulderingu polega na pokonywaniu krótkich, za to wymagających świetnej techniki i dużej siły odcinków. Sukces zależy od umiejętności odnalezienia kilku kluczowych chwytów i punktów oparcia, które często trzeba wykorzystać w odpowiedniej sekwencji ruchów. Za „ojca chrzestnego” tej wspinaczkowej dyscypliny uchodzi John Gill^[3], w młodości gimnastyk, potem profesor matematyki. Połączenie – wbrew pozorom – bardzo istotne, bouldering wymaga bowiem gimnastycznych umiejętności i matematycznego podejścia, znalezienia „wzoru na skałę”. Nieprzypadkowo o pokonywaniu boulderowych wyzwań mówi się jako o „rozwiązywaniu problemów”.

– Od trzech lat, odkąd przyjechałem tu po raz pierwszy, chodziło mi po głowie, żeby wleźć na ten boulder. Próbowałem, ale nigdy się nie udało – powiedział Marek.

Po śniadaniu zobaczyłem go, jak ubrany w schodzone czerwone *new balance’y* rozciąga się przed bazą. Spytałem, czy „zada ze szmaty”. To dziwne określenie upowszechnił Wojciech Kurtyka, jedna z najwybitniejszych osobowości w historii polskiej i światowej wspinaczki (w kwietniu 2016 roku otrzymał najważniejszą międzynarodową nagrodę alpinistyczną, *Piolet d’Or Carrière*, czyli Złoty Czekan za całokształt dokonań w górach; laureatami z poprzednich lat byli między innymi Walter Bonatti, Reinhold Messner, Kurt Diemberger czy Chris Bonington; nie ma w himalaizmie większych nazwisk). W *Chińskim maharadży* napisał: „(...) zadawanie ze szmaty jest wśród wspinaczy czymś w rodzaju deklaracji mocy. Zadać ze szmaty znaczy podciągnąć się na jednej ręce z zupełnie luźnego zwisu. (...) zanim wspinacz zada, czystość stylu wymaga, aby zwisnąć na rurze luźno jak szmata. Tylko wówczas liczy się, że było »ze szmaty«. Szmata istotnie robi różnicę. Czyż to nie pięknie?”^[4].

– Ręce mam słabe. Wolę przeciwnskręty i inne pływackie techniki na rozciąganie.

W ogóle nie było po nim widać, że raptem kilka miesięcy wcześniej połamał sobie kręgi. Uprawiał kitesurfing na plaży w Bettystown nad Morzem Irlandzkim, kilkaset metrów od swojego domu. – Po dwóch tygodniach przestało boleć, więc pomyślałem: spoko, tylko się obić. I przez dwa miesiące jechałem na nieświadomce. Aż któregoś dnia pożyczyłem od kolegi kolarzówkę. Przejechałem się kawałek, kręgosłup zaczął pracować, jak to na rowerze, wróciłem i po prostu masakra: paraliż. Zdrętwiałe ręce, zdrętwiałe nogi. Wystraszyłem się, że wszystko na marne.

W roku poprzedzającym piąty wyjazd pod Nangę Marek podszedł do treningów poważniej niż kiedykolwiek. Biegał po 20 kilometrów dziennie (co najmniej osiem – regularnie), nurkował (wyćwiczył oddech na tyle, by móc przepłynąć pod wodą 40 metrów), a do tego narzucił sobie ograniczenia. – Zero fajeczek, browar najwyżej przy

okazji. Tak, dyscyplina była. Ale niewymuszona, naprawdę było mi z tym dobrze. Regularny trening z wkrętką, że to wszystko się przyda, że jest po coś.

Gdy powiedział o tych kręgach, przypomniała mi się historia Krzysztofa Wielickiego. Ostatniego dnia 1988 roku, w gumowym gorsecie z metalowymi usztywniaczami (nosił go, odkąd cztery miesiące wcześniej nabawił się poważnej kontuzji barku i kręgosłupa), Wielicki samotnie wspinał się na Lhotse, dokonując pierwszego zimowego wejścia na czwarty najwyższy szczyt świata. W dodatku zrobił to samotnie. A więc: dało się.

Marek: – Nie, na kręgi nie zwałam. Jestem w 100 procentach sprawny.

Pół godziny później wszyscy byliśmy pod kamieniem.

* * *

Nigdy bym nie przypuszczał, że uczestniczenie w „rozwiązywaniu problemu boulderowego” może dawać aż tyle frajdy. A przecież byłem tylko spotterem. Najpierw należało oczyścić przedpole, usuwając spod głazu drobniejsze kamienie, niektóre wmrózone w ziemię. Potem dokładnie zlustrować boulder, szukając prowadzącej do samej góry linii, która mogłaby najprędzej „puścić”. Wreszcie pomóc śmiałkowi w wykonaniu na niej pierwszych ruchów, na przykład wcielając się w rolę „żywej drabiny”. Zastanawiałem się przy tym, jak to możliwe, że wszystko przebiega tak bezkonfliktowo. Po dobrych dwóch godzinach nasze postępy w rywalizacji z jak gładz obojętnym na wszelkie starania gładz były mniej niż mizerne. Nie „puszczał” – ani z jednej, ani z drugiej strony. Powinno to frustrować, tymczasem nikt się nie wściekał, nie podnosił głosu, przede wszystkim zaś – nie szukał winnych. Frapowało mnie to tym bardziej, że w końcu ludzie, których obserwowałem, spędzali ze sobą po 24 godziny na dobę już od ponad ośmiu tygodni. Wyprawa Nanga Dream 2015/2016 rozpoczęła się bowiem nie w połowie grudnia w Lattabo, ale miesiąc wcześniej.

Chłopaki przyleciały do Pakistanu 17 listopada. Po odebraniu – nie bez trudności – aż 300 kilogramów bagażu nadanego jako cargo (głównie sprzęt biwakowy i wspinaczkowy, ale też sporo jedzenia) dwa dni później zapakowali szczelnie małego busa z bagażnikiem na dachu i wyruszyli na północ.

– Chcieliśmy, zanim rozpoczniemy zimową akcję na Nandze, być już trochę zaaklimatyzowani.

Wybrali do tego Rakaposhi, mierzący 7788 metrów szczyt w dolinie Nagar w Karakorum. W 1979 roku drugiego w historii wejścia na wierzchołek dokonali Polacy, a Anna Czerwińska napisała o tamtej wyprawie książkę *Trudna góra Rakaposhi*. I okazało się, że faktycznie – trudna. Na tyle, że nawet dostać się pod nią nie było łatwo. W połowie drogi z Rawalpindi do Gilgit obciążony samochód zbuntował się przeciwko zbyt dużemu nachyleniu słynnej Karakoram Highway (najwyżej położona utwardzona droga międzynarodowa na świecie; prowadzi z Abbottabadu, miasta, w którym przez lata ukrywał się i zginął zastrzelony przez amerykańskich komandosów Osama bin Laden, aż do Kaszgaru w zachodnich Chinach). Padło sprzęgło. Dwie godziny zmagania z awarią i nic. Kierowcy dali za wygraną, więc do akcji wkroczył mechanik Dziubas. Odpowietrzył układ

i po dziesięciu minutach można było jechać.

Pod górę dotarli (po kilku przesiadkach, przepakach i krótkim trekkingu) 23 listopada. Na niej jednak nie poszło im już tak gładko jak ze sprzęgiem. W Karakorum spędzili nieco ponad dwa tygodnie, osiągając maksymalnie 5500 metrów. Wynik niezbyt imponujący, ale w tym przypadku nie chodziło przecież o zdobycie szczytu. – Ekipa się wstępnie dotarła i rozgrzała. Spędziliśmy kilka nocy na pięciu kołach – wyjaśniał Marek.

W drodze powrotnej, zmierzając już w kierunku Astore, doliny Rupal i wreszcie Nangi, przez kilka dni poimprezowali w Gilgit. W podziemne, nocne życie niewielkiego, malowniczo położonego miasta, stolicy górskiej prowincji Gilgit-Baltistan, wprowadził chłopaków Carlos – człowiek, który umiał załatwić wszystko, na co dzień profesor na Karakoram International University.

– Uczelnia rewelacyjna. Nowe piękne obiekty. Jedyne, co wzbudzało podejrzenia, to brak studentów.

Rektor pochwalił się, że na dachu mają nową instalację solarną.

– Aż trzy falowniki!

– Mogę zobaczyć, tak z ciekawości? – zapytał Marek.

Rektor zabrał go na górę.

– Widzę dwa – Klonowski rzucił okiem fachowca. – Gdzie trzeci?

– No, nie ma.

Wesoły klimat z całą pewnością służył integracji grupy, ale Kudłaty i tak twierdził, że ta bezkonfliktowa atmosfera to przede wszystkim zasługa góry.

– Nanga tak działa – powiedział.

Nie miałem powodu, by mu nie wierzyć, ale z drugiej strony brzmiało to trochę zbyt fantastycznie. Stawiałem raczej na to, że to sprawka Karima.

* * *

Podczas akcji na Rakaposhi oraz w pierwszej fazie działalności w Himalajach w składzie Nanga Dream oprócz Marka, Pabla, Kudłatego, Dziubasa i Dzika znajdowało się także dwóch Pakistańczyków. Pierwszy z nich, Safdar Karim, wiedząc o planowanej przez Polaków kolejnej wyprawie na flankę Rupal, zagadnął Marka na Facebooku. Napisał, że, jeśliby uznali, że może się przydać, chętnie by do nich dołączył. Drugim był Karim Hayat, którego Klonowskiemu zarekomendowała Małgorzata Klamra, wówczas menedżerka Pakistańczyka, a przy tym współpracowniczka Portalu Górskiego.

– Jakiś rok przed wyprawą zapytałam Marka, czy gdyby znowu jechali pod Nangę, nie chcieliby mieć w składzie Karima.

Obaj wspinacze pochodzą z Hunzy, rozległej, otoczonej siedmiotysięcznikami doliny na północy Pakistanu, nieopodal granicy z Chinami. O ile Safdar związki z Polską ma raczej luźne (nie licząc deklaracji, że szuka polskiej żony, oraz udziału w akcji ratunkowej w 2014 roku po zejściu lawiny, która pokiereszowała Pabla), o tyle Karim to postać w środowisku wspinaczkowym nad Wisłą dobrze znana. W 2013 roku uczestniczył w dramatycznej, kierowanej przez Krzysztofa Wielickiego wyprawie PHZ na Broad Peak. Na niezdojbyty wcześniej zimą ośmiotysięcznik w Karakorum wspięło

się wtedy aż czterech Polaków: Adam Bielecki, Artur Małek, Maciej Berbeka i Tomek Kowalski. Dwaj ostatni zaginęli jednak podczas zejścia. Karim Hayat ruszył w górę, by ich ratować. Bezskutecznie. Ponad rok później odwiedził Polskę, goszcząc między innymi w Łądku-Zdroju na Przeglądzie Filmów Górskich im. Andrzeja Zawady.

– Po tym jak skontaktowałam Karima z chłopakami, nie zajmowałam się już tą sprawą – mówi Małgorzata Klamra. – Kiedy Marek ogłosił we wrześniu skład wyprawy i zobaczyłam, że jest tam jego nazwisko, pomyślałam: O, świetnie, znaczy, że się dogadali.

Wtedy jeszcze nic nie zwiastowało kłopotów. Pakistańczycy odebrali chłopaków na lotnisku w Islamabadzie, Karim zorganizował im spotkanie w Riphah International University ze studentami wydziału mediów i reklamy, potem wspólnie działali na Rakaposhi. Hayat ściągnął nawet swojego brata Rachima, by kucharzył w bazie. Gdy zapadła decyzja o zakończeniu etapu aklimatyzacyjnego, Safdar wyskoczył na kilka dni do domu, do Hunzy, Karim zaś razem z resztą pojechał do Gilgit.

– Umówiłam się z Karimem, że Portal Górski sfinansuje jego udział w wyprawie. On będzie nam wysyłał krótkie relacje i zdjęcia, my damy mu za to 2000 dolarów. To była kwota przeznaczona tylko dla niego. Pierwszą transzę, połowę sumy, przelałam na początku grudnia na rachunek Pawła Dunaja, bo z Polski tak było najłatwiej to zrobić. Paweł podjął te pieniądze w Gilgit i przekazał je Karimowi.

– Wziął kasę i od razu poszedł z nią do banku, wpłacić na swoje konto – wspomina Pablo.

Dziku: – Safdar? Świetny facet, rewelacyjny, nie da się o nim powiedzieć złego słowa, ciężko pracował. A Karim? No cóż, prawdę mówiąc, od początku nie było chemii. Był miły, sympatyczny, mimo to coś nie grało. Ale, przynajmniej na Rakaposhi, nie narzekaliśmy na niego, nawet między sobą. W końcu to był Karim Hayat, uznany himalaista, z naprawdę sporym doświadczeniem, którego potrzebowaliśmy.

14 grudnia, dwa dni po przybyciu przez ekipę Nanga Dream do Lattabo, utyskujący na przeziębienie Karim, by szybciej wyzdrowieć, postanowił zejść do wioski Rupal, położonej nieco niżej w dolinie, bliżej Tarashing. Do bazy wrócił dopiero po czterech dniach, wciąż nie w pełni formy. Po rozpoczęciu akcji pierwszego dnia zimy ruszył co prawda wraz z chłopakami do góry, ale coraz bardziej oczywiste stawało się to, że z ich współpracy wiele pożytku już nie wyniknie.

– Przyjaciele, także wspinacze, odradzali mi udział w tej ekspedycji – wspomina Karim. – Mówili, że ekipa Nanga Dream w górach dobrze się bawi i kręci zabawne filmy, ale nie ma szans na zdobycie szczytu. Nie posłuchałem ich. Kilku chłopaków znałem z akcji ratunkowej po zejściu lawiny w 2014 roku i uznałem, że spróbuję im pomóc.

Marek (na gorąco, tuż po założeniu C1, na filmie): – Jak tu zaraz Karim przyjdzie, to będę mu musiał chyba zrobić wykład, jak się idzie na linie, bo to jest jakiś żart. (Potem, już po wyprawie, z dystansu): – O jego zdolnościach wspinaczkowych się nie wypowiadam, bo sam jestem amatorem. Ale na linie wolałbym iść nawet z kamieniem. Zresztą Karim przejął ode mnie prowadzenie tylko dwa razy. Urobił wszystkiego może 50 metrów. A nigdy nie ukrywałem, że potrzebuję właśnie kogoś doświadczonego, kto będzie się mógł ze mną zmieniać.

Niebawem w namiocie obozu I doszło do krótkiego spięcia. Karim poprosił Pabla o zrobienie herbaty, ten odmówił – jakoś tak, z czasem szczegóły się zacierają.

– Nie chcę do tego wracać – mówi Hayat. – Paweł zachował się jak dziecko.

Nawet jeśli incydent był błahy, to jego konsekwencje znaczące. Pakistańczyk zdecydował bowiem, że opuszcza wyprawę.

(Swoją drogą, udział w sytuacji konfliktowej mającej w tle kubek herbaty nie był dla Pawła Dunaja nowością. Dwa lata wcześniej, jakiś kilometr wyżej, w obozie II pochorował się Simone Moro. Osłabł, wymiotował, trudno było ustalić przyczynę. Pojawiła się wersja, że to przez brudne naczynie, w którym ciepły napój podali mu Dunaj i Jacek Teler. Pablo co najwyżej śmiał się z tych insynuacji^[5].)

– O tym, że Karim wyjeżdża, a właściwie że już wyjechał, dowiedziałam się od Marka. Byłam zdziwiona. Nie wywiązał się z naszej umowy – mówi Klamra.

– Powiedziałem mu: Karim, to nie jest powód, żeby opuszczać wyprawę – wspomina Abbas. – Ale on nie zamierzał już zmieniać zdania.

Hayat tłumaczy: – Szósty zmysł mi podszeptał, że to się jednak nie uda. Na drogę Schella zimą potrzeba siedmiu-ośmiu dobrych wspinaczy. Zespół był za mały. To nie konflikty zdecydowały o tym, że wyjechałem. Po prostu opuściłem bazę, kiedy uznałem, że jest na to pora.

– Zależało nam na tym, żeby przynajmniej Safdar został. To jest bardzo uczciwy i wzbudzający sympatię człowiek, w dodatku z całą tą akcją nie miał nic wspólnego. I nie chciał odjeżdżać. Ale niestety, Karim go przekonał – opowiada Klonowski. – W każdym razie pożegnaliśmy się bardzo serdecznie. Safdar nawet się rozplakał, gdy się rozstawaliśmy.

Konflikt, czy jakkolwiek to nazwać, miał swój ciąg dalszy. Już po opuszczeniu bazy Karim próbował zakwestionować ważność pozwolenia, na mocy którego uczestnicy ekspedycji Nanga Dream przebywali w Lattabo, a gdy Marek zażądał od niego zwrotu wydatków z tytułu udziału w wyprawie przez pierwszy miesiąc (chodziło głównie o koszty noclegów oraz transportu), ten odpowiedział wystawieniem „neutralizującego” rachunku za swoje usługi przewodnickie oraz za pracę Rachima jako kucharza.

Pomyślałem, że, kto wie, może nie ma tego złego, a cała ta afera podziałała jak wentyl?

* * *

Dwa lata temu to Marek opuścił Lattabo przed czasem. Wtedy przyczyna była jednak poważniejsza niż (nie rozstrzygajmy) 1000 dolarów lub brak herbaty. Na początku 2014 roku miał przyjść na świat jego drugi syn Patryk Ali (pierwszy, Arkadiusz Immish, urodził się, jeszcze zanim zaczęły się wyjazdy pod Nangę). Klonowski chciał przy tym być, dlatego w połowie stycznia spakował się i wrócił do Europy, choć formalnie, podobnie jak teraz, był kierownikiem. Dziś trudno dociec, jakie ustalenia w tej sprawie poczynił przed wyprawą z Czapkinsem, bo ich wersje istotnie się różnią. Na pewno obaj dużo wcześniej wiedzieli, że „temat” jest i Marek będzie się musiał jakoś do niego odnieść. Klonowski powiedział mi kiedyś, że liczył po prostu na to, że „złoją” Nangę jakoś zaraz po Nowym Roku. Wtedy bez problemu

zdążyłby do Irlandii na rozwiązanie. Ale nawet jeśli faktycznie tak było (pewnie było), trudno uwierzyć, że zarówno on, jak i Mackiewicz nie brali pod uwagę również alternatywnej wersji wydarzeń.

Bez wątpienia tamten przedwczesny wyjazd Klonowskiego nie był jedynym ani nawet najważniejszym powodem tego, że drogi duetu, który stworzył Nanga Dream, się rozeszły (Pablo i Dzik, którzy również mieli wtedy prawo poczuć się zostawieni, nie żywili o to urazy, czego najlepszym dowodem była ich obecność w Lattabo w tym roku), ale fakt pozostaje faktem, odtąd między Markiem a Tomkiem nie było już tak jak kiedyś.

Co nie znaczy, że gdy jeździli razem, nigdy się nie kłócili. Wręcz przeciwnie. Przynajmniej raz podczas każdej wyprawy pojawiała się tak zwana wielka spina. Paradoksalnie działała odświeżająco. Na przykład na Loganie. W 2008 roku Czapa i Klon spędzili razem ponad 40 dni, przeprowiając się w pionierskim stylu przez największe lodowce Alaski oraz Jukonu i trawersując najwyższy szczyt Kanady, Mount Logan – 5959 metrów. Za ten wyczyn – wyprawę nazwali „Free Tibet Expedition” – otrzymali Kolosa, najważniejszą polską nagrodę podróżniczą.

– Któregoś dnia Tomek nie chciał iść – wspominał potem Marek.

– Nieprawda – odparł Czapa. – Powiedziałem tylko: „Stary, idę się wysrać, przy okazji zrobię rekonesans, sprawdzę, jaka pogoda”. A ty od razu: „Kurwa, jaki rekonesans? Musimy iść!”. A co było złego w tym, że skoro i tak wychodziłem z namiotu na kupę, równocześnie zrobiłbym rekonesans?

– Ja wiedziałem, że ty nie chcesz iść. Potem żeśmy się żarli do końca dnia i pogodzili dopiero, jak zaczął się hardkor. Od rana jeden i drugi ani słowa. Dziwnie. Przebieramy się, zakładamy raki. W końcu patrzę na Tomka. „To co? Piona?”. „Piona!” Idziemy w dół. Kosmos tam był. Czapa przeszedł ten lodospad po ciemku.

Następnego dnia Marek zanotował w swoim dzienniku:

7 czerwca. Jestem wykończony, wypompowany, zajechany, zatarty. O 6.45 sen przerwał mi nastawiony budzik. Zmobilizowałem się, zrobiłem herbatkę, obudziłem Czapę. Pięknie wyszło słońce.

* * *

Było już koło południa, gdy po nocy spędzonej w C1 do bazy zszedł Strażak.

– Na górze mgła – powiedział, co chyba dodatkowo uspokoiło Marka, bo tymczasem w Lattabo pogoda zrobiła się całkiem niezła.

Czy to za sprawą powrotu najmłodszego uczestnika wyprawy, czy też ze względu na brak postępów w rozwiązywaniu problemu boulderowego wszyscy uznali, że przyszedł czas, by zarządzić przerwę. Szabir wydawał się to rozumieć i na obiad zaserwował pizzę.

Po posiłku atmosfera nieco się rozprężyła. Część ekipy udała się nad meandrującą poniżej zabudowań rzekę. Zamierzali się kąpać. Chociaż temperatura powietrza, nawet w słońcu, z trudem przekraczała zero stopni Celsjusza, Strażak rozebrał się do slippek, a następnie dziarsko wskoczył do wody. Było płytko, ale kładąc się na dnie, znalazł sposób, by się zanurzyć.

Gdy wróciliśmy pod kamień, słońce kierowało się już wyraźnie na zachód. Pomyślałem, że nic z tego nie będzie. Boulder nie puści, byłem pewien. Należało zmienić taktykę albo, ujmując to inaczej, obniżyć poprzeczkę. Okazało się jednak, że nawet z liną nie pójdzie łatwo. Jej skuteczne przerzucenie z jednej strony głazu na drugą, tak by po drodze o coś się zaczepiła i umożliwiła asekurację, wymagało nie tylko siły i precyzji, ale też cierpliwości. Podjęliśmy nie mniej niż kilkadziesiąt prób. Raz brakowało naprawdę niewiele, innym razem rzut wywoływał salwy śmiechu.

Obserwowałem Marka. Nie kipiał entuzjazmem, ale też nie było po nim widać śladu zniechęcenia. W końcu połączył siły z Dziubasem. Chwycili linę we dwóch i po kilku próbach zorientowali się, co muszą zrobić, by nadać jej pożądaną kierunek.

– Jest! Przeszła! – ryknął Kudłaty.

Pobiegliśmy na drugą stronę. Lina faktycznie zwisała nieco poniżej krawędzi „szczytu”, wciąż jednak znajdowała się zbyt wysoko, by po nią sięgnąć. Szabir zdjął buty i w samych skarpetkach ruszył do góry.

– Chłopie, co ty robisz?!

A on się wspinał. Znalazł oparcie i wyciągnął rękę. Do końca liny brakowało centymetrów. Teraz piłka była po stronie Marka. Kilkoma zamaszystymi ruchami sprawił, że końcówka sznura przesunęła się w dół.

– Jeszcze trochę!

Asekurowaliśmy Szabira, który wyciągał się, jak to tylko możliwe. W końcu złapał. Parę minut później Klonowski omiatał wzrokiem Lattabo. Był na górze.

* * *

– To co? Jutro *final push*? – zapytałem.

Po kolacji jeszcze raz wspólnie obejrzelśmy teledysk, który Marek zmontował wczoraj, nadając mu właśnie taki tytuł. Film był krótki, ale pobudzający. Skondensowana energia. Klonowski, którego relacja z wyprawy na Denali (*W poszukiwaniu czasu bez mistrza Fibiego*) wygrała w 2007 roku 10. Międzynarodowy Festiwal Filmów Górskich w Vancouver (VIMFF) w kategorii „najlepszy film górski”, naprawdę miał talent. Tym razem jako podkładu w kilkudziesięcioszekundowym klipie użył punkowego kawałka *Credo* zespołu Włochaty.

*Kiedy słyszysz o miłości, to coś cię wkurza,
masz chęć zabijać, bo wiesz, że coś takiego wciąż istnieje
mimo tylu wojen i tej twojej nienawiści,
która cię zgubi i która cię zabije.*

*A dla mnie jest to symbol, coś, w co wierzę,
co być może i co trzyma mnie przy życiu,
bo wy macie swoje małe nienawiści,
ja mam miłość wielką, która mnie ocali – tylko tyle!*^[6]

I dalej już bas i perkusja. Szybko.
Mimo to Pablo pozostawał sceptyczny.

- Spoko, jak założymy C4 na 7400, to będzie dobrze – przekonywał go Kudłaty, ale nie brzmiało to jak plan, raczej jak życzenie.
- Wiesz, problemem jest aklimatyzacja. Myśmy ją zrobili dopiero na 6000 metrów. Do szczytu są jeszcze dwa kilometry. Po mojemu to się może nie udać.
- Słyszałem was! – krzyknął z drugiego końca bazy Klonowski. – Po prostu przemy do góry! Tylko tyle. Na 7400, a potem prosto na szczyt.

ROZDZIAŁ IV

sobota, 16 stycznia 2016 roku

Przypomniało mi się, jak przed dwoma dniami Kudłaty z Markiem dziergali w bazie, grzejąc się przy piecyku. Jeden cerował rękawiczki, drugi – puchową kurtkę.

– To jak reperowanie zbroi przed bitwą – zauważył Kudłaty.

– Chociaż nie, zaraz – zreflektował się nagle. – To nie jest żadna bitwa. To zaproszenie do tańca!

Znów nie mógł się zdecydować. Raz mówił o Nandze jak o kobiecie, kiedy indziej przechodził na terminologię wojenną. „Ona”, „taniec”, „wino” i „śpiew” albo „obleżenie” z „natarciem”. Może zresztą te dwa porządki wcale nie były od siebie tak odległe, jak mi się wydawało?

– Pamiętaj, że to Nanga prowadzi – Marek próbował ostudzić jego zapał, ale Kudłaty jakby tego nie słyszał.

– Na razie chyba dupowa, co? Na to się nastawiam. Ale co dalej? Sobota? Niedziela? Może wtedy da się zaprosić na jakieś pląsy?

– Nie – teraz Klonowski był już bardziej stanowczy. – Zaprosić się nie da. Ale może będzie miała ochotę zatańczyć z tobą.

* * *

W sobotnie przedpołudnie (jako jeden z nielicznych wciąż zwracałem uwagę na to, jaki jest dzień tygodnia) Marek sprawiał wrażenie jeszcze bardziej skoncentrowanego. Od rana kręcił się przed bazą, przyglądał Nandze i niebu. Powiedziałem mu o tym.

– Od rana? Nie, od trzech dni.

– Ale dziś wyjątkowo. Wpatrujesz się w górę. Nic innego nie robisz.

– Nie. Prawda jest taka, że po prostu czekałem na kozę.

Szabir i Manaf z pomocą jednego z policjantów zabili ją po śniadaniu. Nie protestowała, nie wydała z siebie głosu sprzeciwu. Była czarna, a oni zrobili to na śniegu. Wyprowadzili ją z obórki, Manaf przygotował miskę na krew i trochę gorącej wody w popękkanym imbryku z różowego plastiku, którego używaliśmy przy porannej i wieczornej toalecie. Chwycili ją pewnie, nic przy tym nie mówiąc, wzięli noże i Szabir delikatnie poderznął jej gardło. Życie uszło z niej szybko, w kilku spazmach, po cichu.

Myślałem, że już po wszystkim, ale nie – to był dopiero początek.

– Po co to robi? – spytałem Abbasa, który wraz ze mną przyglądał się scenie zabicia kozy.

Szabir naciął skórę martwego zwierzęcia zaraz przy ścięgnię, złapał za nogę i z całych sił dmuchał w powstały w ten sposób niewielki otwór. Truchło kozy pęczniało. Wciąż miała otwarte oczy.

– Dzięki temu łatwiej zdejmie z niej skórę.

Wyglądała teraz trochę jak futrzany balon. Gdy Manaf z Szabirem zaczęli ją oprawiać, pokryta gęstą, czarną sierścią zewnętrzna powłoka faktycznie się odrywała, prawie nie stawiając oporu. Obnażone ciało było bezbronne białe i czyste. Na śniegu pozostała tylko niewielka plama krwi. Pakistańczycy zaczęli parcelować mięso. Było warte 120 dolarów.

– Gdyby nie to, przecież poleciałbym w górę już wczoraj – ciągnął Marek. – Ale Abbas mnie namówił: poczekaj, ubijemy kozę, weźmiecie mięso, wrzucicie sobie do tych liofów po kawałku nogi, od razu będziecie mieć większy power. No i tak zeszło.

Na chwilę zamilkł.

– No dobra, trochę się gryzę, że ciągle jestem tu, a nie tam.

Popatrzył w górę.

– Zresztą, spójrz na dzisiejszy dzień.

Było przepięknie.

– Widać szczyt, widać południowy wierzchołek, na niebie najwyżej malutkie chmurki. To się tutaj nie zdarza tak często. Pogoda jak na atak szczytowy.

Nawet jeśli przesadzał, to nieznacznie.

– Tak, dzisiaj powinniśmy być na grani. Ale nie przejmuję się tym zanedo. Wierzę, że skoro zostałem, to znaczy, że miałem czekać.

Nie byłem pewien, jak to rozumieć, a więc i co o tym myśleć. Czy Marek naprawdę – tak jak mówił – wierzył w to, że jego życiem kieruje coś innego niż własne decyzje? A może tak sobie tłumaczył i racjonalizował tę, którą już podjął, bo zaczynał mieć wątpliwości?

– Przez jakiś czas dostawaliśmy prognozy w postaci skryptów, cyferek – powiedział, a ja pomyślałem, że zmienia temat.

– Kolega Pabla napisał aplikację, która czytuje stronę i zapisuje jej treść w postaci kodu, żeby jak najwięcej szczegółów zmieściło się w SMS-ie. Ale to się nie sprawdziło, to nie było dla mnie. Za dużo wszystkiego – że wiatr taki, taka prędkość, w dodatku jakieś deprymujące informacje, na przykład: temperatura odczuwalna minus 60 stopni! Nie wytrzymałem i napisałem do Luka, żeby przysyłał nam swoje interpretacje.

Luk, czyli Łukasz Machowski, nie ma co prawda renomy Karla Gabla, austriackiego meteorologa, który od kilku dekad opracowuje szczegółowe analizy pogodowe dla najwybitniejszych himalaistów (pracował między innymi dla Reinholda Messnera, Ralfa Dujmovitsa i Simone Moro), ale Marek mu ufał.

– To jest ziomus, który przez lata codziennie sprawdzał pogodę, bo pływał na kajacie. I w ogóle lubi się przyglądać, jak wieją wiatry na Ziemi. Więc on patrzy i mniej więcej wie, co się zapowiada. To nie jest superprecyzyjne, ale wystarcza. Lukus ci nie napisze, jaka będzie temperatura odczuwalna o tej i o tej godzinie, tylko na przykład: rozjaśnia się, wiatr się zmienia...

– Że będzie spoko.

– Tak! Albo że będzie cicho, bezwietrznie. I od razu patrzysz na to inaczej. A i tak – co będzie, to będzie.

Luk przysłał SMS-a dziś rano.

– I zapadła decyzja: ruszamy! Mieliśmy iść tylko do ABC, ale spróbujemy pociągnąć

do „jedyńki”. Bo wiesz, wychodzenie do C1 za dnia, w południe, to nie jest najlepszy pomysł.

– Ze względu na lawiny?

– Na lawiny i mokry śnieg. W słońcu się dużo bardziej zapadasz, trudniej się idzie. Dlatego spróbujemy to zrobić wieczorem, może nawet po ciemku. No i polecimy na lekko, bo wszystko mamy już wniesione – śpiwory, kombinezony, karimaty. Dziś o 20, może 21, powinniśmy być w C1.

– A potem?

– Jutro chciałbym wcześniej wstać i dojść do „dwójki”, pojutrze ma być jeszcze *windy-windy*, ale wtorek i środa, przynajmniej według prognozy – boskie.

* * *

Z ustawionej przed bazą niewielkiej kolumny podłączonej do odtwarzacza mp3 popłynął głos Agnes Obel. Był jak dzisiejsza pogoda.

– A co z aklimatyzacją? – przypomniałem sobie wieczorne wątpliwości Pabla.

– Wydaje mi się, że mamy dobrą. Spędziliśmy sporo nocy na sześciu kołach. Wiadomo, chcieliśmy za tym ostatnim razem wyjść wyżej, ale się nie udało. Przez wiatr. On jest naszym kluczowym problemem. Bo na grani jesteśmy totalnie wyeksponowani. Jeśli wieje z południowego zachodu, stamtąd, od Shaigiri – Marek pokazał na jedną z dwóch piramid zamykających dolinę z przeciwnej strony – to choćby dzień był słoneczny, może się okazać bezproduktywny. Ale jeśli wali zza Mazeno, to widzisz tylko pióropusze na wyższej grani i można działać.

– A jak tam w ogóle jest – wyżej?

Odpowiedział, że na 6200 metrów tuż przed garbem mają depozyt. Jedzenie i liny, żeby zaporęczować przeszkodę. Potem łatwo, jakieś cztery godziny drogi na 6600 (choć za pierwszym razem idzie się wolniej, więc – kto wie – może nawet dwa razy dłużej), tam obóz III. A dalej? Dojście do 7000 metrów i szukanie przejścia na drugą stronę, na flankę Diamir, bo taka właśnie jest specyfika drogi Schella.

Możliwość wejścia na szczyt Nanga Parbat z doliny Rupał, ale od południowego zachodu, jako pierwszy wypatrył Toni Kinshofer. Niemiec, który zdobył Nangę w roku 1962 od strony Diamir (drogą nazwaną potem jego imieniem), nie zdążył jej sprawdzić, zginął bowiem dwa lata później. Po kilkunastu latach wyzwanie podjęła wyprawa austriacka. W sierpniu 1976 roku czterej wspinacze – Robert Schauer, Hilmar Sturm, Siegfried Gimpel oraz Hanns Schell (lider ekspedycji) – po założeniu obozu IV przedostali się na stronę Diamir, gdzie biwakowali na wysokości około 8000 metrów, by następnie z powodzeniem zaatakować wierzchołek.

– Wychodząc z „trójki”, masz 200 metrów prosto do góry, a potem musisz się zdecydować: kierujesz się na przejście, które jest niżej, gdzieś na 7200 metrów – i tak zrobił na przykład Czapa trzy lata temu – albo walisz wyżej, w stronę takiej wieży. Ten drugi wariant wybrał Kukuczka w 1977 roku. Coś mi mówi, że powinienem iść tamtędy.

Marek podawał mi te szczegóły, ale ja nie o nie pytałem. Nie sądziłem też, że będę w stanie je zapamiętać. I nagle stało się coś, czego się nie spodziewałem.

– Wiesz, tak naprawdę to jest wielki znak zapytania: co będzie wyżej? Nie mam

pojęcia. Nie jest tak, że wiem. Nie wiem. Przecież nigdy jeszcze nie dotarłem tam tak wysoko.

Powiedział to z tak rozbrajającą szczerością, że miałem wrażenie, jakby się cały odsłaniał. Nie było w tym nic z udawania. Wiedziałem, że ma swoje za paznokciami, że to nie jest tak, że, dajmy na to, rozstali się z Czapa, bo tylko Czapa jest zły, a on dobry i szczerzy, ale w tej jednej chwili byłem gotów kupić każdą jego opowieść, płacąc tyle, ile by za nią zażądał, i nie domagałbym się reszty.

Duńska wokalistka śpiewała:

*I can tell from your eyes
You've never been by the riverside,^[7]*

a Klonowski kontynuował:

– Fizycznie czuję się zdecydowanie lepiej niż na poprzednich wyprawach. Nastawiam się na porządny wysiłek, bo mam wrażenie, że jeszcze się w tym roku nie zmęczyłem. Wbiegam na grań w jeden dzień. To są dwa kilometry w górę i robię to bez problemu. Nawet Szymek z Dawidem [Simone Moro z Davidem Göttlerem – przyp. aut.] się takich akcji nie podejmowali dwa lata temu. Więc jestem bardzo dobrej myśli, chociaż wiem, że fest może mnie sieknąć wysokość. Gadaliśmy już o tym.

Marek spojrział na Pabla. Ten znosił kartusze z gazem i układał je przed bazą.

– Bo to jest niebezpieczne. Zwłaszcza jak lecisz szybko do góry. Nagle może ci po prostu „odciąć prąd”. Organizm dopiero po chwili się orientuje, dokąd go zabrałeś, i woła: ej, *fuck*, gdzie jest tlen?! Nie ma? No to odcinamy wątrobę. Nic – najwyżej będziemy rozrzedzać krew strzykawką Pabla.

W apteczce wyprawy, skompletowanej pod fachowym okiem mamy Pawła Dunaja, znajdowały się między innymi: tramal, ketonal w zastrzykach, tropikamid, thiocodin (na „górski kaszel”), nitrendypina (przeciwko obrzękowi płuc) i, wreszcie, zapobiegające wystąpieniu Ostrej Choroby Górskiej (AMS) diuramid (acetazolamid) i deksametazon (stosowany przy obrzęku mózgu). Profilaktyczne podanie tego ostatniego może sprawić, że organizm szybciej przystosuje się do przebywania na dużej wysokości (objawy niepożądane – według Roberta Szymczaka, lekarza i himalaisty, którego opracowanie na ten temat udostępnia Polski Związek Alpinizmu: dziwaczne sny, rozdrażnienie, euforia).

* * *

Ale Marek miał jeszcze jeden sposób na to, jak usprawnić gospodarkę tlenową na wysokości.

– Na górze przydaje się brak myślenia. Bo na myślenie mózg zużywa najwięcej tlenu. Dlatego wszystkim polecam: podczas wspinaczki za wiele nie myśleć. Zresztą na nizinach również.

I to wcale nie był żart. On mówił serio, a ja wiedziałem o czym. To jak na tym obrazku, który tak się podobał w internecie. Pan i pies idą przez łąkę. „Czy wiesz, czemu twój pies jest szczęśliwszy od ciebie?”. Nad głową pieska komiksowa chmurka, a w niej: pies, pan i łąka. Dokładna miniatura tego, co na obrazku. Zanurzenie

w aktualnym doświadczeniu. Życie. A w głowie pana? Ani śladu spaceru. Symbol dolara, palmy, samochód, kobieta. Wszystko, tylko nie tu i teraz. Znałem to. Zamiast uczestniczenia w zdarzeniach – myślenie o nich. Najbardziej dewastująca, zabójczo energochłonna i odgradzająca od życia technologia łączności ze światem. I najpopularniejsza.

– O swoją banię się nie martwię – Marek przerwał mi rozmyślania. – Bo jest pusta. Idę, wyłączam się, lecę. W górach w ogóle nie trzeba myśleć. Idziesz i jesteś w tym stanie. Właściwym. Nie potrzebujesz nic. Pomaga w tym przestrzeń. Tak wielka, nieskończona przestrzeń, że – tu zawiesił głos – jest ci dobrze. Czuję, że tak to może wyglądać, gdy kończy się życie. Masz przed sobą taką przestrzeń i jest ci dobrze. Bo ja wierzę, że po śmierci jest ci po prostu dobrze. Nieskończenie, cały czas dobrze. Nie istnieje dla ciebie czas i nie masz zmartwień. I tutaj też tak bywa. Często.

Może się wystraszyłem tego, co jeszcze powie, bo w takim momencie zapytałem go o namioty.

– Mamy przygotowane dwa – odparł. Cały czas mówił spokojnie, jego głos był łagodny i pewny. – I dwie łopaty. Wszystko jest na samej górze, więc przynajmniej nie musimy już tego nosić. Gdybym szedł sam, to wziąłbym mały namiot i łopatę, ale jeśli wyjdziemy we dwóch, to zabierzemy większą dwójkę. Oczywiście jak będzie okazja, żeby wykopać jamę, nawet na 6600, to czemu nie? Bardzo chętnie. Ale nie wiem, czy starczy nam na to czasu i energii. Porządną jamę kopie się trzy-cztery godziny, a namiot rozstawiasz w 30 minut. Poza tym, wiesz, jamy się przydają głównie wtedy, kiedy masz wiatr i już nie wyobrażasz sobie kolejnej nocy w targanym przez wichurę namiocie. A ja liczę, że na grani będzie bezwietrznie.

Muzyka się zmieniła. Teraz Nathan Willett z Cold War Kids przeciągał:

You wrung me out too, too, too many times!^[8]

– To znaczy, że idziesz dziś z Pablem? To już pewne?

– No widzisz, to się tak samo układa. Powstają grupy. Rano przyszedł ten SMS od Luka, Pablo go przeczytał i mówi: idę.

– Może iść kto inny, nie ma problemu – włączył się Paweł. Wokół niego zdążyła wyrosnąć sterta kartuszy. Butli było co najmniej kilkanaście. – Tylko żebyś nie szedł sam.

– Ale przecież od dwóch dni mówiłem, że idę. Sam.

– No, ale na garbie jednak przyda ci się ktoś, żebyś miał asekurację.

Marek znowu popatrzył na mnie.

– Pablo też chce wejść na szczyt. Taka jest prawda.

* * *

– Buty do tańca gotowe! – zawołał Kudłaty, gdy wreszcie skończył. Ostatnie pół godziny spędził z pilnikiem w ręku, starannie ostrząc raki.

– Po co rakom aż tyle piłowania? – spytałem.

– Przody. Kiedy idziesz przez lodowe odcinki, co parę kroków musisz się tak chamsko wbić – pokazał, jak chamsko, kopiąc powietrze – krótko mówiąc: przyjebać. Dopiero

jak jesteś pewien, że noga siedzi, wykonujesz następny ruch. Masz cztery kończyny. Potrzeba, żeby trzy miały oparcie. Wtedy czwarta może iść do przodu. No i łady siadają, jak masz tępe raki.

Marek przerwał i przyjrzał się dziełu kolegi.

– No, ładnie sobie to wytarłosił, skubany!

Świeciło słońce i – mimo mrozu – koło południa było na tyle ciepło, że nikt nie protestował, gdy Manaf użył brązowej ceraty, by nakryć nie stół, ale gołą ziemię przed bazą. Rozsiadliśmy się wokół, niektórzy na karimatach, reszta na kłodzie, długiej na półtora metra, wykorzystywanej codziennie przy rąbaniu drewna. Cała była w bliznach i ranach od siekiery. Danie nie mogło być świeższe: makaron i poranny urobek.

– Co to jest?

Na twarzy Pabla pojawiło się może nie przerażenie, ale niepokój.

– Mówili, że wątróbka – odparł Dziubas, pewnie sięgając po miszkę.

– Weź nie żartuj! *Fuck!*

– Pablo? Czemu nie zjesz? – zapytał szczerze zdziwiony Marek. – Przecież to cała masa żelaza!

– Dziękuję bardzo, ale od tego biorę hemofer.

* * *

Po obiedzie nie zostało już wiele czasu, ale Marek i tak go nie potrzebował. Przynajmniej nie dzisiaj. Od dwóch dni był spakowany, gotowy do wyjścia. Zajrzał do plecaka, coś w nim poprawił, dorzucił pół kilograma rodzynek, które przywiozłem z Polski, zajęło mu to najwyżej chwilę. Siedział przed bazą i słuchał muzyki. Za to Pablo – podobnie jak trzy dni temu, gdy go poznałem – był wszędzie i nie ustawał w krzątaninie.

Najpierw te gazy. Wyciągnął z bazy wszystkie kartusze, następnie każdy zważył, używając niewielkiej elektronicznej wagi hakowej, a pomiary skrzętnie zanotował markerem na puszkach. Następnie zaczął segregować: kartusze, w których gazu pozostało ponad połowę, przygotował do spakowania. Strażak nie był przekonany, czy to ma sens. Twierdził, że od propanu-butanu lepszy byłby izobutan. – Ma bardziej zrównoważoną temperaturę spalania – tłumaczył fachowo.

– Propan spala się w innej temperaturze, butan w innej i zostaje resztką, nawet połowa, z którą nie wiadomo, co zrobić.

Kiedy skończył z kartuszami, poszedł nad rzekę płukać pranie.

– Pablo, po jaką cholere pierzesz? Przecież ty dziś wychodzisz – rzucił któryś z chłopaków.

Nie marnował energii na odpowiedź, wieszał. Potem się spakował, a na koniec poprosił Manafa o ciepłą wodę. Napełnił miednicę, postawił na śniegu przed bazą, rozebrał się do naga i dokładnie umył.

– Czemu nie? – pomyślałem. – Skoro idzie na tańce.

Tymczasem Dziubas wskazał na chmurę, która pojawiła się nad wierzchołkiem Nangi.

– Kurde, coś się tam dymi.

– Dziubas, co ty gadasz? – skrzywił się Klonowski. – Dymi się, ale chyba z twojej ręki.

I przejął od niego blanta.

* * *

– No nic, zobaczymy, jak warun. Bo ile nam zostało? Dwa tygodnie? Wszystko zależy od pogody. Tak myślę. Liczę, że będziemy szybcy. Jak nigdy wierzę, że teraz się uda.

Nikt już nie siedział. Żegnaliśmy się. W tle ryczał Zack de la Rocha:

Ya gotta bullet in ya head!

A bullet in ya head!^[9]

– Wychodzimy. Nanga zaprasza. Albo tak nam się wydaje.

ROZDZIAŁ V

niedziela, 17 stycznia 2016 roku

Kiedy w bazie zrobiło się luźniej, dało się dostrzec więcej szczegółów. Na przykład to, że niemal w każdym kącie poniewierały się książki. Nie było ich chyba tylko na wiszącej nad stołem półce, bo tam królowały przyprawy, keczup, którego nadużywali Pablo i Dziubas, maleńka kawiarka Dzika (podpatrzył taką dwa lata temu w mesie u Simone Moro) oraz duża plastikowa puszka z pomarańczowym proszkiem, który po rozpuszczeniu udawał smak soku ze świeżych owoców.

Chaotycznie rozmieszczoną bibliotekę tworzyły między innymi: wywiad rzeka Piotra Drożdża z Krzysztofem Wielickim, *Do ciepłych krajów* Tomasza „Wróbla” Wróblewskiego o rowerowej wyprawie do Afryki, *W pogoni za cieniem* Roberta Kursona o poszukiwaniu wraków z drugiej wojny światowej oraz *Na oceanie nie ma ciszy* – historia życia Aleksandra Doby, który samotnie przepłynął kajakiem Atlantyk, autorstwa Dominika Szczepańskiego, notabene przedzierającego się właśnie przez dolinę Diamir w drodze do bazy po drugiej stronie Nangi. Była też jakaś książka o samodoskonaleniu napisana przez amerykańskiego pastora (*Ja, którym chcę być* Johna Ortberga) oraz *Resortowe dzieci. Służby* Doroty Kani. Kindle’a używał tylko Kudłaty. Biorąc pod uwagę, że dostarczenie tutaj, do Lattabo, każdego dodatkowego kilograma miało wpływ na ostateczny koszt ekspedycji, zgromadzenie w bazie pokaźnej kolekcji książek mówiło wiele o priorytetach mieszkańców. Nie podjąłbym się jednak dociec, która książka należała do kogo, nie miało to zresztą znaczenia, bowiem obowiązywała tu jedna anarchokomunistyczna zasada dotycząca wszystkich sprzętów: „każdemu według jego potrzeb i od każdego według jego sił”. Na przykład mojego Petera Godwina *Gdzie krokodyl zjada słońce* od razu zagarnął Dzik.

* * *

W oczy rzucała się też biało-czarna maska leżąca nieopodal postania Marka. Widniała na niej twarz Guya Fawkesa pochodząca z komiksu *V for Vendetta* Alana Moore’a i Davida Lloyd’a, która stała się symbolem anarchicznego ruchu Anonymous sprzeciwiającego się nadużyciom władzy we współczesnym świecie. Aktywiści, głównie hakerzy, posługując się bardziej lub mniej legalnymi metodami, walczą z różnymi przejawami ograniczania indywidualnych wolności w imię wąsko rozumianego bezpieczeństwa i podtrzymywania status quo.

Jesteśmy anonimowi. Jesteśmy legionem. Nie przebaczymy. Nie zapominamy. Spodziewaj się nas

– głosi deklaracja działającego globalnie ruchu. Gdy patrzyłem na maskę, wróciła do mnie rozmowa, którą odbyłem z Markiem kilka lat wcześniej.

– Mówię poważnie – zapewniał. – Chcę działać wyzwolenczo. Wyzywam się w górach, ale prawdziwy hardkor to zmienić system. Hardkor życiowy. Ja na czele partii, jako szef rządu, ratuję świat ze szponów kapitalizmu, banków i korporacji. Robimy rewolucję, przechodzimy na inne źródła energii. Każdemu jest dobrze. Media przylepiają wielu sprawom etykietkę teorii spiskowych. Tak jest wygodnie, bo dzięki temu prawda nie dociera do tych, którzy wiedzę o świecie czerpią tylko z telewizora. A ta prawda jest bardzo często zabójczo prosta. Wystarczy się rozejrzeć. Ziemia jest wspólna, więc dlaczego to korporacje mają większe prawa do jej zasobów niż zwykli ludzie? I dlaczego ci sami ludzie godzą się, by dla tych korporacji pracować? Oddawać im, co najlepsze w życiu! Niestety, społeczeństwa są coraz bardziej kontrolowane, okłamywane, ogłupiane i zniewalane. Z kolei media stanowią tak potężną barierę, że być może do ludzi da się przemówić już tylko ze szczytu.

Antysystemowy charakter projektu Nanga Dream nie ograniczał się więc do ciągłych problemów z kasą i braku instytucjonalnego wsparcia ze strony Polskiego Związku Alpinizmu, ale miał swoje odbicie również w ideologii. Manifest programowy chłopaków brzmiał:

Nanga Dream to wiara w wyzwolenie ludzkości ze złego systemu. Małymi kroczkami, uparcie. Po stronie życia, przeciwko śmierci, wbrew ciemnościom przez szczyt.

Fajne. Tylko co to znaczyło? Oczywiście, wszystko dało się łatwo wykpić. Halo! Ziemia? Jaka rewolucja? Jakie wyzwolenie? Naprawa świata przez pomieszkiwanie w lodowej szczelinie na 6000 metrów? Ale nawet jeśli mogło się to wydawać naiwne, trzeba było przyznać, że w dziedzinie budzenia świadomości i czynienia życia na Ziemi bardziej znośnym i sprawiedliwym nie przynosiło gorszych rezultatów niż inne, na pierwszy rzut oka poważniejsze inicjatywy.

Co najwyżej, podobnie jak one, nie przynosiło żadnych.

* * *

– Najwyraźniej problem z cyferkami ma nie tylko Marek – pomyślałem, przypominając sobie wczorajszą rozmowę o prognozach pogody. Dłuższą chwilę próbowałem uporządkować informacje o drodze prowadzącej z ABC do grani. Kamień, „puszkownia” na 4600 metrów, gdzie wysunięty obóz bazowy lokują letnie wyprawy, „żleb Schella”, garb przed C1, lodowy garb między C1b a C1c, garb powyżej „dwójki” – wszystko mi się myliło. O pomoc w rozrysowaniu trasy poprosiłem Dziubasa. Szykował się do wyjścia, tak jak Kudłaty i Dzik, ale – takie odniosłem wrażenie – z przyjemnością się zgodził. Do 6000 metrów dobrnęliśmy dopiero na czwartej kartce.

– Tyle gadacie o „jaskini Zębatego”, jak się właściwie mieszka w czymś takim? – spytałem. – Ty tam spędziłeś ostatnio cztery noce.

Miałem w pamięci to, co powiedział Pablo: – Kiedy śpisz w namiocie, Zębaty przychodzi do ciebie. Ale w jamie to ty przychodzisz do Zębatego. I jeszcze słowa Marka: że w dłuższym przebywaniu pod bryłami lodu, w spaniu na nich, jest coś niewłaściwego, niezdrowego, niebezpiecznego. I to nie tylko dlatego, że coś ciężkiego

może zlecieć na głowę (w 2014 roku niewiele brakło, by Jacek Teler zapłacił najwyższą cenę za nadmierne poszerzanie przestrzeni życiowej w jamie; wyrąbując czekanem wnękę w lodzie, nie zauważył, że narusza większą strukturę – skończyło się na stłuczonym ramieniu i rozdartej kurtce). Według Marka lodowa jaskinia była jak czarna dziura: połykała, wysysała, wciągała. Do tego w środku cały czas było ciemno.

– Ja tam nie mogę spać – odpowiedział Dziubas. – Nie wiem, czy to tylko przez wysokość, czy też przez ten lód, ale regeneruję się dopiero w bazie. Ale poza tym da się tam żyć. Przy wejściu masz balkon, jak jest trochę słońca, można się nawet porządnie wygrzać.

Kluczowe dla przetrwania (przeczekania!) w jaskini było właściwe odżywianie się i picie, by uniknąć odwodnienia. Przygotowanie posiłku zaczynało się od ogrzania kartusza z gazem. – Technika jest najważniejsza – tłumaczył Dziubas. – Wstajesz i gaz od razu w gacie, na jajka.

– A wieczorem do śpiworka – włączył się Kudłaty.

Jeśli naturalne metody nie wystarczały, a któremuś z kolegów udało się już wcześniej uruchomić własną maszynkę, kartusz można było ogrzać nad palnikiem. Nie było to zgodne z zasadami BHP, ale czego się nie robi dla ciepłego posiłku. Następnie należało rozłupać nożem bryłę lodu i uformować ją tak, by zmieściła się do menażki, a potem poczekać, aż woda uzyska odpowiednią temperaturę. W końcu nadchodził moment, który wynagradzał wszelkie niedogodności.

– To jest jedna z najprzyjemniejszych chwil w ciągu dnia. Zalewasz wodą worek z liofilizowanym żarciem, wrzucasz go sobie za pazuchę i, zanim go zjesz, on cię grzeje.

Pomyślałem, że ciekawie byłoby się o tym wszystkim przekonać na własnej skórze. Tylko to zimno. Wysokość. No i wiatr.

* * *

Do bazy Zębaty raczej się nie zapuszczał (zimne poranki miały dopiero nadejść), ale i tak uznałem, że pora naciąć drewna do pieca. Zapas wyraźnie się skurczył, co znaczyło, że najdalej za dwa dni trzeba będzie się przespacerować z Manafem w górę doliny, żeby uzupełnić stertę gałęzi. Dziś jeszcze było z czego wybierać. Wziąłem siekierkę opartą o drewniany filar przy izbie zamieszkiwanej przez policjantów i zacząłem rąbać. Nie byłem wprawny. Szczapy ześlizgiwały się z konara służącego za podpórkę. W końcu po kwadransie dopracowałem się przyzwoitego urobku. Być może ten sukces osłabił moją czujność. Kiedy zamachnąłem się po raz kolejny, nierówno ułożona gałąź odskoczyła i jakby w odwecie za cios zadany jej ostrzem walnęła mnie w zęby.

Gdy szukałem w kieszeni chusteczki, którą mógłbym zetrzeć krew z rozciętej wargi, w drzwiach izby sąsiadującej z bazą pojawił się Abbas. Pokazałem na porąbane drewno i powiedziałem, że część może zabrać do kuchni.

– Dzięki, dzięki – odparł po polsku i zaśmiał się, jak zawsze wtedy, gdy próbował swoich sił w naszym języku.

Miał zaledwie 22 lata, bardzo dbał o swój wygląd i na wyprawie pełnił funkcję oficera łącznikowego. W praktyce zajmował się wszystkim: organizacją zaopatrzenia, wynajęciem porterów, kontaktami z urzędem wydającym pozwolenia na działalność

wysokogórską. Formalnie pośredniczyła w tym agencja Karakoram Magic Mountain Mohammada Alego, ale faktycznie większość obowiązków przejmował *guide*, czyli Abbas. Mimo niewielkiego doświadczenia radził sobie doskonale. Z Markiem poznał się dwa lata wcześniej i od razu przypadli sobie do gustu. Podczas wyprawy zimą 2013/2014 ekipa Nanga Dream korzystała z usług innej agencji (Jasmine Tours, którą kierował Ashgar Ali) oraz miała innego oficera łącznikowego, ale po nieporozumieniach związanych z rozliczeniem kosztów akcji ratunkowej było jasne, że przed kolejną ekspedycją konieczna będzie zmiana operatora. Dla Klonowskiego znajomość z Abbasem okazała się więc bardzo przydatna. Z wzajemnością.

Młody Pakistańczyk pochodził z Tarashing i tu, w dolinie Rupal, był u siebie. Znał wszystkich. Gdy szliśmy przez jego rodzinną wieś (170 domostw, dwa hotele), pokazał mi solidny, zadbane budynek szkoły, w którym kiedyś uczył się czytać i pisać. Na studia wyjechał do Islamabadu, lecz swoich stron nie zamierzał opuszczać na zawsze. Jego ojciec Ali Rahmat ma w Tarashing sklep, do rodziny należy też stojący tuż przy wjeździe do wioski pensjonat Rupal. Prowadzi go brat Abbasa Zafer Iqbal. Interes na końcu świata kręci się całkiem nieźle, bo latem do doliny przyjeżdża sporo turystów, głównie krajowych.

Gdy tydzień temu, po dobie spędzonej w autobusie firmy NATCO (Northern Areas Transport Corporation), dojechałem z Rawalpindi do Astore, to właśnie Abbas odebrał mnie z dworca. Chodzenie po tym kilkunastotysięcznym mieście wymagało wprawy. Nachylenie większości ulic wynosi tu dobre kilkanaście stopni, a niemal wszystkie pokryte były lodem. Miejscomi nawet w odświętnych laczkach wydawali się jak przyspawani do podłoża, ale ja co chwilę ratowałem się przed upadkiem i gdyby nie silne ramię Abbasa, obiłbym plecy wielokrotnie. Był pewny siebie i bezpośredni. Podczas rozmowy, w zależności od potrzeby, umiał skracać lub trzymać dystans. Wiedział, czego chce i co musi zrobić, by to osiągnąć. Z chłopakami w bazie rozumiał się doskonale.

W rodzinny biznes zaangażowany był też wuj Abbasa Jamsheed. Choć był niemal dwa razy starszy, sprawiał wrażenie gorzej zorganizowanego. Polubiliśmy się. Jamsheed również był przewodnikiem, a do tego – kierowcą. Kilkudziesięcioletnią, niezniszczalną, musztardową toyotą BJ-45 woził ludzi z Astore do Tarashing. Na górskiej drodze liczącej około 30 kilometrów, której pokonanie zabierało ponad dwie godziny, dokonywał cudów.

Abbas spytał, czy mamy wieści od Marka i Pabla. Wiedziałem, że wczoraj po południu zgodnie z planem osiągnęli „jedynekę”, ale dziś jeszcze się nie odzywali. Pomyślałem, że to odpowiedni moment, by zagadnąć go o to, co kołatało mi się po głowie.

– Trudno byłoby się stąd przedostać na stronę Diamir?

Oczywiście nie chodziło mi o „wariant Kukuczki” z 1977 roku ani nawet o to przejście nieco niżej. Celowałem raczej w coś mniej eksponowanego. Po drugiej stronie góry, tej znacznie gorzej nasłonecznionej, sporo się działo. Cztery wyprawy, międzynarodowe towarzystwo, Tomek Mackiewicz. Myśl o tym, że jestem tak blisko i nawet nie spróbuję rzucić okiem na Nangę z innej perspektywy, nie była wygodna.

Tyle że ja wcale nie byłem blisko.

– Musiałbyś się najpierw dostać do Chilas. To są dwa dni, co najmniej. Potem

stamtąd trekking do bazy – kolejne trzy. No i potrzebowałbyś przewodnika.

Abbas patrzył na mnie swoimi żywymi, brązowymi oczami. Miał starannie przycięty wąsik, a jego czarne włosy z przedziałką pośrodku błyszcząły, chociaż słońca o tej porze było już jak na lekarstwo. Pomyślałem, że musiał je niedawno umyć.

– Ile by to kosztowało?

– 800, może 700 dolarów.

Przynajmniej spytałem.

* * *

– Halo, baza? – W radiu zaskrzeczał głos Pabla. – Dajcie znać. Czy Marek się do was odzywał? Wyszedł rano na grań, i od tamtego czasu zero kontaktu.

Na dole, oprócz Abbasa, Manafa i Szabira, zostaliśmy tylko ja oraz Strażak. Kudłaty z Dziubasem spakowali się i ruszyli w górę tuż po obiedzie, a Dziku niespełna godzinę po nich.

– Nie, cisza – odpowiedziałem. Wbrew pozorom nie było powodów do niepokoju. Chłopaki opowiadały, że Markowi się to niekiedy zdarza, zresztą nie tylko jemu, wśród wspinaczy zjawisko to było częste: idąc, wyłączają radio. Żeby mieć spokój.

Marek: – Był taki moment, mieliśmy niezapomniany krótki odcinek między C1 a C2. Został, bo skupiliśmy się wcześniej na tym, żeby zabezpieczyć górne partie i łatwiej się dostać na grań. Brakowało tam liny dosłownie na 100 metrach, nie więcej. Widziałem, że jest lawiniasto, ale niosłem liny, które koniecznie chciałem dostarczyć wyżej.

Pablo: – Ej, padało, mgła była i śnieg był ciężki.

Dziubas: – To była jakaś przedziwna, tropikalna pogoda. Mgła i gorąco.

Marek: – No, było słabo. Chłopaki tego dnia zatrzymali się w C1, a ja byłem z godzinę drogi wyżej. Pomyślałem: cholera, muszę położyć tu poręczówkę, bo jest kiepsko. Więc idę z liną, rozwinąłem z 50 metrów i brakowało mi może półtora, może metra do kamieni, o które mógłbym ją zaczepić i być bezpieczny. A przy tym widzę, że śnieg, który jest pode mną, zaraz się urwie. Więc rozkładam się szeroko: nogi, ręce, jak żaba, i chcę jak najwolniej dojść do kamienia. Wiem, że jak już go złapię, to będzie dobrze. Ale wciąż mi kawałka brakuje. I nagle widzę, jak śnieg wyjeżdża. Robię sześć szybkich kroków w pozycji żaby, żeby się uratować.

Pablo: – A ja jestem 200 metrów niżej, ta lawina leci na mnie. Ale jestem na linie.

Marek: – Wszystko leci. A ja stoję. Na tych kamykach. Udało się. Łoooo! Oddechu nie ma, wiadomo – ze strachu i z wysiłku. Serducho wali. Ale jestem bezpieczny. A lawina, powoli i ciężko, sunie na dół.

Pablo: – Jeśli jesteś na linie, to w takiej sytuacji szybko, jak w *Mission Impossible*, biegniesz najbardziej w bok. I jesteś w miarę bezpieczny. Dobiegłem i patrzę, czy gdzieś z lawiną nie jedzie Marek. A najgorsze, że on wtedy nie miał ze sobą radia!

Kudłaty: – Oj, były godziny niepewności. Czekaliśmy, żeby Marek się wreszcie odezwał.

Pablo: – A on dał znać dopiero koło 19 albo 20, bo wcześniej musiał odkopać namiot.

Kudłaty: – Nasłuchiwaaliśmy, czy się gałgan wreszcie odezwie.

Pablo: – Gałgan, gałgan! W takich chwilach to się ludzi od gałganów wyzywa. Szkoda gadać.

Marek: – Ja wołałem, ale nie było mnie słychać. W końcu udało mi się połączyć.

Dziubas: – Wszyscy odetchnęli. Taka ulga, że od razu zaczęliśmy w namiocie gotować kisiel.

* * *

Marek dał znać kwadrans później. Złoił garba! Wykorzystując dobrą pogodę, zaporęczał brakujące fragmenty drogi. Jednak na grani zaczęło wiać jak cholera, więc wycofał się do miejsca pozostawienia depozytu na 6200 metrów. Okopał się, rozstawił namiot i postanowił spędzić tam noc, podczas gdy Pablo pozostał w „dwójce”.

– A ty co planujesz? – spytałem Strażaka.

Grzał się przy piecyku, czytając biografię Doby. Szybko mu szło.

– O czwartej rano ruszam do ABC, zgarniam po drodze Dzika i razem ciśniemy do „jedyńki”.

Wyglądało na to, że jutro będzie tu luźniej niż kiedykolwiek.

ROZDZIAŁ VI

poniedziałek, 18 stycznia 2016 roku

Chociaż Marka nie było, Manaf i tak przyszedł rano do bazy. Obaj wiedzieliśmy jednak, że to nie to samo. Nie zajrzał po to, by mnie wyciągnąć na kawę, lecz przyniósł śniadanie. Poprosiłem go, żeby wziął je z powrotem.

– Przyjdę zjeść do was, tylko się ubiorę.

Z izbą, w której spaliśmy, kuchnia sąsiadowała przez ścianę. Pomieszczenie było podobnej wielkości, też służyło w innych okolicznościach za schron dla kóz i owiec, ale jego urządzenie znacznie różniło się od bazy. Nie było stołu, za to klepisko zostało dokładnie wyścielone dyktą i karimatami oraz miękkim, choć nieco wilgotnym dywanem (ktoś musiał go tu przynieść!), na którym leżała jeszcze cerata. Posiłki można więc było komfortowo spożywać, siedząc na ziemi. Na lewo od wejścia stał sklecony z nierówno przyciętych kawałków drewna, rachityczny, sporych rozmiarów stelaż, przykryty tekturą. Wzmocniony szarą taśmą samoprzylepną pełnił funkcję kuchennego blatu. Zaraz za nim był piecyk, taki jak nasz (ósemka albo symbol nieskończoności), może ciut większy. Zdecydowanie większa i głębsza była natomiast wydrążona obok dziura w ziemi służąca za składowisko popiołu. Pomiędzy piecem a ścianą znalazło się zaś miejsce na kilka półek, na których Szabir przechowywał słoiki z przyprawami. Bo to właśnie Szabir tutaj królował.

Nie miał jeszcze trzydziestki i podobnie jak Abbas pochodził z Tarashing. Zimowa wyprawa Nanga Dream 2015/2016 była bodaj dziesiątą ekspedycją wysokogórską, w której brał udział, pracując jako kucharz. Nie po raz pierwszy też jego pomocnikiem był Manaf. Miał okrągłą, pogodną twarz i gęste, ciemne kędziory, zazwyczaj schowane pod czapką. Odzywał się rzadko, ale przyczyną była raczej słaba znajomość angielskiego niż mrukliwe usposobienie. Gdy już to robił, okazywało się, że ma cięty dowcip i wyjątkową zdolność mówienia zabawnych rzeczy z kamienną miną. Śmiał się oczami. Najbardziej lubił pożartować z Manafa i z Dzika, a także przyglądać się w milczeniu, jak inni jedzą to, co przyrządził.

Przygotowanie posiłków poprzedzał rytuałem. Zaczynał po południu, przychodząc do naszej izby, by zaproponować coś na kolację i ustalić menu na dzień następny; otwierał drzwi i, uśmiechając się, przysiadał koło piecyka. Chwilę milczał, trochę słuchał, czasem patrzył komuś w oczy. W końcu, jakby od niechcienia, rzucał: – *Chicken, pasta. Tike?* Albo: – *Omelette? Tomorrow breakfast. Tike?* Pytając, najchętniej zwracał się do Marka. Rzadko kiedy musiał coś negocjować. Gdy już uzgodnił (czy raczej oznajmił), co przygotowuje, siedział jeszcze chwilę przy ogniu. Potem wychodził.

* * *

W głębi kuchni, na całej szerokości, znajdował się ziemno-kamienny podest. Na pół przedzielała go drewniana, pionowa belka, na której widniał wykonany markerem

napis: CZAPKINS 2013/14. Przestrzeń po lewej stronie podwyższenia pełniła funkcję spiżarni, z prawej zaś mieściło się legowisko. Korzystali z niego wspólnie Abbas, Szabir i Manaf.

Tego ranka śniadanie było wyjątkowe, bo jajka z czapati i parathkami jedliśmy razem, we czterech. Kiedy w bazie było więcej osób, Pakistańczycy spożywali posiłki osobno, po nas, za nic nie dając się przekonać do wspólnej biesiady. Czekać wyłącznie na mnie byłoby jednak przesadą. Szabir zapytał, czy chcę paki-czaju. Chciałem. Posłodzony smakował jak najzwyklejsza bawarka, ale oni dodawali do niego masła i soli. Wolałem cukier.

– Strażak źle się poczuł, schodzi, pewnie za chwilę tu będzie – powiedziałem.

Tak jak założył, wyszedł z bazy o 4 rano, lecz już o 6 zbudził mnie jego głos w radio. Coś siadło mu na żołądku i zamiast iść, musiał się co chwilę zatrzymywać. Powiedział, że doniesie tylko swój sprzęt do namiotów i wraca. No tak, zamierzałem spędzić ten dzień sam, ewentualnie trochę pogadać tu w kuchni, ale plan zmieniał się dynamicznie. W chwili gdy o tym pomyślałem, drzwi otworzyły się z impetem i stanął w nich Dzik. Od razu zrobiło się żywiej.

– Kurwa, mam pecha! To już kolejny raz. Miałem dzisiaj moc, żeby iść w górę, a musiałem wrócić do bazy.

Ściągnął buty, odłożył aparat fotograficzny, drugi z trzech, jakie miał (z jednym nigdy się nie rozstawał), i siadł między nami. Chciał dotrzeć dziś do C1, a potem do „dwójki”, na grań, by zrobić zdjęcia, o jakich marzył. Ale nie mógł iść tam samemu.

– Dzik?

Szabir podał na aluminiowym talerzu aż trzy sadzone jajka, jakby chciał w ten sposób chociaż odrobinę wynagrodzić niepowodzenie.

– *Szukrija, badzian! You're a good man.*

Michał Dzikowski, rocznik 1978, w ekipie Nanga Dream był najstarszy, a historia jego życia, tak zawodowego, jak i uczuciowego, miała wiele zakrętów. Na pytanie, skąd jest, nie potrafił odpowiedzieć w krótki i jasny sposób, i już to mówiło o nim niemało. Wychowywał się na Pomorzu, potem mieszkał na Dolnym Śląsku, a najdłużej – w Gorzowie. Ponad dziesięć lat temu wyemigrował na Wyspy.

– W Polsce powodziło mi się nieźle. Prowadziłem firmę, miałem kafejkę internetową, mieszkanie, samochód i to wszystko w wieku dwudziestu paru lat.

Pewnego dnia jeden z jego pracowników oznajmił mu, że wyjeżdża. Po kilku tygodniach odezwał się już z Irlandii. – Nie ma porównania – powiedział. Michał sprzedał, co miał, resztę spakował albo zostawił i też wyjechał. Podejmowanie radykalnych kroków nie było dla niego niczym nowym. Z domu rodziców wyprowadził się, mając zaledwie kilkanaście lat. I to od razu na drugi koniec Polski. Liceum kończył eksternistycznie, dojeżdżając do szkoły pociągiem; kilkaset kilometrów.

– Ojciec potrafił do mnie zadzwonić i pochwalić się, że kupił jakąś grafikę czy obraz za 20 tysięcy. A ja, odbierając telefon, siedziałem w mieszkaniu w kurtce, bo oszczędzałem na ogrzewaniu, i jechałem na samych ziemniakach. Nienawidziłem go za to – opowiadał. Dziś przywiązuje do zdrowego odżywiania ogromną wagę.

Jest wysoki, dobrze zbudowany, a na łopatce ma wytatuowaną Afrykę. Od wielu lat goli włosy przy samej skórze, nie wygląda jednak na zabijakę. Wręcz przeciwnie –

czasem sprawia wrażenie, jakby chciał się przytulić do świata i podzielić się z nim miłością, która go rozsadza. No, chyba że akurat się wkurzy. W życiu miał już pięć wypadków samochodowych. Poza tym nurkuje.

– Moja córka...

– Masz córkę? – spytałem. – Ile ma lat?

– 17.

Czyli niewiele mniej niż jej ojciec, gdy po raz pierwszy się żenił. By wziąć ślub, potrzebował pisemnej zgody rodziców. Za to w wieku 21 lat był już po rozwodzie. Wszystko szybko, zachłannie, intensywnie. Na takim życiu i na eksperymentach zesła mu młodość. Dziś, przynajmniej emocjonalnie, się ustatkował. Ożenił się po raz drugi i mieszka w Galway, nad oceanem. Marka poznał przypadkiem, na lotnisku w Dublinie. Wracał z Maroka, dokąd przez kilka lat regularnie jeździł, by przez parę tygodni w roku pobyc sam na pustyni. Opowieść o Nanga Dream – o wolności, miłości i lepszym świecie – była jak skrojona na jego miarę. Lecz gdy pracuje się w korporacji – jednej z największych na świecie firm dostarczających zaawansowane technologie medyczne; zarządza ludźmi i projektami, świetnie zarabia – nie tak łatwo jest wyjechać ot tak, w środku roku, na trzy miesiące do Pakistanu. Dwa lata temu jeszcze jakoś naciągnął szefów na urlop, ale w tym postawili mu ultimatum: jeśli pojedzie, nie ma już po co wracać. Więc się zwolnił. Po dziewięciu latach.

– Nie wiem jeszcze, co będę robił, jak wrócę – mówił. – Na razie się nad tym nie zastanawiam.

Wysłane przez siebie mejle podpisuje:

Jestem fotografem. Narzędziem, za pomocą którego próbuję zrozumieć życie i dzielić się rezultatami swych poszukiwań, jest aparat. Mike D., Galway, West of Ireland

* * *

Przypomniało mi się, jak przed kilkoma dniami, po dwóch dobach spędzonych powyżej 4000 metrów, Dziku zszedł do Lattabo i wszędzie go było pełno. Nie mógł usiedzieć. Najpierw powiedział, że nie ma siły nawet, by się rozebrać, a już za chwilę znosił z podwórza zamarznięte pranie, bynajmniej nie swoje. Potem przygotował jakiś piekielny, gorący napój, składający się z zupy miso, zielonej herbaty, kawałków kurczaka i mieszanki elektrolitów. Wypił go, po czym poprosił Abbasa, żeby Szabir upiekł dla niego kilka świeżych czapati, bo jest głodny. Cały czas przy tym gadał.

– Zachowuje się dokładnie tak jak ty wczoraj – powiedziałem wtedy do Pabla.

Nie potrafili mi wytłumaczyć, na czym to polegało, ale ewidentnie kto schodził z góry, dostawał energetycznego doładowania. Może to tlen tak działał, nagle, po przymusowym poście, dostępny dla organizmu bez ograniczeń? Albo „zjeżdżała” adrenalina? W końcu tu, w bazie, nie trzeba już było zwracać uwagi na każdy krok, bo fałszywy ruch nie groził podcięciem lawiny. Ryzyko oberwania w głowę zbłąkanym kamieniem też było niewielkie. A więc – być może – tym paliwem, które tak nakręciło Pabla, Dzika i pozostałych, była nie do końca uświadomiona, kompulsywna radość z tego, że po raz kolejny udało im się zachować życie? Bo przecież przypomnijmy, co mówił Kudłaty: – Tam, w górze, czujesz, że znajdujesz

się w miejscu, w którym nie powinno cię być. A oni właśnie stamtąd wracali.

(To samo miało się przydarzyć za kilka dni Dziubasowi. Zszedł zrezygnowany, wyzuty z energii, bez sił choćby na to, by rozegrać z nami w karty partię bazaru, a już po godzinie zaczął śmiało planować kolejny atak na Nangę).

„Speedu tlenowego” na pewno jednak nie miał dziś Strażak. Gdy dotarł do bazy, wyglądał na zmizerowanego. Nie chciał jeść, zagrzebał się w śpiworze.

– To nic, do wieczora mi przejdzie i jutro na spokojnie znowu wyjdziemy.

Dziku nie był tego taki pewien, chociaż emocje mu trochę opadły, wciąż chodził niezadowolony. Na szczęście mieliśmy się czym zająć. Zapas drewna był na wyczerpaniu. Przedpołudnie, zapowiadające się na leniwe, w sam raz nadawało się do tego, by zrobić z nim coś pożytecznego.

* * *

Istniały przynajmniej dwa sposoby na to, by pozyskać drewno w Lattabo. Pierwszy – uczciwszy i bardziej efektywny – wymagał wybrania się z Manafem na wycieczkę w górę doliny. Lasu jako takiego co prawda w okolicy nie było, za to były drzewa. Niewysokie, iglaste, dzielne. Trzymające się twardo pomimo wiatru, niskiej temperatury i wysokości. Niektóre z nich, stojące samotnie w najbardziej eksponowanych miejscach, na grzbietach moren – z powyłamywanymi gałęziami i niedobitymi pozostałościami koron – przypominały palmy, co dawało dość absurdalny efekt.

Zabraliśmy po kawałku liny i poszliśmy. Manaf, z siekierką na ramieniu, prowadził. Za nim podążaliśmy Dziku i ja. Wydawało się, że kto jak kto, ale góral z Tarashing będzie znał drogę, ale – pomyślałem – może wcale tak nie jest? Może tylko robi dobre wrażenie, a o zbieraniu drewna pod Nangą wie niewiele więcej od nas? Przyszło mi to do głowy, bo szliśmy już bardzo długo, w dodatku cały czas klucząc. Mijaliśmy leżące na ziemi kupy gałęzi, które najwyraźniej ktoś przygotował sobie do zabrania, obchodziliśmy pnie, rozłupane nie wiadomo kiedy oraz przez kogo, i przecinaliśmy ścieżki wydeptane w śniegu łapami lisów. W końcu Manaf przystanął.

– Tutaj – powiedział i od razu zabrał się do roboty, zaczynając od ociosania mocno już nadwyrężonego pieńka. Nie zamierzaliśmy się tylko przyglądać, więc ruszyliśmy w krzaki, by szukać skarbów.

– To się nada, to nie – Manaf jednym rzutem oka selekcionował nasze znaleziska. Po pół godziny mieliśmy już solidny urobek. Teraz jeszcze trzeba to było stąd zabrać. Widziałem wcześniej, jak wygląda sznurkowy plecak, ale nie miałem pojęcia, jak coś takiego zrobić. Manaf w pierwszej kolejności wziął się za Dzika. Rozłożył linę na szerokim, płaskim kamieniu, potem ustawił na niej konstrukcję z przyciętych gałęzi oraz konarów mniej więcej równej długości, poprosił Michała, żeby przykucnął, po czym kilkoma zwinnymi ruchami zamontował na jego grzbiecie cały pakunek. Przyglądałem się uważnie, ale i tak wiedziałem, że nie będę umiał tego powtórzyć. Podałem więc Manafowi swoją linę i czekałem, aż zastosuje całą procedurę i do mnie. Wycenił mnie trochę niżej.

Drugi sposób na pozyskanie drewna był prostszy. Oprócz chłopaków z Nanga Dream i chłopaków z Tarashing Lattabo zimą zamieszkiwali też policjanci. Było ich

dokładnie tylu, ilu uczestników wyprawy wpisanych na pozwoleniu, tak bowiem stanowiły przepisy – na każdego przybysza z zewnątrz musiał przypadać stróż prawa. Ich rola polegała formalnie na zapewnieniu nam bezpieczeństwa, ale ponieważ w dolinie Rupal, przynajmniej dopóki nie przekroczyło się 4000 metrów, niebezpiecznie nie było, w praktyce policjanci musieli bronić przede wszystkim siebie – przed nudą. Od karabinów znacznie lepiej nadawały się do tego telefony. Gry, muzyka, filmy – wiadomo. Wiadomo też, ile zżera to prądu. Musieli więc gdzieś ładować baterie. A ponieważ ciszy Lattabo szczęśliwie nie zakłócał huk generatora, przychodzili z tym do nas. Jak mogli się odwdziżyć, skoro zapewnienie nam bezpieczeństwa i tak leżało w zakresie ich obowiązków? Odstępowali nam drewno. Barter, i to idealny – energia za energię.

* * *

Gdy wróciliśmy, Szabir był jakiś dziwny. Już rano uśmiechał się bardziej melancholijnie. Do tego ta muzyka, którą puszczał dziś z telefonu. Pod nieobecność Marka wziął z bazy głośnik, więc słycać było wyraźnie. Rzewne kawałki śpiewane w szina. Nie rozumiałem ani słowa, ale założyłbym się, że to musiało być o tym: on tęskni, ona tęskni, kochają się, ale nie mogą być razem (inna sprawa, czy, gdyby mogli, mieliby jeszcze ochotę śpiewać). Abbas potwierdził.

– A Szabir ma dziewczynę? – spytałem.

– Ma. Ten sygnet, który nosi na palcu, to prezent od niej.

No przecież, sygnet! Duży pomarańczowy kamień w srebrnej oprawie. Szabir bez ustanku kombinował coś przy swoich rękach, jak mogłem tego wcześniej nie zauważyć? Jego dziewczyna Anila miała dopiero 16 lat. Mieszkała z rodzicami w Tarashing. Blisko, stąd zaledwie o parę godzin, a jednak Szabir nie widział się z nią już kilka tygodni.

(Jeśli faktycznie było, jak mówił – a raczej nie zmyślał, był w końcu pobożnym muzułmaninem – Szabir i jego narzeczona mieli szansę, by się pobrać z miłości. W Pakistanie nie zdarza się to często. Pary, które zawierają *love marriage*, to zaledwie kilkanaście procent ogółu tych, które wstępują w związki małżeńskie).

Każdemu trafiał się tutaj taki dzień. Ale jeden dzień tęsknoty za tyle dni przygody? Nie była to cena, której nie dałoby się zapłacić.

* * *

Wieczorem połączyliśmy się z Markiem.

– U nas w porządku – zaczął. – Siedzimy w jamie. Rano chciałem coś podziać na grani, ale pizgało tak, że nie było sensu się szarpać. Totalna bryndza. Potem doszli do nas Kudłaty i Dziubas. Długo im zeszło. Mieli ciężkie warunki, nawet jakaś lawina ich postraszyła. Dziubas szedł pierwszy, więc go łupnęło w udo, a Kudłaty jak to Kudłaty – miał farta i spadł na cztery łapy.

– Ale nic im się nie stało?

– Nie, wszystko gra. Plan na jutro: rano wcześnie wstać i ostro do góry grzać!

– Wszyscy?

– My z Pablem wyjdziemy wcześniej, a chłopaki, jak się tylko ogarną i zmobilizują. Ale tak: wszyscy lecimy na 6600, do „trójki”.

Radio zniekształcało głos Marka na tyle, że nie byłem w stanie zrozumieć, czy mówi to z przekonaniem, czy tylko chciałby, żeby tak było.

– A tu, na dole, po południu trochę padało – powiedziałem raczej bez związku. – Ale dla was to chyba nie ma znaczenia?

– No, u nas pogoda cały dzień beznadziejna, totalnie. Mnóstwo śniegu, zero możliwości prowadzenia działalności na grani. Na szczęście według najnowszych prognoz coś ma się zmienić.

– Tak, słyszeliśmy od Pabla, że dostał SMS-a. Że niby od jutra po południu aż do piątku robi się znośnie.

– Od jutra rana – poprawił mnie Marek. – Ale zobaczymy. Czterodniowa prognoza to żadna prognoza.

Schowani przed zadymką w lodowej jamie na 6000 metrów byli poinformowani lepiej od nas. Wiedzieli też, że po stronie Diamir Alex Txikon zaporęczał drogę aż do 6500, a jego partner z wyprawy Daniele Nardi miał wypadek.

Czym mogłem się zrewanżować? Powiedziałem, że Szabira wzięło na sentymenty.

– Puszczął jakieś hardkorowo rzewne kawałki, dopóki Dziku mu nie zabrał głośnika. Potem się ogolił, a na koniec Manaf obciął mu włosy.

– Oki doki. No nic, zobaczymy, co się wyklaruje. Nara, chłopcy! My się tu powoli rzucamy w koje. Co mówisz, Pablo?

Przez chwilę nie było nic słychać.

– Piąta rano? Nie! Czwarta! Czwarta, Pablo. Ruszamy! Ruszamy! Zostały nam cztery dni. Cztery dni świadomego cierpienia.

ROZDZIAŁ VII

wtorek, 19 stycznia 2016 roku

Shaigiri Peak i Laila Peak wyglądały wspaniale nawet na tle nieba zachmurzonego tak bardzo jak dzisiaj rano. Uwielbiałem wpatrywać się w ich piramidy zamykające dolinę od południowego zachodu, ale wciąż myliło mi się, która jest która.

– Shaigiri? Laila? – wskazując na wierzchołki, zagadnąłem jednego z policjantów, kiedy staliśmy przed bazą, uśmiechając się do siebie i głównie milcząc. Popatrzył najpierw na nie, a potem na mnie. Nie miał na sobie munduru, bo policjanci nie nosili tu uniformów – po co? Jego funkcję i tak wystarczająco identyfikowała czarna, naciągnięta na uszy czapka z napisem POLICE.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Też jestem tu pierwszy raz w życiu.

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć. Wciąż staliśmy i się uśmiechaliśmy, ale teraz – chyba – obaj mile zaskoczeni tym, że wcale nie mamy ze sobą tak mało wspólnego, jakby się wydawało. A zagadka pozostała nierozwiązana jeszcze tylko przez chwilę. Nadeszła odsiecz.

– Shaigiri Peak – mężczyzna, który do nas dołączył, pokazał na pierwszą górę. – Laila.

Był tragarzem. Wczoraj przyszedł do Lattabo z Tarashing i przyprowadził ze sobą osiołka. Bez wątpienia znał okolicę. Pomyślałem, że teraz już zapamiętam, ale złapałem się na tym, że moja uwaga skupiona jest na czymś innym niż topografia: na jego stroju. Ubrany był w jasnoszare spodnie z polaru w delikatny, ale całkiem gęsty rzut z białych gwiazdek. Założył je z całą pewnością po to, żeby było mu ciepło w nogi. W końcu – do czego innego miałyby służyć spodnie? A jednak przeszło mi przez myśl, że na ulicy gdzieś w Europie wyglądałoby to dosyć hipstersko.

Jak się potem okazało, ta brawurowa stylizacja wcale nie była przypadkowa. W kolejnych dniach widywałem go przechadzającego się po okolicy w żółtej bluzie z kapturem w rzut sporej wielkości cyfr oraz liter. Miałem też graniczące z pewnością przekonanie, że suszące się na palisadzie z patyków różowe spodnie od pizamy z nadrukowanymi wesołymi małpkami również należą do niego.

* * *

Pogoda była kiepska nie tylko tutaj. Marek z Pablem dali znać, że chociaż wyszli dziś z jamy zgodnie z planem jeszcze przed wschodem słońca, z każdą godziną robiło się coraz trudniej. Spojrzałem tam, gdzie zwykle dało się dostrzec Nangę. Miejsce było zakryte chmurami, a z lewej strony na prawą przetaczały się gęste cumulusy. Postanowiłem jednak, że i tak się gdzieś przejdę. Siedziałem już w bazie o wiele za długo.

Przecisnąłem się pomiędzy pasterskimi zagrodami i, schodząc po śliskiej, błotnistej skarpie, znalazłem się na wysokości strumienia. Ruszyłem na południowy wschód. Po około 30 minutach marszu szeroką ścieżką prowadzącą ponad korytem rzeki

okrążyłem czoło lodowca Tapp i dotarłem do rozległej polany. Mimo chmur jak na dłoni było stąd widać słynną drogę Messnerów. Gdybym znalazł w sobie dość motywacji, żeby „przeskoczyć” jeszcze jedną morenę – znacznie większą niż Tapp; tę, która trzymała w swoim uścisku lodowiec Bazhin – osiągnąłbym miejsce zwane do dzisiaj obozem Herrligkoffera, skąd w 1970 roku bracia wystartowali. Ale nie znalazłem. Tak czy owak, stałem na wielkiej, ukrytej pod śniegiem scenie, na której od lat działa się historia himalaizmu.

* * *

Karl Maria Herrligkoffer był lekarzem i obsesjonatem. Gdyby nie on, sława Nanga Parbat – Króla Gór i Góry-mordercy – pewnie nie byłaby dziś aż tak wielka. O jego życiu przesądziło to, co wydarzyło się, gdy miał 18 lat. W konsekwencji był pod Nagą Górą aż dziesięć razy!

Jeśli przyjmujemy europocentryczną perspektywę i zgodzimy się, że Annapurna była francuska (bo Maurice Herzog, Lionel Terray i Gaston Rébuffat), Everest brytyjski (bo George Mallory, Andrew Irvine, Edmund Hillary), a K2 włoskie (bo księżę Abruzji i Ardito Desio), to Nangę śmiało możemy przydzielić Niemcom. Pierwszy opis położonej w pobliżu doliny Indusu ogromnej góry przekazali do Europy w latach 50. XIX wieku bracia Schlagintweit. Monachijscy botanicy prowadzili badania w środkowej Azji, działając na polecenie Alexandra von Humboldta, najbardziej wszechstronnego umysłu tamtej epoki, twórcy nowożytnej geografii. W swojej relacji posłużyli się lokalnymi nazwami, które znane są dziś na całym świecie: Diámar i Nánga Parbat. (Dwóch z nich, Hermann i Robert, szczęśliwie wróciło z wyprawy do Niemiec, ale trzeci z braci, Adolf, pozostał w Azji i kilka lat później zawędrował aż do Kaszgaru. Został tam wzięty za szpiega i ścięty. Jakkolwiek trudno w to uwierzyć, jego głowę przywiózł potem do Europy przyjaciel Dostojewskiego). Wejścia na szczyt jako pierwszy spróbował co prawda Anglik (Albert Mummery z Dover w roku 1895 dotarł na wysokość około 6000 metrów i, wraz z dwoma towarzyszącymi mu tragarzami, zaginął; ciał nie odnaleziono), ale już od lat 30. ubiegłego wieku dominującym językiem pod Nangą stał się niemiecki. Na zdjęciach pochodzących z tamtej dekady wygląda to osobliwie – wysoki maszt, himalajski krajobraz, gęste chmury, a na ich tle łopoczący prostokąt z wyrysowaną w środku czarną swastyką. Z grubsza w tym samym miejscu, w którym wiele lat później ktoś będzie śnił sen o wolności. Dla Herrligkoffera, a więc i dla całej historii późniejszych zmagania z Nangą, kluczowa okazała się wyprawa z 1934 roku.

Dzięki finansowemu wsparciu Kolei Niemieckich oraz pomocy związków alpinistycznych Willy Merkl (1900–1934), z zawodu kolejarz, zorganizował wyprawę, która miała zostać uwieńczona sukcesem zdobycia dziewiczego szczytu.

[10]

Nie została.

Ekspedycja działała na flance Rakhiot, po północno-wschodniej stronie Nanga Parbat, i od samego początku miała tragiczny przebieg. 11 czerwca,

najprawdopodobniej wskutek obrzęku płuc, śmierć poniósł Alfred Drexel. Alpinieści nie przerwali jednak wyprawy i po czterech tygodniach osiągnęli wysokość 7500 metrów, na której rozbili obóz VIII. 7 lipca dwóch z nich, Peter Aschenbrenner i Erwin Schneider, dotarło w miejsce oddalone od szczytu o zaledwie 230 metrów w pionie, ale zamieć zmusiła ich do odwrotu. Zejście zamieniło się w walkę o życie. Dla sześciu Szerpów oraz Uliego Wielanda, „Willo” Welzenbacha i Willy’ego Merkla – przegrana.

Karl Herrligkoffer był bratem przyrodnim Merkla. Gdy dowiedział się o tragedii, poprzysiął, że zrobi wszystko, by pamięć o Willym nigdy nie przebrzmiała.

To przeżycie wstrząsnęło nim, a jego żałoba przybierała coraz bardziej traumatyczny charakter. We wszystkich dziedzinach życia czuł się spadkobiercą Willy’ego. Karl Maria, niezwykle zręczny w sprawach finansowych, zgłosił roszczenia do tantiem od książek, które powstały w związku z wyprawą na Nangę, przede wszystkim jednak słyszał zew zmarłego brata, by wypełnić jego „testament” i w jego imieniu pokonać tę niezlomną górę, z którą przegrał, płacąc najwyższą cenę.^[11]

* * *

Choć nie miał zdolności alpinistycznych, jego sprawność organizacyjna oraz akcentowane na każdym kroku pokrewieństwo z Merklelem sprawiły, że to właśnie Herrligkofferowi powierzono kierownictwo pierwszej po wojnie ekspedycji austriacko-niemieckiej na Nanga Parbat. Odbывała się ona „ku pamięci” Willy’ego Merkla, a szefem sportowym został uczestniczący w dramatycznych zdarzeniach roku 1934 Peter Aschenbrenner.

Alpinieści znajdowali się już na podzielonym przez ONZ linią demarkacyjną pomiędzy Pakistan a Indie spornym terytorium Dżammu i Kaszmiru, gdy 29 maja doszła do nich wiadomość o wejściu Edmunda Hillary’ego i Tenzinga Norgaya na Mount Everest. Jak pokazały późniejsze wypadki, podziało to na nich motywująco.

Z początkiem lipca, pomimo wyraźnego sprzeciwu Herrligkoffera, który – ze względu na prognozy – polecił wszystkim znajdującym się w górze powrót do bazy (akcja, podobnie jak w roku 1934, rozgrywała się na flance Rakhiot), pochodzący z Monachium Otto Kempter oraz Austriak Hermann Buhl, przewodnik górski z Innsbrucku i weteran walk pod Monte Cassino, rozpoczęli atak szczytowy.

Zabrali ze sobą tylko najpotrzebniejszy sprzęt. Zapas herbaty, tabletki pervitiny, trochę cukru gronowego: chodziło przecież o wyprawę na pół dnia. Celem był szczyt, strasznie wysoko, bo 1200 metrów ponad nimi. Pokonać musieli jeszcze ogromny dystans, bo około 6000 metrów. A to wszystko w aurze wrogiej organizmowi ludzkiemu: zbyt mało tlenu, oślepiający żar promieni słonecznych i lodowate powietrze.^[12]

Bez względu na to, czy decydujący okazał się amfetaminowy speed (pervitina to pochodna metamfetaminy, jako stymulant używana była przez Wehrmacht podczas

drugiej wojny światowej), wpływ liści koki czy nadludzkie zdolności wspinaczkowe, bezsporne pozostaje, że pod koniec dnia, 3 lipca 1953 roku, nie posiłkując się dodatkowym tlenem, Hermann Buhl jako pierwszy człowiek w historii stanął na wierzchołku Nanga Parbat. Po wycofaniu się Kemptera większość drogi przebył samotnie. Skrajnie wyczerpany, następnego dnia wieczorem resztkami sił dotarł do obozu V, dokąd wyszli mu naprzeciw Hans Ertl i Walter Frauenberger. Wyglądał jak zombi. Jego samotny wyczyn do dziś pozostaje jednym z najbardziej spektakularnych dokonań w historii himalaizmu.

Cztery lata później wraz z Fritzem Winterstellerem, Marcusem Schmuckiem oraz Kurtem Diembergerem jako pierwszy zdobył również Broad Peak. Niedługo potem zginął, próbując wejść na Chogolisé (7654 metry). Jego ciała nigdy nie odnaleziono.

Sukces roku 1953 dla Herrligkoffera okazał się niewystarczający. Po pierwsze, musiał go dzielić. Po drugie, nie do końca sprawdził się na wyprawie jako kierownik, wciąż miał więc co udowadniać. Po trzecie, o czym była już mowa, miał na punkcie Nangi obsesję.

Kolejne – mniej lub bardziej udane – ekspedycje do Pakistanu prowadził w latach 1961, 1962, 1963, 1964 (pierwsza próba częściowo zimowa!), 1968, 1970 (słynna wyprawa z udziałem braci Messnerów), 1975, 1981 i 1982.

Zmarł w roku 1991 w Monachium. Miał 75 lat. Ostatni raz kierował ekspedycją w góry wysokie zaledwie pięć lat wcześniej. Był wtedy liderem międzynarodowej wyprawy na K2 (w jej składzie znaleźli się między innymi Jerzy Kukuczka i Tadeusz Piotrowski), a działo się to w trakcie najtragiczniejszego sezonu w historii eksploracji tej góry. Od czerwca do sierpnia śmierć na K2 poniosło aż 13 himalaistów (w tym trójka Polaków: Piotrowski oraz Dobrosława Miodowicz-Wolf i Wojciech Wróż).

* * *

Spacer po dolinie rozochocił mnie na tyle, że po obiedzie (arcygulasz z kozy; Szabir najwyraźniej otrząsnął się z melancholii) zdecydowałem się pójść na kolejny.

– Byłeś nad jeziorem? – zapytał mnie Dzik.

– Nad jeziorem?!

Nie widziałem tu żadnego jeziora.

Ale było. Gdybym wcześniej przyjrzał się zdjęciom satelitarnym (zamiast czarno-białym fotografiom w pożółkłej książce^[13]), wiedziałbym, gdzie je znaleźć. Należało wspiąć się na morenę lodowca Tapp, tego najbliższej wioski. Równo przykryta śniegiem tafla wypełniała całą przestrzeń poniżej. Wspaniale ukryty, zamrożony zbiornik miał jakieś 300–400 metrów długości, a szeroki był mniej więcej na 200. Niby wszystko wyglądało tu tak samo jak w pozostałych częściach doliny – śnieg, karłowate drzewa, naniesione kamienie, a nad tym góry – ale, przez to odcięcie moreną od reszty świata i panującą w środku ciszę, gdy zeszło się nad brzeg jeziora, można było odnieść wrażenie, że jest się na innej planecie.

No a potem, na deser, widok na Lattabo z krawędzi moreny. Rzeka, wypływająca z samego środka doliny, zaczynała meandrować niemal od razu przy wywierzysku. Po lewej, od południa, narastające wzniesienie masywu Rupal, z prawej Nanga, a gdzieś w oddali przełęcz Mazeno. Mógłbym tam stać i chłonąć widok bez końca. Ale

zszedłem.

Zbliżając się do zabudowań, dostrzegłem dym unoszący się z komina nad bazą.

– Dziwne, przecież o tej porze miało już nikogo nie być.

Moje myśli uciekły jednak gdzie indziej. Spojrzałem na najsolidniej prezentujący się element krajobrazu spośród tych, które zostały dodane tu ludzką ręką. Na wzniesieniu, nieco powyżej linii dachów, stał meczet. Zbudowano go nie z kamienia i gliny, ale z pustaków. Jego wnętrze, służące też za magazyn mąki, oświetlała mocna żarówka. W dolinie było cicho. Owce i kozy nie wróciły jeszcze na noc ze swoich pastwisk, a do wieczornej modlitwy pozostawały przynajmniej dwie godziny. Manaf, który oprócz tego, że pomagał Szabirowi w obowiązkach, w Lattabo pełnił również funkcję muezina, wyśpiewując codziennie donośnym głosem azan (wezwanie do modlitwy), stał przed bazą i ćmił papierosa.

Okazało się, że do ABC po południu wybrał się tylko Dzik. Strażak postanowił poczekać do rana. Grzał się przy piecu. Spytałem go, co u chłopaków.

– Wycof. Siedzą w jamie.

ROZDZIAŁ VIII

środa, 20 stycznia 2016 roku

Wreszcie był mróz – jak cholera. Strażak wyszedł o 4 rano, a ja zostałem w bazie sam. Posprzątałem, pisałem i paliłem w piecu. Termometr na zewnątrz wskazywał 18 stopni poniżej zera. Nie narzekałem, ostatecznie nikt przecież nie kazał mi przyjeżdżać zimą w Himalaje. Poza tym byłem tu już od ponad tygodnia i przez ten czas nauczyłem się czegoś od chłopaków.

Marek: – Zasady były jasne: nie ma pieprzenia o tym, że jest zimno. Pierwszaki mogą raz, ale to wszystko. I to działało. Przynajmniej do chwili, gdy robiło się już naprawdę ostro. Wtedy zdarzało się, że ktoś nie wytrzymał: „O kurwa, ale jest zimno”. Inni to akceptowali: „No, masz rację, stary, jest zimno. Ale nie pierdolmy o tym. Pogadajmy lepiej o cyckach”.

– *Good weather* – uśmiechnął się do mnie Szabir. Wszedłem do kuchni. Wyglądało na to, że prognoza od Luka się sprawdza. Może i było zimno, ale także słonecznie oraz bezchmurnie. Na tle ciemnobłękitnego, czystego nieba Nanga wyglądała obłądnie.

Śniadanie zeszło nam na żartach. Szabir bez pardonu darł łacha z Manafa, który wczoraj miał wyskoczyć na dzień lub dwa do Tarashing, lecz w końcu się z tego wycofał.

– Boi się, bo żona go bije. Jest taaaka wielka – pokazał. Była od Manafa 17 lat młodsza, mieli siedmioro dzieci.

Śmiech przerwało trzeszczące radio. Zgłosił się Marek:

– Co za dzień! Widzę Hindukusz, proszę państwa. Hin-du-kusz! To musi być to, nie ma innej opcji!

Był na 6200 metrów, w miejscu, gdzie od dwóch lat czekał depozyt. Tuż za nim podążał Pablo. Tylko katastrofa mogła ich dziś powstrzymać przed założeniem „trójki”. W głosie Marka, chociaż – jak zwykle – zakłócały go trzaski, słychać było najczystszy zachwyty.

* * *

– Jest w tym coś narkotycznego, na bank. Co sprawia, że tam zdarzają ci się takie momenty. To głównie przez widok doznajesz olśnienia. Jesteś na sześciu klockach, chmury płyną kilometr niżej, a ty wcale nie siedzisz w samolocie! Wychodzi słońce, nie jest ci zimno, masz wszystko.

Marek zaczął tego szukać już dawno. Najpierw były solowe akcje. Rower. Chodziło w nich głównie o pokonywanie jak największych odległości.

– To cię wprowadza w trans, jest jak mantra – mówił.

Pierwsza wyprawa, rok 2000, nad Adriatyk. Śpiwór, karimata, menażki, butla gazowa z palnikiem, naostrzony nóż, kompas, aparat, jedna bluza i stara kurtka przeciwdeszczowa. Nic więcej.

– Wsiadłem w sandałał w pociąg do Zakopanego i do przodu. Nawet nie miałem namiotu, a z kasą, wiadomo – śmiesznie. Ale się udało. Dobrze poszło.

Napisał potem:

Robiłem dokładnie to, na co miałem ochotę. Było wspaniale. Te ponadgodzinne zjazdy z zawrotną prędkością na ostrych zakrętach i kilkugodzinne podjazdy z nadzieją, że za zakrętem jest już przełęcz, gwieździste ciepłe noce z ogromnym księżycem, opuszczone, zniszczone wioski, gotowanie ryżu na ognisku, jazda w ciepłym deszczu, gdy przed tobą rozpościera się tęcza nad ogromnym polem słoneczników, to są te chwile, do których często powracam w myślach i aż mnie przechodzą dreszcze.^[14]

Dziennie pokonywał około 100 kilometrów. Potem było kilka krótkich, ale bardzo treściwych wypadów w Tatry (latem i zimą), Dolomity (w które dojechał autostopem), półroczny kontrakt na największym żaglowcu świata (pięciomasztowa fregata „Royal Clipper”, wachty w siłowni, trochę pływania po Karaibach, a następnie Atlantyk i Europa), wreszcie Kaukaz. Czy raczej: rowerem dookoła Morza Czarnego. Rok 2003. Tym razem odległości były już potężne. W 58 dni prawie 7000 kilometrów – nierzadko ponad 200 kilometrów dziennie, 2500 kilometrów pociągiem, 250 kilometrów wodolotem, a po drodze wejścia na Elbrus (5642 m), Kaçkar Dağı (3937 m, Turcja) i Moldoveanu (2544 m, najwyższy szczyt Rumunii).

1 VII

Dzisiaj to chyba trochę przesadziłem. Muszę dać na luz, bo coś mi się jeszcze stanie. To nie jest normalne, żeby pedałować jedenaście i pół godziny.

Po co?

Siedzę sobie w cieniu pod drzewkiem i zaczynam rozumieć, czemu tak mnie ciągnie w samotne podróże. Właśnie wymyśliłem, że nazwę to poczuciem totalnej czystości psychicznej. Czuję się znakomicie – właśnie to jest to (a może tylko tak mi się wydaje).^[15]

Mniej więcej w tym samym czasie Marek zdążył się też ożenić. Agatę znał od dawna, przez kilka lat pływali razem na kadecie w jednej załodze.

– Ślub, umówmy się, generalnie przygoda niekontrolowana. Ale był. Dobrze, że był. Mam ślub za sobą, jestem doświadczony.

Podobnie jak Dzik i Dziubas Klonowski za sobą ma również rozwód.

* * *

Rok 2005. W Gryfinie bieda. Praca niby jest, ale jaka?

– W elektrowniach wiatrowych, firma ze Szczecina. Przychodzę zaraz po studiach, bach!, biuro. Nauczyli mnie skanować, kserować, wysyłać faksy. Wiedzieli, że mam wartość, że naprawdę się znam na tych wiatrakach, ale sami dopiero wchodzili

na rynek, to nie był ten moment. W dodatku poczułem, że nie ma bata, żebym wytrzymał w biurze. Zwolniłem się po trzech miesiącach.

No i z żoną układało się, powiedzmy, tak sobie.

– Kocham innego – oznajmiła.

– Aha, no to ja lecę.

Rower już nie wystarczył. Przyszedł czas na spotkanie z hardkorem górskim: Denali (dawniej McKinley). Solo i od północy. Wciąż: przesuwanie granic wytrzymałości. Po raz pierwszy na taką skalę: ryzyko (choć wcześniej były już Tatry, Kaukaz i Dolomity).

– To była głupota, debilstwo. Ale się pofarciło.

Najpierw jednak trzeba się było tam dostać. Klonowski ruszył autostopem przez Stany. W Seattle zanotował:

Przejechałem cały kontynent w poprzek. Dobre uczucie.^[16]

Na początku kwietnia dotarł do Talkeetny. Przez to miasteczko, jak z *Przystanku Alaska*, w sezonie przewijają się setki ludzi, z których wielu próbuje potem zdobywać wierzchołek Denali (6194 m), najwyższej góry Ameryki Północnej. To stąd na lodowiec latają powietrzne taksówki, których piloci cieszą się w Stanach Zjednoczonych opinią nieustraszonych ze względu na warunki, w jakich muszą lądować. Na razie jednak było jeszcze spokojnie. Szaleństwo miało zacząć się dopiero za kilka tygodni. Zresztą Marka i tak nie było stać na to, by zapłacić kilkaset dolarów za lot na lodowiec. W dodatku chciał się dostać nie na Kahiltnę, skąd atakują górę „wszyscy”, ale dalej, nad Wonder Lake, po północnej stronie masywu, gdzie zaczyna się długa, mozolna droga na szczyt przez lodowiec Muldrow.

Poznał Joka i zaczął u niego pracować. Ciął drewno, wyżywał się piłą, pomagał układać blachę na dachu. Po trzech tygodniach Jok zabrał go swoim dwuosobowym żółtym samolotem na północną stronę Denali (być może dlatego Markowi do dziś tak podobają się żółte auta).

– Jok aż do ostatniej chwili próbował mnie odwieść od tego zamiaru. Nie chciał, żebym szedł tym lodowcem – ze względu na szczeliny. Ale poszedłem. I to była szkoła. Uuu! Gruba. Na Denali nauczyłem się paru zasad chodzenia po górach i miałem szkołę przetrwania. Tak, na tej północnej ścianie był hardkor. Po takiej akcji nie ma już nic strasznego. Dzisiaj w życiu bym się na to nie porwał samemu.

Już prawie tam jestem, teraz się już nie poddam. Końcówka jest najcięższa, idę jak w amoku, jestem solidnie odwodniony, ponieważ przeciekła mi butla z wodą i tak zamarzyła, że niemożliwym jest ją otworzyć i się napić. Końcówka strasznie się ciągnie, wydaje mi się, że wierzchołek co chwila oddala się ode mnie.^[17]

20 maja 2005 roku o godzinie 20.30 Marek Klonowski stanął na szczycie. Następnie, schodząc do bazy na lodowcu Kahiltna, dokonał pierwszego w historii solowego trawersu Denali od północy. I nie miał pieniędzy, by wrócić. Dogadał się więc z przewoźnikiem, że ten zabierze go powietrzną taksówką do Talkeetny, a on odpracuje potem u niego 15 godzin.

Na Alasce został do połowy sierpnia.

We wrześniu wrócił do Polski, ale nie na długo. Podobnie jak Dzik i dziesiątki tysięcy innych osób zdecydował się poszukać przyszłości w Irlandii. Rok później, podczas krótkich wakacji w Polsce, poznał Idę. Po paru miesiącach przyjechała do niego w odwiedziny i została. W grudniu 2007 roku na świat przyszedł ich pierwszy syn Arek. Klonowski planował już wtedy wspólną wyprawę z Czapą (spotkali się na początku roku 2006).

– Odkąd go poznałem, wiele się zmieniło. Ktoś, kto cię nie męczy w podróży. Ma dobre tempo i wszystko toczy się z nim tak, jak powinno. Przestałem jeździć sam. On też. Teraz jeździmy razem – mówił Marek kilka miesięcy przed ich ostatnią wspólną wyprawą.

Wiosną 2008 wybrali się na Logana i go złoil. Dwa lata później zaczęli jeździć pod Nangę.

* * *

Jeszcze raz tego ranka zajrzałem do kuchni. Powiedziałem Abbasowi, żeby nie czekali na mnie z obiadem, i schowałem do kieszeni kilka czapati, które zostały po śniadaniu. Ubrałem się najcieplej, jak potrafiłem, i ruszyłem tym razem na zachód, w stronę lodowca Shaigiri. Po półtorej godziny marszu i przejściu moreny znalazłem się w miejscu, które wyglądało jak z bajki. Dnem doliny płynęła, częściowo skryta pod lodem, szeroka rzeka. Na jej stromym, przeciwległym brzegu wznosiły się zabudowania opustoszałego o tej porze roku pasterskiego sioła, a na to wszystko pionowo z góry padały promienie południowego słońca. Zatrzymałem się przy drewnianym moście, którego z pewnością od wielu dni nikt nie używał. Byłem sam. Gdziekolwiek spojrziałem, miałem przed oczami połacie śniegu. Nietkniętego, doskonale białego. Chociaż nie byłem na 6000 metrów, tylko „w cieniu, pod drzewkiem”, zaczynałem rozumieć, o co chodzi Markowi.

Gdy wróciłem do Lattabo, okazało się, że pod moją nieobecność w bazie pojawili się goście. Jeden ubrany był w wysokie, wiązane buty ze sztucznym futrem (tu, gdzie pasterze śmigali po śniegu w rozczłapanych adidasach, wyjątkowa rzadkość), charakterystyczne, szerokie w kroku szalwary, sweter w romby wycięty w serek oraz grubą kurtkę z materiału imitującego skórę. Nie miał czapki.

Pomyślałem, że wygląda jak niespełniony aktor. Albo model. Drugi nie wyróżniał się ubiorem, mało mówił i dokumentował wszystko, robiąc zdjęcia.

Po chłopakach było widać, że z wizyty nie są zadowoleni. Gdy mężczyzna pojawił się w kuchni, Manaf zniknął, a Szabir wziął telefon, na którym jeszcze przed chwilą, na wyświetlaczu o przekątnej nieprzekraczającej dwóch cali, oglądał bollywoodzki przebój, i wycofał się na legowisko.

Kiedy wszedłem, nowy podał mi rękę, ale się nie przedstawił. Wszyscy mówili na niego *senior officer*.

Na podłodze w izbie siedział jeszcze jeden policjant (najstarszy z tych, którzy byli z nami od dawna), a rozmowa toczyła się głównie w urdu i szina. Nic z tego nie rozumiałem, więc w milczeniu przeżuwałem kozę, po czym, podobnie jak Szabir, nie chcąc przeszkadzać, zostawiłem ich samych.

Po kwadransie *senior officer* zapukał.

– Czy moglibyśmy sobie zrobić zdjęcie? – spytał.

– Zdjęcie? Czemu nie – odpowiedziałem.

– Dla ministerstwa.

Przed chatą pojawiła się naprędce zaaranżowana scena: siedmiu policjantów, flagi i karabiny.

– Wyślemy je, żeby pokazać, że w waszej bazie jest bezpiecznie.

Pomyślałem, że bezpiecznie jest i bez karabinów, ale nie zaprotestowałem. *Senior officer* ustawił się po mojej prawej i ekwilibrystycznym ruchem przystąpił do prezentowania broni.

– Może ostrożniej? – powiedziałem, śmiejąc się przy tym chyba odrobinę nazbyt nerwowo.

– Spokojnie, nie są nabite.

– Tak czy owak.

– Nic się nie bój: jestem w tym mistrzem – zamknął dyskusję, podczas gdy stojący po mojej lewej policjant o wyglądzie pirata (znaliśmy się z widzenia; nosił gęstą, prostą, czarną brodę i stylowe ray bany) nie bez trudu przełożył pasek karabinu przez ramię, po czym lekko kopnął w zadek Szabira, by ten pośpieszył się z umieszczaniem pakistańskich flag przy wejściu do bazy. Tło zdjęcia musiało być jak należy.

Tamtego popołudnia *senior officer*, który nazywał się Abdul Wahid, wydał mi się karykaturalnym służbistą. A jednak nie był kimś takim. Po prostu pierwszego dnia nie bardzo wiedział, jak się zachować, był spięty. Chciał, żeby wszystko odbyło się zgodnie z procedurami, i trochę przesadził, nic więcej. Potem chyba mnie polubił, a w każdym razie na pewno ja polubiłem jego. Był z nami do końca wyprawy. Pochodził z wioski Chorit, położonej nieopodal Gorikot na trasie z Astore do Tarashing, i miał piątkę dzieci (trzy córki i dwóch chłopaków). Zanim został policjantem, pracował jako przewodnik górski w agencji turystycznej prowadzonej przez kuzyna. Lubił pogadać. Któregoś przedpołudnia, kiedy staliśmy przed bazą, rzucił: – Lada dzień w Gilgit odbędzie się egzekucja. Powieszają trzech facetów, którzy brali udział w rzezi w dolinie Diamir.

* * *

22 czerwca 2013 roku pod Nanga Parbat dokonano zbrodni, która nie miała precedensu w historii himalaizmu. W sobotni wieczór około godziny 22.30 do bazy znajdującej się na wysokości 4200 metrów wtargnęło kilkunastu uzbrojonych mężczyzn ubranych w policyjne uniformy. Skrępowali obecnych Pakistańczyków (przewodników i ludzi pracujących przy obsłudze wypraw), a następnie w bezwzględny sposób zamordowali 11 bezbronnych osób – dziesięciu wspinaczy i kucharza. Zabrali pieniądze oraz dokumenty i po północy opuścili bazę.

Śmierć w masakrze ponieśli: Igor Swerun (47 lat), Badawi Kaszajew (54 lata), Dmytro Konajew (43 lata), Anton Dobeš (50 lat), Peter Šperka (57 lat), Chunfeng Yang (45 lat), Jianfeng Rao (49 lat), Honglu Chen (50 lat), Ernestas Markšaitis (44 lata), Sona Sherpa (35 lat) i Ali Hussain (28 lat).

Wokół niejasnych okoliczności tej zbrodni powstało wiele pytań. Między innymi,

jak tak liczna grupa uzbrojonych ludzi dotarła aż tak daleko doliną Diamir. Do zamachu przyznała się organizacja Tehrik-i-Taliban Pakistan, podając jako uzasadnienie odwet za zamordowanie przez amerykańską armię jednego z jej liderów Wali-ur-Rehmana (zginął 29 maja 2013 roku w ostrzale z drona).

W wyniku śledztwa prowadzonego przez pakistańską policję pięć osób zostało aresztowanych i osadzonych w więzieniu w Gilgit. Dwie z nich zbiegły, przy czym jedna została zastrzelona podczas ucieczki. Przeciwno pozostałym trzem toczył się proces przed sądem wojskowym. To właśnie ich miał na myśli Abdul Wahid. Pomylił się jednak co do wyroków. W marcu 2016 roku (a więc długo po tym, jak opuściliśmy nie tylko Lattabo, ale i Pakistan) za udział w masakrze sprzed trzech lat wyroki skazujące otrzymali: Irfan Ullah (kara śmierci przez powieszenie), Habibur Rahman (dziesięć lat pozbawienia wolności) oraz Karim Ullah (dziesięć lat pozbawienia wolności). Pod koniec kwietnia ze względów bezpieczeństwa skazani zostali przetransportowani z Gilgit do więzienia Adiala w Rawalpindi. Wyroku na Irfanie Ullahu na razie nie wykonano.

* * *

Na kolację Szabir podał pyszny, tłusty rosół na kozie. – Dżulia – odpowiedział, gdy spytałem o jego nazwę. Pływały w nim ogromne oka. W tym samym czasie nieco ponad trzy kilometry wyżej Marek z Pawłem też jedli zupę.

- Proszę państwa, Pablo zrobił taki barszczyk, że staje beret!
- Mojej mamie to powiedz. I ją pozdrów. Bo to ona zrobiła.
- Nie, po prostu nie jestem w stanie opisać wspaniałości tego smaku.

Mieli co celebrować. Byli na 6600 metrów i w końcu, po tylu dniach zmagania, założyli na grani obóz III. Do miejsca, w którym się znajdowali, dotarli już o 14.

– Szliśmy jak burza. A przy tym mieliśmy wielką radochę, bo naprawdę czuć było, że jest forma.

Po drodze znaleźli pozostałości obozu innej wyprawy, najpewniej którejś letniej. Zaczęło wiać, ale tego dnia udawało się wszystko. Już po dziesięciu minutach szukania najodpowiedniejszego miejsca na „trójkę” Marek natknął się na zasypaną szczelinę. W ruch poszły łopaty. Odkopana jama miała dwa na trzy metry, południową ekspozycję, a do tego w środku było jasno (promienie słońca przebijały się przez śnieg).

– Miejsce piękne, lodowy zamek – stwierdził Klonowski. – Mam tylko nadzieję, że jak wejdzie tu czterech chłopa, to się nie zawali.

Po chwili dodał: – Jest dobrze. Główka nie boli. Mamy nastrój, by jutro znów przeć do góry.

– A Dziubas z Kudłatym? – spytałem.

– Zobaczymy. Jest zachód słońca, a chłopaków wciąż nie ma. Jak dojdą, pewnie będą niezłe zmasakrowani. Ale to nic, biorę jeszcze do ręki moje ulubione narzędzie i spróbuję trochę poszerzyć nasze M-4. Czuję pierwsze oznaki Zębatego. Bez odbioru.

ROZDZIAŁ IX

czwartek, 21 stycznia 2016 roku

W środku nocy obudził mnie przeraźliwy pisk, mechaniczny. Dobiegał z radia. Pomyślałem, że to może chwilowe: sprzężenie lub zwarcie, i na razie nie wygrzebywałem się ze śpiwora.

Ale hałas nie ustawał. Przenikliwy dźwięk wypełniał izbę. Wydawało mi się, że z każdą chwilą jest coraz głośniejsze.

– Zaraz zwariuję!

Chwytiłem czołówkę, wstałem i podszedłem do radia. Przełączyłem je na tryb nadawania, umilkło. Zwolniłem przycisk, żeby sprawdzić, czy zmiana jest trwała – pisk znów świdrował uszy. Nie miałem pojęcia, co zrobić. Mogłem wyłączyć odbiornik, ale gdyby chłopakom na górze coś się stało i potrzebowaliby wsparcia, brak kontaktu radiowego z bazą z pewnością by im nie pomógł. Miotalem się, pisk był jak tortura.

Włączyłem światło, wciskając jeden z trzech przełączników umocowanych na pionowej belce przy legowisku (lamp w bazie było aż siedem – dwie sufitowe, cztery przy „łóżkach” i boczna świetlówka – plus zielona, psychodeliczna dekoracja świetlna, taka jak na choinkę, pozostałość po imprezie noworocznej). Cisza. Wyłączyłem. Znowu: pisk oraz ciemność. Włączyłem: jasno i cisza.

Nie miałem pojęcia, skąd bierze się ta zależność, ale bezspornie zachodził tu jakiś związek przyczynowo-skutkowy. Schowałem się do śpiwora i, przy włączonym świetle, spróbowałem usnąć. Znowu miałem przemożne poczucie niedopasowania. Pojawiało się, ilekroć uświadamiałem sobie, jak bardzo jestem bezradny, podczas gdy chłopaki znajdują się bez mała na wszystkim. Na sprzęcie wspinaczkowym, gramaturze puchu w śpiworach, wadze i wytrzymałości lin, kopaniu jam śnieżnych, jakości *charrasu*, robieniu przepalanki i na samochodach. Na temperaturze spalania gazów i zastrzykach z ketoprofenu także. Ale i tak nic nie przebijało stopnia rozeznania kwestii związanych z elektrycznością. W pasterskiej chacie na końcu świata „squatowanej” na potrzeby zimowej ekspedycji prawie każdy miał lampkę nocną! Dało się tu również naładować wszystkie rodzaje baterii. Oprócz słońca i paneli na zaśnieżonym dachu decydowały o tym dwa regulatory ładowania z algorytmem poszukiwania maksymalnego punktu pracy panelu fotowoltaicznego (MPPT) sterujące prądem ładowania akumulatora litowo-jonowego (LiPoFe4) z wbudowanym bilansowaniem napięcia poszczególnych ogniw. No i Marek. On przede wszystkim. Nie tylko umiał to wszystko zainstalować, ale potrafił też godzinami opowiadać o elektryczności. I o Tesli. Na swoją trzecią wyprawę w Himalaje zabrał jego 500-stronicową biografię.

Nikola Tesla, pochodzący z Serbii geniusz i wizjoner, dał ludzkości między innymi: prądnicę prądu przemiennego, silnik elektryczny oraz radio. Wiele projektów, nad którymi pracował, do dziś owianych jest tajemnicą, bowiem tuż po jego śmierci miały zaginąć setki stron sporządzonych przez niego notatek.

Marek: – Zmiliłem Tesłę, bo chciałem wiedzieć, jak bardzo blokowana jest technologia i jak duże rezerwy znajdują się na tym polu. Bliskie są mi też koncepcje Jacque’a Fresco.

Fresco to stuletni (urodzony w 1916 roku!) amerykański futurolog i wizjoner, który od lat popularyzuje koncepcję społeczeństwa przyszłości opartego na racjonalnym wykorzystaniu zasobów i otwartym dostępie do technologii, zamiast na konkurencji i dążeniu do zysku. Za główną przeszkodę w realizacji tego celu uznaje system monetarny z wpisaną w jego istotę opresyjność.

* * *

Któregoś dnia poprosiłem Marka o wykład.

– Jak to możliwe, żeby istniał tylko prąd stały? – zaczął. – Przecież wszystko ma swoją częstotliwość, nawet światło to fala sinusoidalna!

Nie zamierzałem się spierać, ale dalej nie wiedziałem, o czym mówi.

– A jak się to ma do tej instalacji, tej tutaj? – spytałem.

– Tak się ma, że widzisz tę niebieską skrzynekę?

Widziałem.

– To jest falownik.

Niewielkich rozmiarów prostokątne pudełko wisiało przy ścianie w plątaninie kabli. Były na nim narysowane trzy nachodzące na siebie sinusoidy.

– Swoją drogą, bardzo fajne logo – powiedział. – Symbolizuje trójfazowy prąd zmienny. Ten falownik wytwarza taką falę. Dzięki kilkunastu tranzystorom przetwarza prąd stały na zmienny i ma wyjście w postaci gniazdka, takiego jak masz w domu. Gdyby nie on i nie to gniazdko, nie miałbyś gdzie wsadzić wtyczki od laptopa, więc nie mógłbyś go też naładować.

– A skąd dochodzi prąd do falownika? Z paneli?

– Nie, z baterii. Zobacz: mamy tu lansiarską baterię 12 V, którą bylibyśmy w stanie odpalić każdy samochód.

Tego, czy jest lansiarska, nie mogłem sprawdzić, bo bateria była schowana w hipsterskim, szarym kartonie po mleku.

– Z solara ciągniemy prąd stały – kontynuował Marek – ładujemy nim baterię, a falownik przetwarza to na prąd zmienny, którym ładujesz komputer. Gdyby takie baterie były tanie, powszechne i trochę bardziej pojemne, każdy mógłby być niezależny energetycznie, przynajmniej tam, gdzie jest słońce. Magazynowanie energii to jedna z najważniejszych spraw we współczesnym świecie.

Klonowski mówił o tym z podobną pasją w każdych okolicznościach. – Solary, zabawki. Nowoczesna technologia w kwestiach związanych z przepływem energii. Konfiguracja również. To mnie kręci. Kładę kable i jestem w podobnym stanie jak wtedy, gdy chodzę po górach. Wyłączam się. To mnie nie stresuje, sprawia mi przyjemność. Jestem jak chirurg, który patrzy na zoperowane serce. Kable zamontowane, energia zaczyna przepływać, wiem, skąd i dlaczego, wiem, ile, widzę, jak wytwarza się sok i jak coś go spożywa.

Kilka lat temu, przypadkiem, miałem okazję przyglądać się, jak w wiosce Calary w hrabstwie Wicklow, kilkadziesiąt kilometrów na południe od Dublina, prowadzi

pogadankę o zaletach energetyki wiatrowej i korzyściach płynących z systemów *off-grid* dla grupy kilkunastu irlandzkich rolników. Staliśmy przy samochodzie Marka na podjeździe pomiędzy wąską drogą a murowaną, zautomatyzowaną dojarnią wybudowaną pośrodku hektarów pastwisk. Strasznie wiało, ale ci faceci nie wyglądali na takich, którym dałoby się wcisnąć kit. Słuchali go przez bitą godzinę, cały czas na stojąco, a potem jeszcze zadawali pytania przez dobry kwadrans. A on odpowiadał.

W swoim dorobku Marek miał również wysłanie turbiny wiatrowej na Antarktydę – dla polskiej stacji badawczej „Arctowski” – oraz współpracę z Greenpeace. Zaczął ją od zbudowania ekowioski na Przystanku Woodstock, potem realizował projekt instalacji systemów solarnych na szkołach w Gubinie, w Zachodniopomorskiem, w okolicy, w której Polska Grupa Energetyczna planowała otwarcie odkrywkowej kopalni węgla.

Marek: – Jak spalasz węgiel, to on podgrzewa wodę. Ta woda zamienia się w parę, a ta para, pod wielkim ciśnieniem, napierdala w turbinę. Kocioł, w którym to robisz, jest olbrzymi, ma 30 metrów wysokości. Potrzebujesz na to hektometrów sześciennych węgla. Palisz w kotle, ale tylko część ciepła z tego spalania jesteś w stanie wykorzystać na stworzenie pary. Więc równocześnie musisz to jakoś chłodzić. Jest tam kanał, kilkusetmetrowa odnoga Odry, i właśnie ona chłodzi te kotły. 40 procent energii spalania idzie na wytworzenie energii elektrycznej, ale większością podgrzewasz rzekę! No po prostu technologia idiotów.

Panele miały być na nią racjonalną odpowiedzią, ale Gubin okazał się dla Marka ważny też z innego powodu. To właśnie tam, podczas akcji Greenpeace, dwa lata temu Klonowski poznał Kudłatego.

* * *

Na Kudłatego wszyscy mówili Kudłaty, bo był kudłaty. Jeśli istnieje stereotyp wyglądu i sposobu bycia himalaisty (a chyba istnieje; niech to będzie taki, powiedzmy, Ryszard Pawłowski), Paweł Witkowski stanowił jego przeciwieństwo. Miał spokojny, łagodny głos, dużo się śmiał, a na głowie nosił hełm z grubych dredów. Do tego nie widział na jedno oko (prawe; pamiątka z zabawy w wojnę, gdy miał dziesięć lat).

Urodził się w roku 1982 w Stargardzie Szczecińskim, kiedy dorósł, myślał, że może zostanie naukowcem, ale wybrał włączęstwo i zjechał autostopem Europę Zachodnią, Bałkany i Ukrainę. Wspinać zaczął się dawno. Najpierw były zjazdy na linie z mostu w Stargardzie, potem praca na rusztowaniach przy budowie apartamentowców w Kołobrzegu, wreszcie własna firma zajmująca się robotami na wysokości. W ubiegłym roku, żeby mieć bliżej w Tatry, przeprowadził się na pewien czas z Gdańska do Krakowa. O Himalajach marzył, ale nie sądził, że sprawy potoczą się aż tak szybko i zajdą aż tak wysoko. Był w Alpach i myślał, że może następnym krokiem będzie Kazachstan. Ale się pomylił.

Latem 2015 roku zapytał Marka, czy ten zimą zamierza znowu jechać pod Nangę. Klonowski potwierdził.

– A mógłbym się zabrać z tobą?

Marek: – Kudłaty nie jest tu bez powodu. Pojawił się nagle i jest dla mnie

megazaskoczeniem. Przyjeżdża sobie zimą w Himalaje i wyczynia tu takie rzeczy. To się nie zdarza tak, ot. W kuluarze, pod granią, to właśnie on przeszedł kluczową partię. Nie było tam śniegu, a ja nie jestem mistrzem wspinaczki skałkowej. Podszedłem i zobaczyłem, że nie dam rady.

– Ej, była już 15, wcześniej tego dnia robiłeś trudne kawałki, po prostu energia ci siadła – włączył się Kudłaty, ale Marek jakby tego nie słyszał.

– Gdyby nie Kudłaty, byłoby wtedy kiepsko.

Na Nangę mówił „Królowa”. Od 12 lat nie jadł mięsa, a od sześciu – żadnych produktów, które pochodzą od zwierząt. Szabir nie narzekał, że musi przygotowywać dla niego osobne dania, wręcz przeciwnie – raczej cieszył się z tego, że jest ktoś, kto tak entuzjastycznie reaguje na niektóre z jego propozycji. Zwłaszcza na *gig-baj* (nazywany *gigabajtem*), coś w rodzaju kaszy manny, na słodko (dla niewegan również w wersji z maślaną omastą).

– Oczywiście, to był eksperyment: jak się zachowa mój organizm w takich warunkach? Zachowywał się bez zarzutu. Chłopaki też to zauważyli, bo o ile w bazie na śniadanie bezwzględnie królowały jajka, to w górze, podczas akcji, owsiankę z suszonymi owocami wsuwałem już nie tylko ja, ale wszyscy. Więc: weganizm i himalaizm dają się pogodzić bez problemu i można wejść na energię słońca nawet na ośmiotysięcznik.

W wyższych obozach często wyciągał kamerę, by wcielić się w rolę reportera telewizji Giewont TV Gienka Giewonta.

– Idziesz. I wiesz – mówił, z namaszczeniem cedząc słowa do uchwytu kijka trekkingowego odgrywającego rolę mikrofonu, i przybliżył oko kamery do własnego oka. Nos i policzki miał posmarowane grubą warstwą białego kremu chroniącego przed oddziaływaniem mrozu. Twarz okalały mu wystające spod kaptura i czapki dredy – Gienek. Giewont.

W czwartek 21 stycznia 2016 roku Paweł Witkowski stał się być może pierwszym praktykującym weganinem, który zimą w Himalajach przekroczył wysokość 7000 metrów.

– Czujesz się tam jak ryba w zamulonej wodzie – wspominał później. Ale wtedy, „na żywo”, wykrzyczał do radia coś innego: – Wegański dżihad na siedmiu kołach!

I poprosił Szabira, żeby szykował już dla niego *gigabajta*. Był szczęśliwy. – Co się dzieje tam powyżej? Najłatwiej powiedzieć, że tego się nie da opisać. To są euforyczne doznania. I jest po prostu pięknie. W naturalny sposób pięknie, w czystej postaci.

* * *

Bez dwóch zdań, tego dnia (od rana radio działało bez zarzutu) Nanga była w nastroju do tańca. Doceniła wytrwałe starania chłopców (a może spodobała się jej ich zuchwałość) i pozwoliła się dotykać w miejsca, do których wcześniej broniła dostępu.

– *Welcome to heaven!* – zaczął Marek, omiatając kamerą przestronne i jasne wnętrze śnieżnej jamy stanowiącej obóz III. – Przeciwieństwo piekła. Słoneczko już świeci i wzywa swoje dzieci.

Dwoje z tych dzieci, Kudłaty i Dziubas, dojrzało poprzedniego wieczoru do „trójki”

już dobrze po ciemku, w dodatku w podmuchach silnego wiatru. Byli zmęczeni i wyziębieni, ale rano Kudłaty niespodziewanie odkrył w sobie wciąż niewykorzystane zasoby energii i zdecydował się ruszyć z Markiem do góry. Około 13 przekroczyli wysokość 7000 metrów. Grań Mazeno, widoczna w pełnej krasie na północnym zachodzie, była jak na wyciągnięcie ręki.

– Trafiło mnie dopiero pod sam koniec, gdzieś na 6900 – opowiadał potem Kudłaty.

– I to było nagle! – dodał Marek. – Szliśmy na linie, na lotnej asekuracji. Jedną godzinę, drugą, trzecią. W którymś momencie robię kolejny krok do przodu, a tu pstryk! Lina nie idzie. Więc wołam: Kudłaty! Odepnij się!

– A ja na to: No co ty! Dam radę.

– Do wypłaszczenia było już niedaleko, a nie chciało mi się iść tak wolno, dlatego krzyknąłem. Siadłem, ale tuż obok mnie przeleciał ogromny kamol, wielkości głowy. Oderwał się z tej wieży, którą zamierzaliśmy później obejść od prawej, by przedostać się na stronę Diamir „wariantem Kukuczki”.

Marek poszukał więc lepszego miejsca, by poczekać na Kudłatego. Pogoda była wspaniała. Mroźna, ale słoneczna oraz bezchmurna. To były te dni, ten tydzień, wiało też bez przesady.

– Kudłaty! Siedem klocków! – przywitał kolegę Marek, gdy ten w końcu dotarł pod skałę, przy której Klonowski się schronił. – Życiówka! Moja też.

I jeden, i drugi po raz pierwszy patrzyli na świat z tak wysoka. Znowu w ruch poszła łopata. Tym razem jednak nie po to, by przyszykować miejsce na biwak, ale by zabezpieczyć depozyt: namiot, rzeczoną łopatę i 100 metrów cienkiej, ale bardzo wytrzymałej liny używanej do kitesurfingu (Marek: – Nie wjedziesz po niej „małpą”, nie wepniesz się, bo jest za cienka. Ale cię zabezpieczy i bez problemu na niej zjedziesz). Wszystko, co niezbędne, by następnego dnia ruszyć do szczytu. Na razie jednak po południu wrócili do „trójki”. Powody były.

– Lecimy na barszczyk, podobno dzisiaj jest jakaś wyżerka. Lunch i kolacja dobrze nam zrobią, skoro jutro mają być siły, nie?

W tym samym czasie, gdy Marek z Kudłatym bili swoje rekordy wysokości, Dziubas z Pablem też opuścili „trójkę”. Udali się nieco w dół, na poszukiwania depozytu zostawionego gdzieś tutaj przez Pawła dwa lata wcześniej. Miał być parmezan, sery dojrzewające i tortellini (pochodziły z zapasów Simone Moro). A oprócz tego butle z gazem oraz batony. Skarby.

Pablo wiedział, gdzie kopać (miejsce miał oznaczone na GPS-ie), więc nie zabrało mu to wiele czasu.

– Prace archeologiczne zakończone sukcesem!

Dziubas, który gorzej od pozostałych znosił przebywanie na wysokości, nie doczekał uczt. Zszedł do „dwójki”, by w „jamie Zębatego” odzyskać siły – z nadzieją, że jeszcze tu wróci. Z nadzieją, ale już raczej bez wiary.

Po południu Pablo sam przywitał w „trójce” Kudłatego i Marka: – Patrzcie, co tu mamy: *chili con carne*, kasza kuskus, orzechy!

– Wegańskie kabanosy!

– Tyle gazów? Jesteśmy wyposażeni co najmniej na tydzień.

Pogoda wciąż była znakomita. Rozłożyli się jak na pikniku przed jamą na grani ledwie półtora kilometra w pionie od szczytu Nanga Parbat. Prawie nie wiało.

Marek: – Wielka wyżera. Atmosfera zajebista. Mamy dużo jedzenia, dużo gazu, jesteśmy na 6600, mamy depozyt na siedmiu. I jutro lecimy w trójkę do góry!

Kudłaty włączył kamerę: – Elo, elo! Zapraszam do naszego świata. Do innego świata.

* * *

W bazie, na dole, jadłospis nie był aż tak różnorodny, ale też było smacznie. Za to emocje nie dorównywały tym wyżej.

Znów wybrałem się na długi spacer w górę doliny. Tym razem jednak towarzyszył mi jeden z policjantów, Karim Abdul. Nie chciałem, żeby ze mną szedł, wolałem być sam, ale Abdul Wahid, pozostający jeszcze w fazie bycia słuźbistą i radykalnym obrońcą procedur, uparł się, że to dla mojego bezpieczeństwa. Więc nie poszedłem, lecz poszliśmy. Karim Abdul był już po pięćdziesiątce, a wyglądem i usposobieniem przypominał dobrotliwego krasnala. Byłem pewien, że nie ma najmniejszej ochoty na tę wycieczkę bez celu, ale przynajmniej starał się, żeby nie dać tego po sobie poznać. Wziął karabin, ale zapomniał wody, więc po drodze dzieliłem się z nim swoją, a on w rewanżu częstował mnie gumą do żucia (w smaku do złudzenia przypominała donaldy, przedmiot pożądania, a przynajmniej wyznacznik wczesnoszkolnego statusu w latach 80. w Polsce).

Kiedy wróciliśmy, czekała na mnie (Karimowi Abdulowi było to chyba obojętne) niespodzianka. Oparte o ścianę bazy stały dwa plecaki, a z izby dobiegał wytrącający z dobrego samopoczucia głos Maxi Jazza z Faithless:

*Whether Halliburton or Enron or anyone
Greed is a weapon of mass destruction
We need to find courage, overcome
Inaction is a weapon of mass destruction*^[18]

Dziku i Strażak planowali, że po nocy spędzonej w C1 dotrą na wieczór do „jamy Zębatego”, ale koło południa zdecydowali się na odwrót. Wiatr i śnieg, które na początku tygodnia zatrzymały „grupę szturmową” w „dwójce”, poczyniły spustoszenia również i w niższych partiach trasy.

– Było tyle nawianego śniegu, że torowaliśmy, zapadając się aż po pas. Szliśmy strasznie wolno, nie było sensu brnąć w to dalej – wyjaśnił Strażak.

Zapytałem Abbasa, gdzie jest Manaf, bo nigdzie go nie widziałem. Odpowiedział mi Szabir.

– Jednak poszedł do Tarashing. Sprawdzić, co tam u żony.

Kucharz śmiał się przy tym i dodał, że to przez film, który ostatnio razem oglądaliśmy na laptopie.

– No wiesz, ten o tej babce!

Chodziło mu o *American Hustle*. Nie miałem pojęcia, czy żona Manafa jest podobna do Amy Adams (jeśli faktycznie była „taaaka wielka”, to niespecjalnie), ale motywacje wydawały się jasne: lepiej trzymać rękę na pulsie.

Po kolacji obejrzeliliśmy coś bez kobiet. *Pushera II*.

ROZDZIAŁ X

piątek, 22 stycznia 2016 roku

Luk nie pomylił się ani o jotę: pogoda była jak na atak szczytowy. A oni byli na wysokości prawie 7000 metrów.

Zanim tu przyjechałem, nie wierzyłem, że chłopaki są w stanie dojść aż na wierzchołek i nie rozumiałem, dlaczego w takim razie podejmują ten ogromny wysiłek. Mogłem zapytać, ale wolałem się przypatrywać. A zresztą, kto powiedział, że każdy musi znać powody swych działań? I jeszcze – że będzie potrafił opowiadać o nich na wyrywki. Dlatego nie znośm, gdy ktoś cytował (na szczęście w Lattabo się to nie zdarzało) największy „suchar” w historii himalaizmu:

Because it's there.

George Mallory, człowiek legenda, uczestnik trzech brytyjskich wypraw na najwyższą górę świata, odpowiedział w ten sposób na pytanie, które na początku 1923 roku zadał mu reporter „New York Timesa”: – *Why did you want to climb Mount Everest?*

Zdanie było, trzeba przyznać, zgrabne i nic dziwnego, że zostało zapamiętane, ale zawsze miałem wrażenie, że odpowiedź stanowi unik. *Because it's there?* No i co z tego? W żaden sposób nie umniejszało to jednak wagi pytania. W roku 2016 brzmiało ono: Dlaczego próbujecie wejść zimą na Nanga Parbat?

Nie zadałem go, ale wciąż szukałem na nie odpowiedzi.

* * *

Marek też się zastanawiał: – Jest takie pragnienie emocji w tym naszym wciąż niezbyt kolorowym życiu. Może ono jest nawet chore, kto wie? Jaka potrzeba nami kieruje? Przecież człowiek powinien umieć osiągnąć harmonię w każdym miejscu, bez względu na scenografię.

I uzupełniał: – Ja na przykład jestem uzależniony od wody. Lubię mieć wodę dookoła. Dobrze się czuję nad oceanem, umiem się tam odnaleźć. Kiedy jest sztorm, to jest trochę jak w Himalajach. Potęga świata. A ty – malutki. Widzisz, jak doskonale świat funkcjonuje bez ciebie. Jeśli chcesz się czuć dobrze, po prostu bądź jego częścią.

Słuchałem i znów mi się przypomniało, jak kilka lat temu rozmawiałem z nim oraz z Czapą. Opowiadali mi o morderczej wyprawie, która omal nie kosztowała ich życia. Przeszli wtedy 130 kilometrów lodowcami Malaspina, Seward i Hubbard, po czym wspięli się na wschodnią grań Mount Logan – i to dwukrotnie, bo zapasów jedzenia mieli ze sobą tyle, że nie dali rady ich wnieść za jednym razem. Po ośmiu dniach dotarli do plateau szczytowego, a po następnych sześciu, spędzając trzy noce w wykopanych jamach śnieżnych, osiągnęli wierzchołek. Zejście to kolejne 80

kilometrów marszu przez cztery lodowce, aż do źródeł rzeki Chitina.

– A pamiętasz, jak zwodowaliśmy ponton? – zagał Czapa.

Pod koniec trasy czekały na nich dwa pudła pozostawione tam przez Paula Clausa, właściciela schroniska w Chitina i pilota („National Geographic Traveler” nazwał go geniuszem lądowania na lodowcach). W jednym znajdowało się jedzenie, w drugim ponton. Ostatnie kilkadziesiąt kilometrów brawurowego trawersu masywu Mount Logan Klonowski i Mackiewicz spłynęli rzeką.

– Walka wiosłami, nie ma szans, kręci nami. Zero sterowania.

– Ale potem nagle dobrze.

– Potem tak, nurt zwolnił – przyznał Czapa.

– Płyniemy, super, na GPS-ie 18 kilometrów na godzinę.

– I naraz zakręt. Stary!

– Może z sześć minut to trwało, taka radocha.

– 90 stopni! Rzeka zawraca, uderza w ścianę, tworzy się kocioł. Ponton do góry dnem, my za burtą, otwieram oczy pod wodą.

– Wynurzam się, patrzę i myślę: Nie ma go! Nie ma, po prostu go, kurwa, nie ma! Ale jest. W końcu go widzę. Uff. Fart przeogromny.

– Wpadasz do wody, która płynie prosto z lodowca. Zimna, brunatna, brudna. Gęsta jak błoto.

– Płynący, rozpuszczony lodowiec.

– Wpadasz do niej, ma temperaturę może jednego stopnia. Więc ile czasu potrzeba?

– Cztery minuty.

– Cztery minuty. Czas kurczy ci się w takim tempie.

Jakimś cudem przepłynęli tę kataraktę.

– Zawijamy na półwysep, jest drewno.

– Bach! Od razu ognisko, posiłek. Posiłek łagodzi – zakończył opowieść Marek.

* * *

Osiem lat później Marek Klonowski znajdował się bliżej szczytu Nangi niż kiedykolwiek. Towarzyszył mu Pablo. Byli szczęśliwi. Jakby słońce oraz brak chmur i wiatru nie wystarczały, na grani zrobiło się też względnie ciepło.

– Bardzo ciepło, szedłem w koszulce! – wspominał potem Paweł.

Tylko Kudłaty nie mógł pójść z nimi, źle się poczuł. – Pablo poradził mi, żebym zeżarł tabletki, zjadłem i wystartowaliśmy, spięci liną, na lotnej. Ale po 50 metrach wiedziałem, że nie dam rady.

Ponieważ w „trójce” nie było zapasowej maszyny, na której dałoby się ugotować wodę, Kudłaty zszedł aż do C2. Miał nadzieję, że odzyska tam siły i następnego dnia znowu wesprze chłopaków w górze. Ci tymczasem nie szli, lecz biegli. Przynajmniej Marek. – Dochodzę do depozytu i patrzę na czas. Czy szybciej niż wczoraj? Godzinę szybciej! Także spoko. Jestem zadowolony, forma nie siada. Chyba można iść aż do szczytu.

Nie czekając na Pabla, postanowił sam sprawdzić „wariant Kukuczki”, czyli możliwość przejścia przez granią Mazeno na stronę Diamir nie od razu po dotarciu w pobliże przełęczy, ale 200–300 metrów powyżej. Chodziło o to, by jak najpóźniej

wystawić się na działanie wiatru hulającego w najlepsze za granią. – Dopóki jesteś za tym siedmiokilometrowym murem, nic cię nie rusza – tłumaczył Klonowski, mając na myśli ścianę Mazeno (w istocie nie liczy ona aż tyle, jej wysokość od podstawy to jakieś 3000 metrów, faktycznie jednak sięga powyżej 7000 m n.p.m.). – Ale gdy tylko wystawisz łeb poza tę barierę, robi się grubo. Pomysł Kukuczki to schowanie się przed wiatrem za skałami, przejście wzdłuż uformowanego z nich grzebienia aż na 7400 i przeskoczka na Diamir dopiero koło takiej wieży.

Wyprawa z 1977 roku, do której nawiązywał Klonowski, dla Jerzego Kukuczki była pierwszą w życiu ekspedycją w Himalaje. A Nanga – pierwszym ośmiotysięcznikiem, z którym się zmierzył. Od Nangi w najwyższych górach świata zaczynał też Reinhold Messner, późniejszy rywal Polaka w wyścigu o Koronę Himalajów. Tyle że on w swoim „debiucie” osiągnął szczyt, Kukuczka zaś z wyprawy wrócił na tarczy. Wariant, który wtedy wybrał, wspinając się w szturmowej trójce wspólnie z Markiem Pronobisem i Marianem Piekutowskim, miał plusy (o których wspominał Marek), ale był bardzo wymagający. Wspinacze dotarli ostatecznie w pobliże południowego wierzchołka Nanga Parbat (8040 m), w miejsce, gdzie z granią łączy się od południa rynnna Merkla. Nie zdecydowali się jednak na atak szczytowy^[19].

Klonowskiemu dojście pod „wieżę” nie sprawiło większych problemów, mimo to rekonesans trudno było nazwać udanym. – Żleb z dołu wyglądał bardzo zachęcająco, ale z bliska okazał się o wiele za stromy, żeby błąkać się po nim bez poręczówki – opowiadał. – Ilość luźnych kamieni na śniegu, które musiały tu polecieć z góry, też nie działała motywująco.

Marek wrócił w miejsce, do którego dotarł poprzedniego dnia razem z Kudłatym. Pogoda wciąż była doskonała, a widok na południe taki, że uzasadniał wszystko. Nieba nie zasłaniała jedna chmura, a horyzont, przebiegający gdzieś, kilkaset kilometrów dalej, wyginał się w łuk, dając namiastkę tego, jak wygląda Ziemia z kosmosu. Klonowski włączył kamerę. – Mrozi nasek, mrozi – powiedział. Miał świadomość, że teraz opcja została już tylko jedna: pójść w lewo, nad przełęczą Mazeno, „jak wszyscy”, wariantem testowanym wcześniej między innymi przez Czapę oraz Davida Göttlera, a ostatnio, zimą 2015 roku, także przez czterech Rosjan, Nikołaja Totmjanina, Siergieja Kondraszina, Walerija Szamało i Wiktora Kowala, którzy właśnie gdzieś tu, na wysokości 7150 metrów, postawili swój obóz IV i spędzili w nim kilka nocy, czekając na poprawę pogody.

* * *

Paweł poruszał się dużo wolniej. Kiedy dotarł do depozytu, Marka nie było. Włączył radio.

- Gdzie jesteś? Nie widzisz mnie?
- Podeszedłem kawałek wyżej, znalazłem meganiespodziankę – jaskinię!
- Wyjebka! A co to takiego czerwonego?
- Mój śpiwór. Ja jestem pięć minut dalej, zaraz mnie zobaczysz.

Ewidentnie, Klonowski miał do tego wybitny talent. Znowu natknął się na przestronną szczelinę. Owszem, wymagała tego, by trochę powywijać przy niej łopatą, ale już na pierwszy rzut oka było widać, że nadaje się do zamieszkania. Idealne

miejsce na to, by założyć C4. Na razie jednak, czekając na Pabla, Marek delektował się widokiem, nie wyłączając nasłuchu. Pod grań Mazeno wreszcie dochodziły fale radiowe ze strony Diamir, wstrzymywane dotąd przez potężną ścianę, oddzielającą od siebie północne i południowe zbocza góry. Igone Mariezkurrena rozmawiała po hiszpańsku z Alexem Txikonem (Alex wspomniał coś o tym, że okno pogodowe ma się niedługo zamknąć). Z C2 odezwał się też Kudłaty.

– Marek, Marek? Czy doleciałem do ciebie? Bo coś się zapchało na linii i nie wiem.

– Tak. Siedzę w przedsionku, i, nie uwierzysz, słońeczko mnie tu grzeje jak przed bazą!

W końcu w zasięgu jego wzroku pojawił się Pablo. On także miał włączone radio. Z niedowierzaniem słuchał aktualności z Lattabo, które z dołu „na żywo” relacjonował Dziku.

– 40 osób?! – krzyknął do nadajnika.

Kiedy doszedł do Marka, poczuł się w obowiązku jakoś wytłumaczyć mu swoje tempo.

– Ja tak długo, bo stawałem i radia słucham! Tak mnie to rozprasza, że hej.

Padli sobie w objęcia. Byli dobrze powyżej 7000 metrów. Ani jeden, ani drugi nigdy jeszcze nie spali tak wysoko. Mieli „czwórkę”. Wieczór zapowiadał się idealnie.

* * *

– Wstawaj! Śpisz? Sensacja w Lattabo. Z dołu ciągnie chyba ze 40 porterów.

Dziku wpadł do izby, ściągnął z hamaka swoją ogromną skrzynię, w której trzymał aparaty, obiektywy, ładowarki, karty pamięci, rolki filmów, i zaczął w niej czegoś szukać. Nie chciałem się ruszać. Chociaż była 15, pół godziny wcześniej schowałem się do śpiwora. Morzył mnie sen, a być może też i coś jeszcze. Po prostu czułem się najlepiej.

– Chodź. Podobno ma tu przyjechać jakaś Amerykanka i trzech Nepalczyków.

Przekonał mnie. Wyszedłem przed bazę. Ścieżką prowadzącą wzdłuż rzeki, tą, którą trzy dni temu maszerowałem w stronę lodowca Bazhin, o tej porze zazwyczaj pustą (tylko rano i wieczorem zapełniała się stadami owiec i kóz prowadzonymi przez pasterzy), zmierzało do Lattabo kilkadziesiąt osób i przynajmniej drugie tyle osiołków. Część tragarzy dotarła już do zabudowań i rozkładała pakunki na rozległym wypłaszczeniu, osłoniętym przez skały po południowej stronie wioski. W tym samym miejscu dwa lata wcześniej stały namioty bazowe Simone Moro i Davida Göttlera (Pablo opowiadał mi, że niekiedy chodził wieczorem nad rzekę, żeby złapać wi-fi).

Większość informacji podlana była sosem sensacji. Co to za Amerykanka? Ile ma lat? Chce wejść zimą na Nanga Parbat?! Nepalczycy ją wniosą? Abbas nic nie wiedział. Nie słyszał wcześniej, by w tym sezonie ktokolwiek poza Polakami planował wyprawę po stronie Rupal. Owszem, spodziewaliśmy się gościa, ale to miał być Dominik Szczepański zmierzający do Lattabo z doliny Diamir (w połowie następnego tygodnia dotarł do Tarashing), a nie Cleo Weidlich, Pema Tshiring, Temba Bhote i Dawa Sangay.

– Piotr Pustelnik mnie nie znosi – zaczęła rozmowę dzień czy dwa później, kiedy wraz z ekipą urządziła się w bazie i mogliśmy spokojnie pogadać.

Jakby chciała uprzedzić atak, pomyślałem. Tylko kto miałby ją atakować? Przecież

nie mieliśmy internetu. Cleo najwyraźniej była świadoma swojej niekoniecznie najlepszej sławy, za to bez wątplenia przeceniała jej zasięg. Piotr Pustelnik, jeden z trzech Polaków, którzy skompletowali Koronę Himalajów i Karakorum (dwaj pozostali to Kukuczka i Wielicki), rzeczywiście kilka lat temu poświęcił jej wpis na swoim blogu (zatytułował go – trzeba przyznać, że dość malowniczo – „Napierdalanka na Kangchu”^[20]), ale żeby od razu wszyscy w Polsce to pamiętali?

Cleo Weidlich miała 52 lata i spore doświadczenie w Himalajach, na które składało się między innymi sześć wejść na ośmiotysięczniki. Pochodziła z Brazylii (urodziła się jako Cleonice Pacheco), ale od wielu lat mieszkała w Kalifornii.

Przeglądając górskie portale i fora, faktycznie można było odnieść wrażenie, że nikt jej nie lubi.

W 2014 roku, po tragicznej lawinie, która 18 kwietnia zabiła 16 Sierpów pracujących nad ubezpieczeniem trasy na Mount Everest, „wstawiła” się lotem helikopterem wprost do obozu II w Kotle Zachodnim w celu zdobycia szczytu. Jak sama później tłumaczyła, w razie wejścia na szczyt, czego nie udało się jej dokonać, nie zamierzała sobie uznawać takiego wejścia.^[21]

– A wiecie, że też nazwałam swój projekt „Nanga Dream”?

Intuicja podpowiadała mi, że ani ona, ani wynajęci przez nią Nepalczycy nie są ludźmi, którzy w niedalekiej przyszłości, staną się pierwszymi zimowymi zdobywcami Nanga Parbat (i to nawet pomimo że Sierpowie za doprowadzenie Cleo do szczytu mieli obiecaną premię – po siedem tysięcy dolarów).

W Lattabo zjawili się też Manaf i Dziubas. Ten drugi zszedł z góry po kolejnej bezsennej nocy spędzonej w C2, taszcząc 23-kilogramowy plecak.

– To samo co wtedy – powiedział. – Maks pół godziny po tym jak doczłapałem do ABC, żłebem zerwała się fest lawina.

No a Manaf? Szabir miał świeżą pożywkę dla żartów. Czemu jego pomocnik zabawił w Tarashing tak krótko? Bo, niestety, ale w domu zastał tylko bałagan. Żony nie było. Z ważnych powodów musiała nagle pojechać do Gilgit. Odwiedził za to Anilę (kucharz już się nie śmiał, chociaż uśmiech nie schodził mu z twarzy). Przekazała narzeczonemu prezent – własnej roboty sos na jogurcie z czosnkiem i kawałkami arbuza. Podzielił się z nami. Błogosławiliśmy go za to.

* * *

Pod wieczór Marek jeszcze raz stanął w przedsionku szczeliny. Nie wiało i wciąż było pięknie. Śnieg przybrał odcień pomarańczowy, a on był ostatnią osobą w obrębie kilkuset kilometrów, która mogła podziwiać ten niesamowity spektakl.

– Cała okolica poniżej już w cieniu, a tutaj: ostatnie promyki słońca. Dlatego warto się wspinać!

Po czym dodał czy raczej uzupełnił, zbliżając kamerę do swojej twarzy:

– Żeby mieć zdrową cerę.

Na jego nosie widoczne były pierwsze oznaki odmrożeń.

ROZDZIAŁ XI

sobota, 23 stycznia 2016 roku

Ten dzień okazał się krótszy od pozostałych. Skończył się już koło południa.

Marek: – Raczej nie da się wejść na ósemkę, jeśli nie przespałeś nocy na siedmiu klockach, a potem nie zszedłeś do bazy, nie odpocząłeś i nie napełniłeś mięśni glikolem.

Kudłaty: – Musisz się pobawić na siódemce, potem zejść, wrócić i dopiero wtedy: ogień!

Obaj mówili to wszystko już później, pogodzeni, podsumowując.

Klonowski dodał: – W tym roku nie było mi nawet zimno, nie zmarzłem. Bywały lata, że doświadczyłem tu, na tej górze, hardkoru, ale nie tym razem. Przyspawało mi nos, i to całkiem boleśnie, to prawda, ale nie było tej zimy takiego momentu, że musiałbym walczyć. Od strony Rupal Nanga to jeden z najlepszych wspinów, jakie możesz znaleźć na świecie. Jest przyjemnie, tutaj nie jesteś za karę. Masz frajdę.

Ale tamtej nocy, z piątku na sobotę, gdy spali w „czwórce”, powyżej 7000 metrów, jednak trochę ich przymroziło.

– Piździło ostro, minus 40 lekką ręką – wspominał Paweł (więc jednak zdarzało mu się rzucić czasem jakieś mocniejsze słowo).

Gdy wstali, pogoda wciąż była wspaniała. Słońce i granatowe niebo – od trzech dni niezmiennie.

– Nie gadaliśmy wcześniej, co będziemy robić rano. Nie ustaliliśmy tego – Marek opowiadał spokojnie.

Wyszli do góry, na lekko. Tylko ile razy można chodzić na rekonesans? Ale szli. Forma była. Marek odpał kamerę. Daleko w dole z mozołem podążał Pablo.

– Krok za kroczkiem. Każdy krok niesie pokój – powiedział Klonowski, filmując kolegę. Powoli dochodziła do niego brutalna prawda. Że jednak nic z tego.

– Powoli, powoli, coraz wolniej. Zaczynałem rozumieć, że w takim tempie o szczycie możemy tylko pomarzyć.

Widok wciąż był oszałamiający. Zastanawiałem się potem, czy coś takiego może spowszednieć.

– Pablo spuchł. Nie chciał się przyznać. Zwalił na śniadanie, że niby nie zjedliśmy porządnego i stąd ten brak energii. I jeszcze coś tam wymyślał, że go przy butach parzy (bo eksperymentowaliśmy trochę z grzałkami domowej roboty – sześciowatowe, z baterią litową). Ale to nie było to. To była wysokość. Wysokość nas siekła. Wysokość wyżera tlen, wyżera *power*. Zabiera energię. Już nie jesteś tak szybki, już nie jesteś tak sprytny. Wydaje ci się, że masz dobrą aklimatyzację, bo biegasz po górze jak królik, bo spałeś wiele nocy na sześciu kołach. Ale dopiero na 7000 metrów uświadamiasz sobie, że, owszem, jesteś dobrze zaaklimatyzowany, ale tylko do tej wysokości.

Marek podszedł jeszcze kawałek. Rozumiał, że właściwie nie ma to już żadnego

sensu, że i tak przecież za chwilę zasnę, ale zależało mi na tym, żeby przedłużyć ten moment. Siadł na kamieniu. – Wiedziałem, że to *game over*. Że już nie ma szans na drugie takie okno w tym roku. Ale nie chciało mi się płakać. Było cudownie: magia przestrzeni i ta bliskość epicentrum mocy wszechświata. To było łagodne rozstanie. Takie oczywiste.

W głowie grało mi Fleetwood Mac (wykorzystał to potem na filmie):

*You can go your own way,
Go your own way!
You can call it
Another lonely day.*^[22]

Schodząc, na 7200 metrów, niespodziewanie znalazł jeszcze swój ulubiony górski artefakt, porzucony tu nie wiadomo przez kogo i nie wiadomo kiedy – łopatę. Wyglądała na nową.

* * *

Wieczorem Luk przysłał SMS-a. To był epilog: „Za ostro. Nie widzę pogody przez najbliższe dwa tygodnie”.

Marek: – Miał rację. 23 stycznia to wysłał.

Pablo: – I jeszcze coś takiego dopisał, że armagedon idzie.

Prognoza mówiła, że zbliża się jet stream i w ciągu następnych kilkunastu dni należy się spodziewać wiatru o prędkości przekraczającej 100 kilometrów na godzinę, a także obfitych opadów śniegu.

Tę ostatnią noc w górze spędzili we trzech (Kudłaty wydobrzył w „jamie Zębatego” na tyle, by wrócić do chłopaków, do „trójki”), w starannie zaprojektowanej i wykonanej przez Pabla jamie na wysokości 6600 metrów, z doskonałą ekspozycją na południe. Zachód słońca znowu był piękny, a potem zrobiło się jasno. Do pełni brakowało co prawda jednej doby, ale księżyc w ogóle nie dawał tego po sobie poznać.

ROZDZIAŁ XII

niedziela, 24 stycznia 2016 roku

Ból był trudny do wytrzymania. Miałem wrażenie, jakby coś miażdżyło mi kciuk. Wiedziałem, że to dobrze, bo ból oznacza, że czucie wraca, ale w tej chwili stanowiło to marną pociechę. Chciałem, żeby przestało, nie marzyłem o niczym więcej.

Znajdowałem się gdzieś na wysokości 4500 metrów i coraz bardziej oczywiste stawało się dla mnie, że w takim tempie nie dam rady dojść do C1. Ale nie żałowałem tego, że spróbowałem, ani przez chwilę (nawet tę, kiedy zacząłem się zastanawiać, czy trudno będzie nauczyć się trzymać ołówek bez jednego, za to kluczowego, palca). Na dłoń założyłem grubą rękawicę, a na to jeszcze niewygodną, ale – miałem nadzieję – izolującą od mrozu puchową łapawicę. I tak jednak mnie „przyspawało”, gdy, mocno ściskając w ręce trekkingowy kijek, z mozołem posuwałem się do góry krok za krokiem. A przecież nie było zimno. Na pewno nie aż tak, jak by mogło.

Obejrzałem się. Słońce nieśmiało dawało znać sponad grzbietu Rupal. Widok na wciąż jeszcze pogrążoną w cieniu dolinę i spływający do niej lodowiec Shaigiri nie wydawał się trudny do zapamiętania.

Na tę wycieczkę chciałem się wybrać już dawno, ale jakoś ciągle się nie składało. Albo nachodziło mnie zbyt wiele wątpliwości, czy to aby na pewno najlepszy pomysł (w końcu lawiny, górna granica bezpieczeństwa i tak dalej), albo nie miałem w czym (potrzebowałem nieużywanych akurat przez nikogo raków; kask też nie byłby zbytkiem), względnie, z kim na nią ruszyć. Bo sam iść nie mogłem, przynajmniej jeśli zamierzałem wrócić. A zamierzałem.

W końcu zabrał mnie Strażak.

* * *

Powiedział, że ma przyjemność z prowadzenia ludzi idących po raz pierwszy w wysokie góry. W niższe również. Pochodził z Piskorzowa na Dolnym Śląsku, na skraju Gór Sowich, i był przewodnikiem sudeckim. Między innymi. Naprawdę nazywał się Paweł Kudła, a wszyscy mówiliśmy na niego Strażak, bo (analogicznie jak Kudłaty) był też strażakiem. Takim prawdziwym, po którego się dzwoni, gdy się gdzieś pali. By wyjechać pod Nangę, musiał się najpierw wystarać o urlop u komendanta.

Gdy osiągnął pełnoletniość, wydawało mu się, że całe życie ma dokładnie zaplanowane. Zda maturę, skończy Szkołę Główną Służby Pożarniczej, a mając, powiedzmy, 25 lat, założy rodzinę. Scenariusz okazał się jednak zbyt precyzyjny, co nie znaczy, że po drodze nastąpiła katastrofa. Przede wszystkim, tak jak marzył od dziecka, był strażakiem. Miał 28 lat i kończył studia na Akademii Wychowania Fizycznego we Wrocławiu (została mu „tylko” praca magisterska do napisania). Miał też dziewczynę. No i, wreszcie – spełniło się jego marzenie o Himalajach.

Któryś dnia, gdy siedzieliśmy w bazie we trzech z Dzikim, opowiedział nam

o swojej strażackiej inicjacji. Jego ojciec też był strażakiem, ochotnikiem. Za każdym razem, gdy we wsi rozbrzmiewał alarm, mały Paweł leciał po tatę, by mu dać znać, że trzeba jechać. Któregoś dnia – Strażak miał już wtedy 16 lat i od paru miesięcy sam należał do OSP – tak jak zawsze biegiem odprowadził ojca do wozu. Ten jednak tym razem, zamiast wsiadać i ruszać, odwrócił się do syna i powiedział: – Dziś twoja kolej. Jedź do wezwania.

Pojechał. Ale nie uratował nikomu życia. Gasili ściernisko.

– W pracy strażaka, szczególnie poza dużymi miastami, najczęściej chodzi właśnie o gaszenie ściernisk – tłumaczył. – Albo o ściąganie z dachów niedoszłych samobójców.

Był wysoki, silny i wysportowany. Nie mówił za wiele, a jeśli już się odezwał, to z sensem. Pewny siebie, nie narzucał się innym. Asertywny. Do Lattabo dotarł na początku stycznia. Nie planował, ale wstrzelił się idealnie, by zmienić Safdara oraz Karima.

Do Marka napisał jesienią. Nie znali się. Przedstawił mu się, że trochę wspina się w Alpach, a w 2013 roku był w Pamirze i zdobył Pik Lenina. No i marzy o Himalajach. Czuje się mocny i dołoży się, ile trzeba. Zapytał, czy mógłby pojechać. Więc pojechał. Co prawda kierownik wyprawy z początku wydawał się nieco sceptyczny co do jego umiejętności, a przynajmniej zachowywał prawo do ostrożnej oceny, jednak z czasem, gdy zobaczył, jak ochoczo Strażak nosi zaopatrzenie do C1a, dał się przekonać. Inna sprawa, że Pawła Kudłę faktycznie łatwo było nie doszacować. Wyglądał na przynajmniej o cztery-pięć lat młodszego, niż wskazywała metryka. Gdy wysłał Markowi paszportowe zdjęcie, niezbędne, by uwzględnić go w pozwoleniu na prowadzenie działalności górskiej, Klonowski odpisał:

„Fajne, ale przyslij coś aktualnego”.

Krótko przed wylotem do Pakistanu wybrał się na przetarcie na Mont Blanc. Popełnił błąd podczas wspinaczki i musiał wezwać pomoc. Przez dwie godziny tkwił w niezbyt komfortowej pozycji na grani niewiele poniżej szczytu, zastanawiając się, jak długo jeszcze da radę się tak utrzymać. – Niby wszystko było OK, nie panikowałem, ale myślałem, że jednak trochę za wcześnie na finał. Poza tym moi rodzice by tego nie przeżyli.

Na Nandze nie ryzykował. Drogą Schella doszedł do wysokości pięciu i pół kilometra.

* * *

Z bazy wyszliśmy późnym popołudniem w sobotę, już prawie po zmroku. Gdy zbliżaliśmy się do żlebu, dobiegły nas podniesione głosy i nerwowe nawoływania. Dochodziły chyba spod ściany, zza wielkiego kamienia (niższego, za to znacznie szerszego niż boulder). Myśl o czających się – a przy tym krzyczących – terrorystach, nie wydawała się sensowna, lecz, nie ma co ukrywać, pojawiła się. Strażak włączył radio i poprosił Dzika, żeby rozpytał. Na szczęście Manaf był wtajemniczony. Po wieczornym spędzie pasterze nie mogli się doliczyć owieczki i ruszyli jej szukać (znaleźli, o czym dowiedzieliśmy się nazajutrz).

Do ABC dotarliśmy po 19. Nie liczyłem, ile nam to zabrało, bo wiedziałem, że i tak żaden z nas nie ma szans na pobicie rekordu Szabira. Któregoś dnia kucharz założył się

z Dzikim, że przejdzie drogę w czasie poniżej godziny. Stawką były należący do Michała radiowy nadajnik przeciwko Nielimitowanej liczbie jajek dla Dzika na każde kolejne śniadanie. Pakistańczyk zameldował się z namiotu już po 50 minutach, więc Dzik nie przestał rytualnie narzekać, że na pierwszy posiłek dostaje zbyt mało.

Było jasno. W końcu działo się to tej nocy, gdy księżyc miał jeszcze tylko dobiec do pełni. Było też ciepło, a przynajmniej tak nam się wydawało, gdy znaleźliśmy się koło namiotów, rozgrzani podejściem 500 metrów w górę. Sabzi, czyli warzywny gulasz przygotowany dla nas przez Szabira, zjedliśmy, siedząc na zewnątrz. Rupal Peak błyszczał w biało-granatowo-srebrnej poświacie. Gwiazd nie było zbyt wiele. Do tego cisza.

Przypomniało mi się, jak przyszedłem tu po raz pierwszy. Tematem były wtedy batony, a głównym oskarżonym przez długi czas pozostawał Dzik. Co do faktów: batony zniknęły. Chłopaki zostawili ich tu w depozycie aż cztery kilo. Kiedy przyszli następnym razem – batonów nie było. Dlaczego Dzik? Bo podczas naprędce zaimprovizowanych przesłuchań wyznał: – Ja w ogóle nie jem takich rzeczy, więc żadnych batonów na pewno świadomie nie zjadłem.

Świadomie?!

Na szczęście dla niego znalazł się worek. Był pusty. Podejrzenie przeniosło się więc na bliżej niezidentyfikowane zwierzęta. Wyniuchały smakołyki, porwały je i pożarły. Tyle tylko, że nigdzie w okolicy nie został choćby paperek. W dodatku w worku była sporych rozmiarów dziura.

– No to się wyjaśniło – powiedział Marek. – Dzik nie umiał otworzyć worka, więc go rozszarpał.

Zapytałem o kupy.

– Kupy?

– No, czy gdzieś tutaj nie widzieliście bobków? Wtedy mielibyśmy dowód, że to jednak zwierzęta.

– Były! – krzyknął Strażak. – Czarne kropki na moim białym kasku. Zastanawiałem się, skąd się wzięły.

Skończyliśmy kolację i umówiliśmy się, że Strażak urządzi pobudkę o 5 rano. Miałem nadzieję, że w nocy nie zachce mi się sikać.

* * *

Nie zachciało. Wygrzebałem się ze śpiwora. Był cały pokryty szronem.

– Chcesz cukru? – zapytał Strażak, gdy stanąłem obok wejścia do jego namiotu. Akurat kończył gotować wodę i szykował owsiankę.

Chciałem. Sypnął od serca, zamieszał i podał mi miskę. Skosztowałem. Musiałem się skrzywić, bo spytał:

– Co jest?

– Weź, spróbuj.

– O kurwa! Byłem pewien, że to cukier.

Posolona owsianka nie nadawała się do niczego. Strażak zrezygnował więc ze śniadania, a ja mimo wszystko pociągnąłem jeszcze kilka łyżek, by swoją niechęć

do marnowania jedzenia okupić potem piekielnym pragnieniem.

Założyłem raki (Dziubasa) oraz kask (nie wiem kogo) i ruszyliśmy. Po przejściu na drugą stronę żlebu na samym początku – nieustannie pod górę. Marzyłem o choćby kilkunastu metrach jakiegoś wypłaszczenia, trawersu. Ale nie – by widzieć, jak układa się dalej trasa, cały czas trzeba było mieć głowę zadartą. Przynajmniej nie musieliśmy torować. Ślady Dziubasa sprzed niespełna dwóch dni nadal były wyraźne.

Puchłem z każdą minutą. To była droga, którą chłopaki śmigały tej zimy dziesiątki razy, w dodatku nosząc plecaki wypełnione ciężkimi linami. A ja byłem na lekko.

Przed 9 słońce wychyliło się zza doliny. – Co za poranek! – pomyślałem.

Robiło się coraz cieplej, a ja potrzebowałem coraz więcej przystanków. Strażak ani przez chwilę nie zdradzał zniecierpliwienia.

– Piotrek, dajesz! – motywował mnie, czekając 20 metrów wyżej. – Krok po kroku!

Koło 10 przyznał, że faktycznie – tempo mamy umiarkowane i właściwie to o tej porze powinniśmy być już przy tak zwanym garbie (czasem odnosiłem wrażenie, że droga Schella składa się z samych garbów; tyle ich tutaj było).

Doszedłem do poręczówek, zaczynających się na wysokości mniej więcej 4700 metrów, i oznajmiłem, że dla mnie koniec.

– Przeszedłbym się jeszcze jedną długość liny, bo nie robiłem czegoś takiego nigdy w życiu, i zawracam.

Strażak nie miał z tym problemu. Pomógł mi założyć uprząż i wpiąć się do poręczówki, pokazał, jak się posługiwać „małpą” (przyrządem do asekuracji), i powiedział, że na mnie zaczeka.

Jeśli dotąd moje tempo było mocno przeciętne, to tu, w śniegu o wiele głębszym niż wcześniej, w którym zapadałem się raz po raz powyżej kolan, spadło jeszcze bardziej.

Ale – jak się zaraz przekonałem – nie dla wszystkich było to wyzwaniem. Z dołu nadciągali Nepalczycy. Widzieliśmy ich już od jakiegoś czasu. Musieli wyjść z bazy chwilę po nas. Z bazy! Podczas gdy my startowaliśmy przecież z ABC, znacznie wyżej. Ich żółte kombinezony przesuwają się w górę w zawrotnym tempie.

– Idą jak tury – zawołałem. Bez dwóch zdań: byli silni. Pochylone sylwetki, czekany w dłoniach, poranna przebieżka. W końcu – musiało to nastąpić wcześniej czy później – zaczęli mnie mijać.

– Artur! – powiedział jeden z nich, chyba Temba, unosząc kciuk w górę. Miałem na sobie bluzę pewnej dobrze znanej polskiej marki, a on pokazywał na logo. – W 2008 roku byłem na wyprawie na Dhaulagiri. W tym samym czasie co Artur Hajzer.

Ale ja chciałem zapytać go o co innego.

– Robiliście aklimatyzację?

Wydawało mi się, że bieżną.

– Nie. Urodziłem się na prawie 4000 metrów.

* * *

Żałowałem, że schodzę. Chciałem zobaczyć C1, przespać się tam i uszczknąć coś z doświadczenia, które było udziałem chłopaków. Widziałem ten obóz w programie Giewont TV, wyglądał świetnie, schowany pod wielkim skalnym nawisem, jakby

w pieczarze.

– Drugiej okazji nie będzie – pomyślałem, ale zawróciłem.

Przed bazą Dziubas i Dziku wygrzewali się w słońcu.

– Za miękki jestem! – powiedziałem, ni to się tłumacząc, ni to uprzedzając komentarze.

– Człowieku, pierwszy raz w życiu miałeś raki! – obruszył się Strażak. A Dziubas wstał – chociaż wydawało się, że leży naprawdę wygodnie – by mi pogratulować.

Ja wiedziałem swoje.

Chwilę wcześniej, wchodząc do Lattabo, spotkaliśmy Cleo. Krzątała się przy namiotach.

– Eli z Tomkiem poszli dzisiaj do szczytu. Wiecie? – spytała. Skąd mogliśmy wiedzieć?

Popołudnie minęło leniwie, za to późnym wieczorem w okolicy zaczęło się poruszenie. Dolina wzbierała oczekiwaniem. Wyszedłem przed bazę, pomilczałem chwilę z Latifem (był tutaj szefem pasterzy; nie po raz pierwszy spędzaliśmy czas w taki sposób), aż nagle pojawił się Abdul Wahid. Tryskał humorem i śmiał się jak uczeń. Okazało się, że z daleka wypatrzył zagrożenie terrorystyczne. Zbliżało się od jeziora, a więc z przeciwnej strony, niż spodziewaliśmy się chłopaków. Świeciło czołówkami. Abdul wysłał naprzeciw ekipę z bronią. Cleo i jeden z Nepalczyków na reakcję mieli niewiele czasu, dlatego najpierw podnieśli ręce do góry, a dopiero potem zaczęli wyjaśniać, kim są i co tutaj robią.

* * *

W końcu przyszli. Pierwszy – Marek, po nim Kudłaty i Pablo. Zrzućli bety i zainstalowali się w kuchni. Szabir podał spóźnioną kolację, specjalnie dla nich. Można się było wzbraniać przed militarnymi porównaniami, ale jak niby inaczej to opisać? Nasi chłopcy wrócili z wojny, to nic, że przegranej. Siedzieliśmy, słuchaliśmy. Oni opowiadali.

Pablo: – Puściła nas Nanga.

Kudłaty: – Cały dzień piękna pogoda, słońeczko.

Marek: – Ostatni taki dzień.

Schodzili do bazy przez dziesięć godzin. Zostawili w górze zaopatrzony obóz IV, depozyt obok C3, depozyt w „jamie Zębatego” oraz w C1. A także poręczówki. Zgarnęli tylko co bardziej wartościowe śruby i karabinki.

– Do pewnego momentu czujesz się silny – Marek dłubał przy stopach. – Rwiesz się. Niesie. Jesteś radosny. Ale w pewnym momencie zaczyna się walka. I wtedy się lepiej zastanów. Czy ma sens iść do góry? Bo to dopiero połowa drogi, *man*. A ty aż do samego jej końca musisz czuć się wydolny. Bo jak przestajesz, to robi się niebezpiecznie. A dopóki masz wydolność, masz też kontrolę.

– Na romantyzm jest wtedy za późno – dorzucił Kudłaty. Cały czas siedzieliśmy na klepisku wyłożonym karimatami i starym dywanem w izbie kuchennej. Manaf pilnował ognia.

– Romantyzm jest dobry do łóżka. A tu do tematu musisz podejść sportowo. Inne podejście jest wykluczone, to absurd. Bo to jest jak bieg z przeszkodami. Tylko nie

wiesz, gdzie będą przeszkody. A ten rów, w którym na bieżni, zaraz za płotkiem, masz wodę, tutaj jest zamrznięty. A ty biegiesz w rakach. I jeszcze przez większość czasu po ciemku. Więc naprawdę lepiej, żebyś się przygotował.

* * *

Przez cały wieczór nie było z nami Dziubasa. Przywitał się z chłopakami, ale nie przyszedł do kuchni, został w bazie. Naciągnął śpiwór i poszedł spać wcześniej niż pozostali.

ROZDZIAŁ XIII

poniedziałek, 25 stycznia 2016 roku

Chociaż wcale nie było ciepło, Marek leżał na karimacie przed bazą. Do obiadu pozostawały jeszcze co najmniej dwie godziny. Milczał. Usiadłem obok, na pieńku, z którego przez ostatnie dwa tygodnie codziennie i bez ograniczeń wpatrywałem się w Nanga Parbat. Dziś nie było widać nic, tylko chmury. Gdybym tego nie wiedział, do głowy by mi nie przyszło, że za tym brunatnym kłębowiskiem ukrywa się potężny ośmiotysięcznik, dziewiąta najwyższa góra świata, wciąż niezdojta zimą, „Królowa”.

Zapaliłem papierosa i posiedziałem tak z dziesięć minut. Marek i ja nie odezwaliśmy się ani słowem.

* * *

W izbie ktoś spytał, co z prognozą od Amerykanki. Podobno miała dostęp do jakiegoś „supermeteo”.

– Może dałoby się znowu zaatakować?

W drzwiach stanął Marek:

– Jeszcze cztery-pięć dni, ogarniemy się i będziemy się zwijać.

A więc – przesądzone. Kierownik wyprawy „Nanga Dream 2015/16 – Justice for All” właśnie ogłosił jej zakończenie. Postawiłem na stole dyktafon. W tle leciał – po raz który to już? – Bob Marley.

Zaczął Paweł: – Co robiliśmy przez ostatnie dwa miesiące? Dżambalaja z górą! Tańce, swawole, frywole.

– No, frywoli to akurat za wiele nie było – skorygował Kudłaty.

Włączył się Marek: – Na poważnie, w tym roku, porównując do naszych wcześniejszych prób, podeszliśmy do wyprawy najbardziej profesjonalnie. Do wyprawy i do wspinaczki. Robiliśmy to na sportowo. Jeszcze nigdy się tak fizycznie nie przygotowałem. Biegałem po wydmach. 35 minut ostrego hardkoru – codziennie! Wkręciłem się. Wysiłek doprowadzał mnie do stanu naturalnego dla *homo sapiens*. Nie męczyło mnie to. I tu przyniosło efekt. Wiedziałem, że muszę mieć olbrzymią wydolność tlenową, jak nurkowie. To decyduje. Im większą masz wydolność tlenową, tym lepiej funkcjonujesz w górach. Jesteś jak maratończyk. Wychodzisz z bazy, w której siedziałeś trzy dni i nażarłeś się makaronu. Wypełniony glikolem, silny, szybki. Wszystko chodzi, ciało jest jak maszyna, idziesz jak burza, do góry. Radocha olbrzymia.

– Tylko, cholera, to trzecie wyjście nie zafarciło. Pogoda... Niewiele brakło.

– Nie ma co o tym za dużo myśleć, po prostu tak miało być. A projekt trwa. Ale oczywiście marzyłem o szczycie! – Klonowski ożywił się niespodziewanie. – Przez wiele chwil wydawało mi się, że jest to możliwe. Myślałem sobie, idziemy jak burza, o ja! Bach, bach, jaskinie, wbijamy się w śnieg, nocujemy, nie schodzimy. Fakt, tuż

przed granią trochę nam zeszło, przytknęło nas. Przez jakieś trzy dni walczyliśmy z końcówką „turni Wielickiego”, zanim założyliśmy obóz II. Potem weszliśmy na grań – pierwszy dzień: wypas, poręczowaliśmy. Ale na drugi już zaczęło wichrować. No nic, tak miało być.

– To też kwestia lin – odezwał się Dziubas. – Mieliśmy dobre, ale ciężkie.

– No tak, ale to już jest sprawa budżetu. Nam się trafiły zjazdówki z turbin wiatrowych. Fajne, ale faktycznie ciężkie. Poza tym Dziubas, Kudłaty i Strażak to wszystko nowi zawodnicy – ciągnął Marek. – Dla nich to też nie było takie hop-siup, że się wyrwą i od razu polecą w górę. Ale w przyszłym roku, po tym jak teraz nabrali doświadczenia, Kudłaty śmiało będzie mógł już prowadzić.

– Turnia moja! – rzucił z kąta izby.

– I to z rozbiegu.

– Tylko to trzecie wyjście... – Pablo nie zamierzał odpuszczać. – Nie schodziliśmy, czekaliśmy. Siedzieliśmy u Zębatego pięć albo sześć nocy.

– Tak, trzecie wyjście, to powinno być siedem koła. Gdyby wtedy, za tym podejściem, udało nam się założyć przynajmniej C3 albo jeszcze lepiej, dojść tam, gdzie potem dotarliśmy za czwartym razem, wtedy ostatnia próba, ta z zeszłego tygodnia, to mógł być atak szczytowy.

Marek nie brzmiał jak ktoś, kto ubarwia.

– No, ale nie dało rady. Wywiało nas wtedy z grani, po prostu. I tyle. Za rok trzeba będzie znowu przyjechać.

– Jeszcze tylko dziesięć miesięcy. Nie! Raptem dziewięć z hakiem – poprawił Pablo.

* * *

Przyszedł Manaf i zaczął układać drewno w piecyku. Słuchałem. Nie dopuszczali do siebie myśli, że mogliby tu nie wrócić.

– Mamy wszystko przygotowane. To jest w tej chwili prawdopodobnie najlepiej zaopatrzona droga na całej Nandze, w każdym obozie depozyt. W „trójce” mamy chyba z dziesięć kartuszy gazów – tłumaczył Marek.

– Było dziesięć. Zostało siedem – Pablo wolał być precyzyjny. Szczególnie kiedy chodziło o butle z gazem.

– Teraz, przy dobrej pogodzie, w dwa dni można dojść aż na 7000 metrów. Jeśli wszędzie masz położoną linę, to wracasz tam z przyjemnością. Wyłączasz bańkę. Idziesz. Jeśli się wcześniej dobrze przygotowałeś, to jest to dla ciebie przyjemność, żadna męka ani cierpienie. Idziesz, fruniesz. Krok za krokiem, noga za nogą. Od C3 w górę po grani masz 500 metrów najwspanialszego spaceru na świecie. No po prostu urywa берет! Nie robisz nic innego, tylko idziesz, nie musisz myśleć. No i dalej – dwudniowe okno i da się stamtąd pociągnąć do szczytu.

– Jesteśmy gotowi na za dziesięć miesięcy.

– Jesteśmy przygotowani. Skoro Pablo mówi, że nie ma już innej opcji... A on jest taki, że pójdzie z tobą na linie wszędzie. No i Kudłaty. W przyszłym roku będzie tym brakującym ogniwem. Gdy idziesz sam, chwile zwątpienia są częściej. Będziemy się zmieniać.

* * *

Wynurzenia chłopaków zostały brutalnie przerwane. Drzwi bazy z impetem uderzyły o ścianę.

– Kręćcie jointa, idą goście!

To oczywiście był Dzik. Goście pojawili się chwilę po nim. Weszła Cleo, a za nią trzech Szerpów. Zająła miejsce koło piecyka. Tuż obok niej przysiadł Kudłaty. Rozmowa toczyła się wokół obyczajów i taktyki. Trochę też wokoło nieruchomości.

– Ładne miejsce – powiedziała, z uznaniem przyglądając się wnętrzu izby. Było widać, że urządzenie przestrzeni wyraźnie jej imponuje. – Wynajmujecie czy squatujecie?

Na pytanie, czemu przyjechała pod Nangę zimą, odparła, że na skutek globalnego ocieplenia prawdziwe wspinanie jest tu możliwe tylko o tej porze roku.

Zaprosiła nas też na wieczór do mesy na rewizytę i uzgodniła wstępnie warunki *dealu*: ona i jej nepalska grupa wsparcia będą mogli używać poręczówek i namiotów, które znajdowały się już na drodze Schella, a w zamian zostawią i zabezpieczą w Lattabo swoje liny (jak się niedługo przekonaliśmy, porterzy przynieśli ich kilometry – nowiutkich), żeby Marek i reszta skorzystali z nich w przyszłym roku.

Tylko nie bardzo było wiadomo, kiedy Cleo zamierza zacząć działalność. Jej prognoza potwierdzała tę, którą podał Lucas: zbliżał się jet stream. Zresztą, wystarczyło wychylić głowę na zewnątrz i zerknąć w górę. Ona zaś deklarowała, że nie zamierza siedzieć w bazie dłużej niż trzy tygodnie.

– Na szczęście to nie mój problem – pomyślałem. Bardziej interesowało mnie, co z Elisabeth, Czapą i ich atakiem szczytowym. Niestety, Amerykanka nie miała żadnych nowych informacji.

– Cleo, lepiej się trochę odsuń, siedzisz za blisko piecyka – nie wiedzieliśmy, że Dziku potrafi spoglądać w przyszłość. Gdyby powiedział to pięć minut później, alpinistka prawdopodobnie straciłaby włosy. Manaf chciał dobrze – ogień przygasał, więc Pakistańczyk sięgnął po puszkę z kerozyną stojącą pod ławką, podniósł dekiel, dołożył jeszcze kilka szczap i polał całe palenisko, tak bez oszczędzania. Płomień buchnął aż do sufitu. Tylko na chwilę, ale czasem chwila wystarcza.

– Wszystko w porządku? – zapytał Strażak.

Paradoksalnie, po tym incydencie Cleo wyraźnie się rozluźniła.

* * *

Gdy wróciliśmy wieczorem po rewizycie, nikomu nie chciało się spać. Marek włączył muzykę, a Abbas wziął do ręki pogrzebacz i zaczął nim coś rysować na gołej ziemi tuż przy piecyku. Przyjrzałem się: to był prostokąt. Popatrzył na Pabla.

– Moja rodzina ma w Gilgit działkę, 400 metrów. Czy mógłbyś mi pomóc narysować projekt domu?

Wyglądało na to, że sprawę traktuje serio. Zaznaczył miejsce koło suszących się, opartych o kamień butów (chyba Kudłatego) i powiedział:

– Tutaj, myślałem, mógłby być parking.

Pablo aż wybałuszył oczy. Też był poważny. Pakistańczyk zaś nie zamierzał na tym

poprzestać. Wydłubał w ziemi kolejną dziurę.

– *Some garden?*

Dla Pawła to już było za wiele.

– Abbas, tobie naprawdę się wydaje, że ja potrafię narysować projekt architektoniczny domu pogrzebaczem?

Zwijaliśmy się ze śmiechu.

* * *

Następnego dnia po obiedzie opuściłem Lattabo. Padał śnieg. Kiedy dwa tygodnie wcześniej szedłem tą samą drogą w przeciwną stronę, powiedziałem Abbasowi, że mam szczęście nowicjusza. Widoczność była wtedy doskonała, a dolina Rupal stopniowo odstępiała przede mną to, co najpiękniejsze. Dziś z trudem dostrzegałem Dzika idącego kilkaset metrów przede mną. Towarzyszył nam Abdul Wahid; na lodowcu Bazhin odstąpił mi swój kij, którym się podpierał – gdyby nie to, z pewnością bym się połamał.

Marek, Pablo, Kudłaty, Dziubas i Strażak zostali. Mieli posiedzieć w bazie jeszcze przez kilka dni, a potem przenieść się do Tarashing, by w rodzinnej wiosce Abbasa, Szabira oraz Manafa zamontować na kilku domach instalacje solarne. A trochę też po to, by przygotować się do przyjazdu za rok.

Dziku pomylił się, mówiąc, że zapamiętam zapach Lattabo. Zapach jak zapach: ognisko plus schodzone ciuchy, nic specjalnego. Za to gdy wychodziliśmy, z głośnika ustawionego przed bazą grała Anathema.

*Needed time to clear my mind
Breathe the free air find some peace there
I used to keep my heart in jail
But the choice was love or fear of pain and
I
Chose
Love
Cause everything is energy and energy is you and me.*^[23]

Marek uwielbiał ten kawałek. Wiedziałem, że nigdy go nie zapomnę i że odtąd jego brzmienie będzie dla mnie jak smak magdalenki zanurzonej w łyżeczce herbaty.



Marek Klonowski, lider wyprawy „Nanga Dream 2015/2016 Justice for All”.



„Zasquatowana” pasterska chata w Lattabo, czyli baza.



Marek na boulderze, który mógł spaść nawet ze szczytu Nangi.



Ekipa „Nanga Dream” w Lattabo nie była sama.



Zimowe igraszki w dolinie Rupal.



„Kable zamontowane, energia zaczyna przepływać, wiem, skąd i dlaczego, wiem, ile, widzę, jak wytwarza się sok i jak coś go spożywa”.



Przed posterunkiem policji w Gilgit. Pablo (pierwszy z lewej), Marek (czwarty z lewej), Dziubas (w środku) i Kudłaty (trzeci z prawej) zatrzymani za spacer po mieście bez obstawy.



Dziubas w naprędce zaaranżowanej kuchni na wysokości 5100 metrów.



Ciepła strona Nangi – piknik przed bazą w Lattabo.



Safdar Karim i Dziku.



W drodze z ABC do obozu I.



Pablo szykuje się do snu w namiocie w C1.

**STRONA
DIAMIR**



Widok na Nanga Parbat z bazy Diamir.

ROZDZIAŁ XIV

niedziela, 17 stycznia 2016 roku

Pierwsze kłamstwo było moje. W zasadzie kłamstewko. Jawne, takie, co wybacza się przedszkolakowi, który wygrzmocił się na sznurówce, ale pytany przysięga, że zasznurował but, usiłując jednocześnie ukryć skrzyżowane za plecami paluszki.

– Wszystko w porządku?

Zaczyna się przedstawienie. Otarłem czoło, złapałem oddech i skręciłem głowę w kierunku, z którego padło pytanie. Grymas bólu zamieniłem w najbardziej teatralny uśmiech, na jaki było mnie stać. Kilka metrów wyżej na dużym kamieniu przycupnęło dwóch policjantów w śmiesznych, wełnianych czapkach. Pytał przystojniejszy. Lepiej mówił po angielsku i miał włoską urodę. Przez pięć godzin wspólnej drogi wypalił pół paczki fajek. Brzydszy miał na imię Asan. Więcej się uśmiechał, ale nigdy nie byłem pewien, czy rozumie, co staram się mu powiedzieć. Nie palił, częstował cukierkami, a gdy na mnie czekał, to podśpiewywał i bawił się bronią.

Moja himalajska obstawa, tarcza przed terrorystami.

– Pewnie, że w porządku! – wyszczerzyłem zęby, szukając oczu tego brzydszego. Uznałem, że z nim się uda, bo dobrze mu z nich patrzy i wygląda na takiego, który bardziej w drugim człowieku szuka dowcipu niż zwady.

Asan uśmiechnął się, a pod wąsikiem błysnęły zęby. Kłamstwo przeszło gładko i na moment mogłem się za nim schować. „Włoch” popatrzył na mnie czujnie, skończył papierosa, cisnął peta i wyciągnął z kieszeni cienkie rękawiczki. Zakładał je powoli, pomyślałem więc, że mnie rozczytał i teraz przejdzie do kontrataku. Czekałem na jego ruch i przygotowałem się na wstyd, którym miał we mnie cisnąć z tego swojego kamienia. Ale atak nie nadszedł. Policjanci wstali i poszli. Nie musiałem się wstydzić.

Kłamstwo przeszło, ale po co w ogóle kłamać z takiego powodu jak skurcze w udach? Po co udawać przed brzydkim, skoro ten ładny i tak widzi, że ściemnam, bo ledwo idę, więc pewnie zaraz powie o tym brzydszemu. Pięć godzin wcześniej Mir Ghani, mój przewodnik, trzykrotnie pytał: „Może oddasz mi pięć kilogramów?”. A ja oburzałem się coraz bardziej. Przecież kucharz Razaulhiq był ode mnie o głowę niższy, a i tak wziął na plecy jakieś pięć kilo więcej. Wiecznie się uśmiechał, a rzeczy niósł w niewygodnej torbie. Poradzę sobie, to tylko 18 kilo.

Już się nie uśmiechałem. Ostatni raz kucharza widziałem godzinę temu, na początku piekielnego podejścia. Ściągnąłem plecak i usiadłem na kamieniu. Kilka razy machnąłem nogami, ale skurcze nie chciały przejść. Zadarłem głowę, by zobaczyć, czy jeszcze daleko. Pierwsze zabudowania wciąż były wysoko. Aż nie chciało się wierzyć, że ktoś zbudował wioskę w tym miejscu. Bardziej jakby z chmur spadła. Z drugiej strony idealnie wbiła się w niewielki płaskowyż doliny Diamir, o przypadku nie mogło być mowy. Musiała być wysoko, bo po drodze nie było miejsca, w którym słońce widać tak długo jak w Sar. Do tej pory szliśmy wąskimi, mrocznymi

wąwozami, a ścieżka wiła się w połowie wysokości brunatnych zboczy. W dole częściej było słycać, niż widać, wąską rzeczke o szmaragdowym kolorze przelewającą się przez wielkie, nieśmiertelne bryły lodu, które nigdy nie widziały słońca. A tutaj słońce jest bogiem i najlepszym nawozem, bo przekłada się na warzywa – cebulę i fasolę – oraz mięso: promienie karmią trawę, a tę zjadają chude kozy.

Wyciągnąłem słuchawki. Powitał mnie mroczny jak ta dolina głos Marka Lanegana.

*Somewhere in the valley where you lie
Pray for those whose sun will never rise
Ghosts are laughing everywhere you land
Take another step and then you can^[24]*

Ostatnie 20 minut najchętniej rozbiłbym na trzy części, ale nie mogłem, bo pod nogi prawie sturlała mi się gromadka dzieci. Z brudnych buzi czujnie spoglądały jasne oczy. Odważniejsi malcy na przedzie, reszta schowana za pierwszym szeregiem. Teatrzyk trwał więc w najlepsze. Wyprostowałem się jeszcze bardziej niż przed policjantami, resztką sił przyśpieszyłem kroku i wszedłem do Sar. Kurz zniknął, przestały istnieć kamienie i wszystko, co brązowe, szare i do tej pory dominujące w krajobrazie. Biel odległego o kilka, kilkanaście kilometrów masywu Nanga Parbat na moment zabrała całą uwagę. Wróciła świeżość w płucach, zapomniałem o napięciu mięśni. Żadne wrażenie nie wygra jednak ze stadem kóz. Rozmeczane wpadły w nogi i prawie mnie przewróciły, ku radości dzieci. Czas znaleźć policjantów. Mali przewodnicy – bardzo wczuci w swoje role – podreptali jedyną ścieżką. Pięcioletni na oko chłopiec na szyi miał zawieszony karabin i co kilka sekund obracał się, sprawdzając, czy aby nie chce zawrócić. Nasz orszak minął kilka kamiennych domków, by wyjść na otwartą przestrzeń. Na środku leżał kilkumetrowy pień, na pniu siedzieli policjanci i kucharz, a dookoła tłoczyła się grupa mężczyzn. Starcy mieli długie, siwe brody, które nie zasłaniały szerokiego uśmiechu. Młodszy przyglądali się z zaciekawieniem. Młody zwrócił karabin brzydszemu z policjantów, za co dostał cukierka.

– Udało ci się, witaj w Sar, byłeś bardzo szybki – Mir Ghani wyszedł przed szereg. Był bardzo chudy. Mimo stromego podejścia, które rozbierało człowieka do koszulki, on cały czas szedł w grubej kurtce. Brodę miał dokładnie ogoloną, pod nosem zostawił tylko wąsik. Prawie zrastały mu się brwi.

– Nie kłam – jęknąłem. – Każde z tych dzieci by mnie przegoniło – zrzuciłem plecak i usiadłem na pieńku obok kucharza. Ten walnął mnie łapą w lewe udo, a policjant poprawił w prawe. Kłamstwo ma krótkie nogi. Zawyłem. Dostaliśmy kilka placków czapati i paki-czaj, czyli herbatę z mlekiem.

* * *

– Tej belki na piętrze nie było. Nie zgadniesz, kto ją dorobił – Mir Ghani uśmiechnął się delikatnie. Zawsze się tak uśmiechał i spuszczał oczy, gdy tylko miał jakiś dobry kawałek do sprzedania.

Staliśmy pod kamiennym budynkiem, wyraźnie odróżniającym się od reszty wioski.

– No nie zgadnę, powiedz.

– Historia była taka: zbudowaliśmy tę szkołę, wieczorem była impreza, w zamieszaniu ktoś zleciał z piętra i chyba się połamiał. Messner uznał, że trzeba to zabezpieczyć, w końcu dał pieniądze na to miejsce. Wziął narzędzia i zamontował belkę – wskazał na kilkumetrowy, porządnie wyheblowany kawał drewna.

Już mieliśmy wejść do środka, gdy Pakistańczyk powiedział, że jest jeszcze coś. Minęliśmy szkołę i zatrzymaliśmy się pod małym, kamiennym domkiem. Nie wyróżniał się niczym szczególnym.

– To nasz nowy meczet. Stoi w tym samym miejscu, co stary. A w starym prawie umarł Messner – zaczął Mir Ghani.

Od Reinholda Messnera tutaj nie uciekniesz. Zresztą pewnie nie tylko tu, pod Nangą, ale też pod pozostałymi ośmiotysięcznikami. Tyrolczyk to pierwszy człowiek, który wszedł na wszystkie 14 najwyższych szczytów Ziemi.

Już w ostatnich latach szkoły wiedział, że jego droga do wiedzy nie będzie prowadziła przez biblioteki i profesorów, przez uniwersytety i studia. Wybrał, jak sam mówi, życie i przeżywanie rzeczywistości. Zanim jednak przeszedł 3500 górskich dróg wspinaczkowych i wytyczył 100 nowych, zanim zdobył jako pierwszy wszystkie ośmiotysięczniki świata, przetraversował Antarktydę, Grenlandię, pustynię Gobi, Takla Makan i pouganiał się za yeti po Tybecie – musiał się wydostać z małej tyrolskiej doliny.

– W dzieciństwie świat był tak duży jak ta dolina. Chodziło się na hale po siano. Dalej nie – wspominał. Villnöß w prowincji Bolzano zamieszkuje niecałe 3000 ludzi. To dziesięć razy więcej niż w Sar. Chociaż politycznie to Włochy (Tyrol Południowy), to tylko garstka nie mówi tam po niemiecku.

Reinhold urodził się w 1944 roku i był jednym z dziewięciorga dzieci wiejskiego nauczyciela. Kiedy miał pięć lat, ojciec – jego pierwszy mistrz w skale – zabrał go na trzytysięcznik. Jako dziecko Reinhold wspinał się po skalnych basztach o wysokości domu, fasadach pobliskich ruin i murach cmentarza – ale tylko wtedy, gdy nie pomagał w budowie kurzej fermy, rodzinnego interesu, który pozwolił przeżyć dużej rodzinie. Do zabaw w pionie przyłączył się o dwa lata młodszy brat Günther. Szybko okazało się, że obaj mają smykałkę do wspinaczki. Razem pokonywali coraz trudniejsze drogi w Dolomitach i Alpach. W wieku 20 lat byli już w czołówce skalnych wspinaczy w Europie.

I może na tym by poprzestali, gdyby nie Hermann Buhl.

Pod Nangą to kolejne nazwisko klucz. Austriak w 1953 roku jako pierwszy zdobył jej szczyt wznoszący się 8126 metrów nad poziom morza i zaimponował Messnerowi stylem. Ostatnie 1300 metrów przeszedł samotnie, z minimalną ilością sprzętu, bez butli z tlenem, dając podwaliny pod to, co później nazwano stylem alpejskim. Alpejskim, czyli szybkim, bez wcześniejszego zakładania obozów i powrotów do bazy. Potem wyszło na jaw, że Buhl wspomagał się petrivinem, środkiem dopingującym na bazie amfetaminy, ale to Messnerowi wtedy nie przeszkadzało. Chciał być jak Buhl.

W 1970 roku nadarzyła się okazja – organizowała się wyprawa na Nanga Parbat. Celem była niezdojta, 4500-metrowa ściana Rupal, a kierownikiem Karl Herrligkoffer.

– Jak daleko jest na stronę Rupal? – zapytałem Mir Ghaniego.

– Cztery dni drogi. Trzeba jechać samochodem. Kiedy chcesz tam ruszyć?

– Za jakieś dziesięć dni. Zobaczymy, jak idą postępy czterech ekspedycji działających po stronie Diamir, a potem pojedziemy do dużej, polskiej wyprawy, która bazę założyła w Lattabo. Może tak być? – już któryś raz powtórzyłem Pakistańczykowi plan, ale on potem jeszcze wiele razy pytał o to samo. Widocznie tutaj plany szybko się zmieniają.

O ekspedycji na Nanga Parbat, być może najważniejszej w jego życiu, Messner pisze w jednej ze swoich 50 książek. Gdy samotnie zbliżał się do szczytu, niespodziewanie dogonił go brat Günther i razem weszli na wierzchołek. Później młodszy z braci Messnerów osłabł i jedynym ratunkiem było szybkie zejście drugą stroną góry, gdzie teren był łagodniejszy. Przynajmniej tak twierdzi Reinhold.

– Trzykrotnie byłem świadkiem, jak z błyskiem w oku mówił podczas wyprawy, że ktoś powinien spróbować trawersu, że to kolejny krok w alpinizmie. Nigdy nie napisał o tym w swoich książkach – wyjawiał kilka lat temu w rozmowie z magazynem *Spiegel* Gerhard Baur, członek wyprawy z 1970 roku. Według niego Messnerowie schodzili w stronę doliny Diamir nie po to, żeby się ratować, ale dlatego, że Reinhold miał takie ambicje. Bracia nie wiedzieli, co ich tam czeka, bo nie znali topografii terenu. O życie walczyli dwa dni. Günther cierpiał na chorobę wysokościową, majaczył, a w ostatniej fazie zejścia został daleko w tyle. Ale zdaniem Reinholda wtedy już mieli najtrudniejszą część drogi za sobą i nic złego nie mogło się zdarzyć. Gdy starszy z braci dotarł do doliny, długo czekał na młodszego. Szukał go, nawoływał, ale nikt nie odpowiadał. „To był pełen udręki płacz zagubionego zwierzęcia” – pisał później o swoich poszukiwaniach. Przez kolejnych 35 lat zarzucano mu, że zostawił Günthera na szczycie i sam postanowił schodzić drugą stroną góry, by jeszcze bardziej podkreślić rangę swojego wyczynu. Reinhold natomiast opowiadał swoją historię, w której brata miała mu zabrać lawina. Oskarżenia podzieliły świat alpinizmu na dwie frakcje – jedni uwierzyli, inni uznali, że egoizmem zabił Günthera. Zarzucano mu nawet, że młodszego brata zostawił przy szczycie i ten nigdy nie postawił nogi na drodze w dół, do doliny Diamir.

– No i w końcu w 2005 roku trzech ludzi z Buner Das, miejsca, w którym mieszkam, a które będziemy mijać po drodze do bazy, znalazło dwa ciała – powiedział Mir Ghani. – Lato było bardzo ciepłe, lodowiec się otworzył i odkrył to, co przez lata było schowane. Przy jednym z ciał pasterze znaleźli skórzany but, a takich wspinacze nie używali podobno od dawna. Messner zresztą dawał wyraźne wskazówki, żeby właśnie tego obuwia szukać – dodał.

Himalaiści przetrzucili się na syntetyczne obuwie w latach 80. But musiał należeć więc do kogoś, kto wspinał się tam wcześniej. Wielu takich nie było. Ciała znajdowały się godzinę drogi w górę od bazy Diamir. Naukowcy z Uniwersytetu w Innsbrucku na podstawie badań DNA orzekli, że odnaleziono zwłoki Günthera Messnera. Wersja Reinholda się potwierdziła.

– Messner ledwo przeżył atak na swój pierwszy ośmiotysięcznik. Umierał w naszym meczecie – powiedział Mir Ghani i znów wskazał na kamienny domek.

– Dlaczego człowieka innej religii położyliście w meczecie?

– Nikt nie chciał go wziąć do domu, poza tym w meczecie miał być bezpieczny – Pakistańczyk zawiesił głos i krzywo się uśmiechnął. – Ukradli mu zegarek.

– Kto?

– Ktoś z wioski wszedł w nocy i ściągnął Messnerowi zegarek z ręki. On opowiadał potem, że nawet to pamięta, ale był zbyt słaby, by cokolwiek zrobić. Kiedyś tutaj było inaczej, ludzie nie mieli poszanowania dla praw islamu. Na całą ludność tej doliny, kilkanaście tysięcy osób, przypadał jeden imam. Więc jak mógł wbić do głowy prawdę? Teraz Sar ma swojego własnego imama – powiedział Mir Ghani.

Tyrolczyk przeżył, ale bardzo się odmroził. Amputowano mu siedem palców u stóp. I jak na ironię, to popchnęło go w kierunku kolejnych 13 szczytów, bo bez palców u nóg nie mógł być dobrym wspinaczem skalnym, ale Messnerowi himalaiście ich brak tak bardzo nie przeszkadzał. Na wysokościach wytrzymałość była ważniejsza od techniki. W 1986 roku wygrał wyścig z Jerzym Kukuczka – jako pierwszy zdobył wszystkie ośmiotysięczniki. Zajął mu to 16 lat. Kolejne spędził na wędrówkach po najbardziej ekstremalnych zakątkach świata. Nazwał się półnomadą, który musi wyznaczać sobie kolejne cele, bo to trzyma go przy życiu.

W 1999 roku dostał się do Parlamentu Europejskiego z ramienia frakcji Zielonych. Zajmował się głównie rozwojem wsi i gospodarki rolnej, ale pomagał również w dialogu z krajami południowej Azji. Jeździł też po świecie i opowiadał o przygodach nie tylko na spotkaniach podróżników, ale również w wielkich firmach, gdzie uczył zarządzania w sytuacjach kryzysowych. Ot, nowoczesny himalaizm, z namiotem na salony. Messner ostatnio rzadziej opuszcza Tyrol Południowy. Zajmuje się rozbudową swojego muzeum górskiego i doglądaniem ekologicznej farmy. Jak mówi, wcale nie żyje wolniej, nowe obowiązki są tak samo angażujące jak przygotowania i czas spędzony na wyprawach. Często sięga po cytaty, by obrazować swoje życie. W jednej z książek tłumaczy się fragmentem z *Gilgamesza* Raoula Schrotta: „Spać mogę dostatecznie długo po swojej śmierci; pozwól mi zobaczyć słońce i nasycić się światłem... martwy będę ich spragniony”.

– Messner został rolnikiem? A to dobre – zaśmiał się Pakistańczyk.

– Ale nie byle jakim. Wiesz, po co mu ta farma? Mówi, że jak świat już rozpieprzy jakąś apokalipsa, to on dzięki temu, co wyhodował, będzie mógł pożyć jeszcze kilka dobrych lat.

– Bardzo mądry człowiek – skwitował Mir Ghani. – Chodź, dziś śpisz w jego szkole.

– A to tak można?

– Jestem w niej jedynym nauczycielem.

* * *

– Mir Ghani, a czy to naprawdę są już Himalaje?

Pytam nie po to, żeby go zdenerwować. Duża część jego dumy opiera się w końcu na tym, że twardy charakter zbudowało mu życie pośród największych gór świata. Pytam, bo nie tak wyobrażałem sobie trekking do bazy pod Nanga Parbat. Jeden z najkrótszych na świecie, bo pod inne ośmiotysięczniki można iść nawet i dwa tygodnie. Ja miałem iść dwa dni, a Mir Ghani i jego bracia mogli dojść do bazy w jeden. To dziwna droga, przebiegająca ciasnymi dolinami, w których śniegu jest tak samo niewiele jak słońca. Idzie się więc przede wszystkim w cieniu, a za akompaniament robią przesuwające się ciągle pod butami małe kamyczki. I kozy. One znają okolice Nanga Parbat najlepiej. Co chwilę jakaś wymija nas na ścieżce.

W poszukiwaniu roślinności wbijają się w skalne zbocza wysoko, nawet na 5–6 tysięcy metrów. Parę razy musimy więc przyspieszyć, bo stado nad głowami oznacza spadające kamienie. Po drodze mijamy wioskę, w której przez 40 dni w roku światła nie ma w ogóle. Jej mieszkańcy przybyli tutaj 300 lat temu z Kaszmiru i do dziś mówią innym językiem niż reszta doliny Diamir. Na te 40 dni ciemności przygotowują się przez resztę roku. Zbierają słomę i drzewo, które mają ich wówczas ogrzać.

– Jutro się upewnisz, że to Himalaje. Do bazy mamy jeszcze jakieś osiem godzin drogi, ale niedaleko stąd leży już śnieg – odpowiedział Pakistańczyk.

Na razie siedzimy w szkole, którą w 2000 roku kazał wybudować Messner. Tak chciał podziękować za uratowane życie i uczcić pamięć Günthera. Na parterze i piętrze jest kilka pomieszczeń, a w nich półki i parę zniszczonych już tablic, z których dzieci uczą się angielskiego.

– Messner kupił jeszcze książki, ale też się poniszczyły. Potrzebujemy pieniędzy, żeby ogrodzić plac przed szkołą. W lecie rośnie na nim trawa, więc przychodzą tu kozy i wszędzie srają.

– Właśnie chciałem spytać...

– Idź za szkołę.

Rodzina Mir Ghaniego mieszka w Sar i pobliskim Bunar Das od 50 lat. Ojciec jeszcze 15 lat temu pomagał wyprawom. Turystyka to rodzinny biznes, w bazie pod Nanga Parbat przebywa obecnie dwóch młodszych braci Mir Ghaniego. Atta Ullah pracuje przy ekspedycji Aleksa Tríkona, Daniele Nardiego i Muhammada Alego, a Azizullah ma się zająć mną.

– Mój ojciec pracował głównie z Koreańczykami i Japończykami. Teraz oni już tutaj nie przyjeżdżają – mówi Mir Ghani.

– Dlaczego?

Pomyślał chwilę, ale nie mógł znaleźć odpowiedzi.

– Może w Japonii jest kryzys?

Swobodnie rozmawialiśmy po angielsku, którego nauczył się na studiach w dalekim Karaczi. Trzeba przejechać cały Pakistan, żeby dotrzeć do największego miasta kraju. Położony na południu nad Morzem Arabskim port zamieszkuje ponad 20 milionów ludzi. W Sar mieszka 300 osób. Połowa z nich w zimie schodzi w dół doliny, gdzie łatwiej o wodę. W Sar nie ma elektryczności, kanalizacji, szpitala. Nie da się tutaj dojechać jeepem.

– W zimie musimy iść nawet 40 minut, by dostać się do jakiegoś źródła.

– Dlaczego nie zostałeś w Karaczi?

– A dlaczego miałbym zostać? Tu jest moja rodzina. Mieszkamy razem w 13 osób. Nie wyobrażam sobie życia bez nich.

– Tam miałbyś łatwiej. Nie podobało ci się?

– Podobało. Karaczi jest inne niż północ Pakistanu. Myślę, że tam się żyje trochę jak w Europie. Jeśli nie będę miał za co wykarmić dzieci, to zastanowię się, czy tam nie wrócić.

Szkoła w Sar działa przez dziewięć miesięcy w roku. Uczęszcza do niej 50–60 dzieci. Mir Ghani codziennie po kilkadziesiąt minut dochodzi tutaj z Bunar Das, by uczyć m.in.: urdu, angielskiego, matematyki, wiedzy o Pakistanie, wiedzy o islamie.

W końcu prowadzi mnie do jednego z pomieszczeń na górze. Na noc każe zamknąć

pokój od wewnątrz. Kłódkę zawiesza również na drzwiach szkoły. Padam na łóżko. Za materac robi karimata. Do snu kołysze zimny wiatr wpadający przez dziury po sękach w drewnianych ścianach. Świszczy. Zakładam słuchawki, a tam wieje jeszcze mocniej i Nick Mason potwornym głosem obiecuje, że niedługo pokroi mnie na kawałeczki^[25].

ROZDZIAŁ XV

poniedziałek, 18 stycznia 2016 roku

Tąpnięcie było krótkie i ciche. Lód się załamał i Mir Ghani nagle stał się o kilkadziesiąt centymetrów niższy. Szybko wyskoczył z wody i syknął, że teraz musi biec do Kutgally.

– To jakieś 20 minut stąd. Lecę, bo zamrzną mi nogi. Mam nadzieję, że tragarze czekają tam na nas i że rozpalili ognisko! – krzyknął i zniknął z oczu.

Powoli obszedłem zamrznęty fragment ścieżki. Pod lodem płynął strumyk. Policjanci trzymali się z tyłu. Właśnie wyszliśmy z lasu i przechodziliśmy bliżej skalnego zbocza. Przed nami wciąż jeszcze była ogromna tama lodu. Wydawało się, że za nią musi być jakiś wielki zbiornik i gdy tylko lód puści, to woda zaleje porośniętą lasem dolinę.

Ktoś krzyczał, a kilkaset metrów nad nami wśród skał coś dymiło. Z niewielkiego skupiska krzewów i niskich drzew wyskoczyła trójka dzieci. Odległość była spora, ale żadne z nich nie mogło mieć więcej niż 12–13 lat. A więc tak w Pakistanie wygląda zabawa w kowbojów, Indian, piratów, chowanego. Wychodzi się wysoko nad dolinę do podniebnej fortecy, pali ognisko i potem już zupełnie jak u nas: krzyczy wniebogłosy. Tylko że to wcale nie była zabawa. Z krzaków wyleciały grube gałęzie, a za nimi wyturlało się jeszcze kilku szkrabów. Schodzili do doliny, kopiając kawałki drewna, które później dadzą ciepło ich rodzinom. Towarzyszyły im kozy.

Po dziesięciu minutach spotkaliśmy Mir Ghaniego siedzącego pod olbrzymim kamieniem. Przebierał skarpetki. Wyciągnąłem z plecaka zapasowe buty i wręczyłem mu.

– To szczęście, że miałem te skarpetki – cieszył się. – Bez nich odmroziłbym się, zanim doszedłbym do wioski.

Po kolejnych dziesięciu minutach zobaczyliśmy pierwsze zabudowania. Kilkadziesiąt kamiennych chatek przycupnęło na skraju lodowca. Wszystkie oprócz jednej były pozamykane. Na drewnianych okiennicach wisały wielkie kłódki.

Głowa zaczęła mnie boleć jakieś dwie godziny wcześniej. Kutgally leży na wysokości 3800 metrów. Jakoś doczłapałem do otwartej chaty. W środku oprócz kilku tragarzy, Mir Ghaniego i kucharza przy ognisku przykucnęło sześciu policjantów. Dwóch znałem, kolejnych czterech ostatnie tygodnie spędziło w bazie Diamir. Częstowali orzeszkami. Podziękowałem, pokazując na bolący brzuch. Wypiłem za to herbatę. Za całą wentylację dwupokojowej chaty robiły lekko uchylone drzwi i niewielka szpara w oknie. Dym szczelnie wypełniał pomieszczenie, oczy łzawiły, patrzeć się nie dało.

Były i takie zimy, że wyprawy organizowały tutaj centrum dowodzenia, a pięć kilometrów dalej, w miejscu tegorocznej bazy, stawiały bazę wysuniętą. Ta zima nie obfitowała w opady śniegu, chociaż chmury szczelnie ukrywały dziś przed naszymi oczami Nangę i wydawało się, że wisząca w powietrzu biel musi wkrótce spaść.

Czekaliśmy na zamieć.

– Jak chcesz, to możemy iść. Do bazy jeszcze jakieś dwie godziny – rzucił Mir Ghani, widząc, że miotam się dookoła budynku.

Cztery z pięciu ostatnich kilometrów to prosta droga przez ogromne pole śnieżne. Lewa strona zamknięta jest skalną ścianą, po prawej widać za to lodowiec, z którego straszą szczeliny. Lód momentami przypomina czarny granit, gdzie indziej czerń zmienia się w błękit o szarym odcieniu. Ale najlepszy jest ten granit. Gdy dłużej zatrzymać na nim wzrok, to można dostrzec całe konstelacje jaśniejszych wzorów, kropek, smug. Obok lodowe pieczary otwierają się i zamykają, a wiele z nich jest wielkości kilkupiętrowych bloków. Ostatni kilometr do bazy to pagórki.

* * *

Wchodzimy. Nanga do połowy skryta jest w chmurach. Najpierw mijamy kamienny domek, dobrze znany ze zdjęć, które obiegały świat po tragedii, która wydarzyła się tutaj w lecie 2013 roku. Przy domku stoją dwa duże namioty, do których można wejść bez schylania głowy. Mir Ghani prowadzi dalej w kierunku Nangi. Za domkiem, nad ścieżką stoi żółto-biały namiot przypominający duże igloo. Nie ma wątpliwości, kto jest jego właścicielem, bo projektanci zadbali, żeby logo The North Face było dobrze widoczne.

– Ciao Simone! – próbuję się przywitać.

Cisza. Pewnie go nie ma. Idziemy dalej. Ścieżka prowadzi nieco w dół, by po 20 metrach się rozgałęzić. Prosto idzie się w kierunku Nangi, pod ścianę. Skręcamy w lewo i przechodzimy obok dużego i długiego namiotu. Wisi na nim baner ze zdjęciami: Alexa Tríkona, Daniele Nardiego, Muhammada Alego i Igone Mariezkurreny. Trzej pierwsi to himalaiści, Igone to dziewczyna Alexa i jego menedżerka. Dookoła stoi kilka mniejszych namiotów. W dużym, czyli w mesie, gotuje się, je i spędza czas. W małych się śpi. 20 metrów dalej stoi inna mesa, o wiele mniejsza, a naprzeciwko niej kolejna, jeszcze mniejsza. Pomiędzy miga kolorowa czapka. Taką ma tylko jedna osoba w Himalajach. Adam Bielecki stoi między namiotami i się uśmiecha.

– Wchodź do środka, zaraz przyjdę.

Na plastikowym krześle siedzi Jacek Czech. Niższy o głowę od Bieleckiego, starszy o kilkanaście lat, mocno już łysawy, grzeje nogi nad gazowym palnikiem. Dla Czecha to pierwsza zimowa wyprawa w tak wysokich górach. Owszem, wcześniej wspinał się o tej porze roku setki razy w Tatrach czy w Alpach, ale w Himalajach w zimie jeszcze nie był. Bielecki to wyjadacz, pierwszy zimowy zdobywca Gaszerbrum I i Broad Peak. Witamy się, Jacek pyta o drogę, o bolącą głowę i nalewa zielonej herbaty do kubka.

– Masz, chłopie, pij ile wlezie, bez tego łeb cię boleć nie przestanie. Adam jest zły na ciebie – zaczyna.

– Dlaczego? – pytam, choć się domyślam.

– Boś napisał trzy dni temu, że kończymy wyprawę.

– Przecież kończycie.

– Ale to myśmy mieli powiedzieć.

Namiot się trzęsie. Ma dwie powłoki, więc trzeba rozsunąć dwa zamki. Trwa to kilkanaście sekund. Najlepsze w tym całym ceremoniale wchodzenia, otrzepywania

butów, ściągania ich jest to, że do ostatniej chwili człowiek nie wie, kto idzie.

– Ile dziś wypiałeś? – pyta Bielecki, zasuwając zamek i chroniąc nas przed zimnem, które z każdą godziną staje się dotkliwsze. Na zewnątrz szarówka zmienia kolor na czarny.

– Może z półtora litra – mówię.

– A powinieneś pić. Picie ma ci wejść w nawyk, masz się nawet nad tym nie zastanawiać. Nieważne, czy będziesz pił herbatę, czy wodę. Pić litrów. Inaczej się odwodnisz i głowa będzie cię bolała. Masz dwa razy sikać przed snem, raz w nocy. Niektórym chce się wychodzić z namiotu, ale większość sika do butelki. Masz butelkę?

– Nie mam.

– To zaraz ci jakąś znajdziemy. Nie wiem, jak tam z twoim rozmiarem, ale najlepiej, jakbyś miał taką z szerokim wlotem. Inaczej pewnie obsikasz sobie wszystko w namiocie – uśmiecha się Adam, a jego prorocтво ma się wkrótce spełnić.

Jacek z kolei dodaje, że najlepsze siki są przezroczyste. Jak są żółte, to znaczy, że za mało człowiek wypił. Kolor podobno da się sprawdzić nawet w nocy, naświetlając strumień latarką pod odpowiednim kątem. Kolejna ważna sprawa: w dzień nosić okulary.

– Jak pod koniec grudnia dotarliśmy do bazy, to słońca mieliśmy może z dwie godziny dziennie. Teraz będzie go ze trzy i pół godziny. Wciąż niewiele, ale śnieg odbija promienie i można się nabawić śnieżnej ślepoty. Przez kilka dni nic nie widzisz.

Baza Diamir leży na wysokości 4200 metrów, ja się nie wspinam, a dookoła jest przynajmniej kilka osób, które mogłoby się mną zająć, gdybym nagle stracił wzrok. Ale dla himalaisty śnieżna ślepotą podczas akcji górskiej może się równać śmierci. Najbardziej chyba znaną Polakom historią oślepienia w górach jest ta, która przydarzyła się w 1989 roku Andrzejowi Marciniakowi. 24 maja stanął wraz z Eugeniuszem Chrobakiem na Mount Evereście. Potem zeszli do obozu I, który założyli pod przełęczą Lho La (6026 m n.p.m.). Spotkali się tam z resztą kolegów ubezpieczających ich wejście: Mirostawem Dąsałem, Mirostawem Gardzielewskim, Andrzejem Heinrichem i Wacławem Otrębą. Śmietanka polskiego wspinania. Pogoda się załamała, w góry przyszedł monsun. Musieli uciekać. Lawina porwała ich z podejścia na przełęcz. Marciniak ocknął się w lawinisku. Nasłuchiwał. Ktoś jeszcze żył, bo słycać było jęki. Heinrich umarł podczas wykopywania, Chrobak przed świtem. Marciniak czuwał przy nim całą noc. Znalazł radiotelefon i połączył się z bazą. Potem ruszył w kierunku namiotu i jakimś cudem dotarł do niego w ostatniej chwili. Nie miał okularów i po całym dniu walki w śniegu tracił wzrok. Pomoc nie nadchodziła, bo droga na przełęcz była zasypana, w bazie nie było sprawnych do akcji himalaistów. Cała Polska żyła pierwszymi wolnymi wyborami, a świat – protestem chińskich studentów na placu Tiananmen. Na szczęście o wypadku dowiedział się odpoczywający w Katmandu po wyprawie z Messnerem Artur Hajzer, ten sam, który kilkanaście lat później reaktywował pomysł zimowego wspinania się na niezdobyte zimą ośmiotysięczniki i który uwierzył, że Bielecki ma do tego dar. Hajzer użył swoich kontaktów i po trudnych negocjacjach dostał pozwolenie na poprowadzenie akcji ratunkowej od strony chińskiej. Z Katmandu ruszyli z nim Nowozelandczycy Robert Hall i Gary Ball oraz Shiva Prasad Katel i Ang Zambu Sherpa. Na przełęczu znaleźli się 55 godzin później. Marciniak akurat zbierał się do wyjścia z namiotu. Nie jadał i nie pił

od dwóch dni, ale nie zamierzał się poddać. Z opakowań po lekarstwach zmajstrował okulary, zmasakrowanymi palcami próbował założyć raki. Wstawał z kolan, gdy usłyszał: „To ja, Artur, przyszedliśmy po ciebie. Jesteś uratowany”.

– Najlepsze lekarstwo na śnieżną ślepotę: zużyte torebki po herbacie. Jeszcze namoczone kładziesz sobie na powieki – recytuje Jacek.

Adam krząta się po mesie, składa porozwieszane pod dachem namiotu skarpetki i rękawiczki. Trochę jakby ostatni dzień w pracy i sprzątanie biurka.

– Podobno jesteś na mnie zły za to, że napisałem o końcu waszej wyprawy.

– Nawet nie na ciebie – odwraca się. Na jego twarzy nie ma złości.

– Taka moja praca – wtrącam.

– Jestem bardziej zły na Alego, że ci to powiedział. Musieli się nie dogadać z moim menedżerem. Wiesz, nasza wyprawa ma patronów medialnych i mieliśmy zaplanowane poinformowanie ich w tym samym czasie. W końcu powinni mieć pierwszeństwo. Ale nie ma sprawy. Bez urazy.

Muhammad Ali, nie mylić ze wspinaczem, to właściciel agencji turystycznej Adventure Pakistan, która obsługiwała wyprawę Adama i Jacka, a teraz zajmuje się moim pobytem w Pakistanie. Ali odebrał mnie z lotniska z Islamabadzie, wsadził w samochód, którym przejechałem Karakoram Highway, i bez ceregieli poinformował o końcu wyprawy Bieleckiego i Czecha.

Jak bez urazy, to bez urazy. Można ściągnąć kurtkę i w końcu usiąść, bo w głowie szumi od wysokości. Nogi przynajmniej nie boją, bo rano oddałem osiem kilogramów tragarzom. Obchodzę plastikowy stół i z ulgą walę się na krzesło. Pęka i ląduję na podłodze z plastikowej folii.

– No to chyba czas najwyższy na zakończenie tej wyprawy. Wszystko się sypie – śmieje się Adam i spogląda na swoją rękę. Dłoń nie wygląda dobrze, jest napuchnięta i cieplejsza od drugiej.

Do bazy Diamir Bielecki i Czech dotarli pod koniec grudnia. Pisali, że byli pełni mocy, bo wcześniej spędzili 14 dni powyżej 4000 metrów w Chile. Trzy noce przespali na wysokości 6800 metrów, tuż pod szczytem Ojos del Salado. Po takiej aklimatyzacji przyjechali do Pakistanu i planowali wejście na wierzchołek Nanga Parbat stylem alpejskim w siedem dni. Swój pomysł nazwali rewolucyjnym i rzeczywiście byłby taki, gdyby się udało, bo w stylu alpejskim na ośmiotysięcznik w zimie nie wszedł jeszcze nikt. Przed nimi w 2013 roku próbował tylko Niemiec Ralf Dujmovits. Zaaklimatyzował się na najwyższym szczycie obu Ameryk – Aconcagule – i planował samotny atak na Nanga Parbat. Zrezygnował, gdy zobaczył wiszące nad drogą seraki.

– Podczas pierwszego wyjścia doszliśmy z ciężkimi plecakami na wysokość 5700 metrów. W sześć godzin. Nikt wcześniej tutaj nie zrobił nic podobnego w zimie. Gdyby pogoda dopisała, to myślę, że byłbym w stanie pomóc Adamowi dojść jak najwyżej. A on miał w sobie tyle mocy, że mógłby stanąć na szczycie. Czułem się jak lis goniący zająca, ale pogody nie było – mówi Jacek. Czuć w nim emocje, gdy opowiada. Bardzo różni się w tym od Adama, który waży słowa i mówi na ogół z lekkim uśmiechem. Tego spokojnego opowiadania Bielecki nauczył się chyba po Broad Peak, gdy ze szczytu nie wrócili Maciej Berbeka i Tomasz Kowalski. Polska – tak, Polska, a nie tylko środowisko wspinaczkowe, bo o sprawie mówili wtedy wszyscy – się podzieliła. Jedni winili najszybszego Adama za to, że nie poczekał

na kolegów. Inni widzieli w nim najmocniejszego z grupy, a więc dlaczego, gdy on wyszedł na szczyt, reszta nie zawróciła? W końcu to była narodowa wyprawa, zadanie zostało wykonane, pozostali nie musieli wchodzić.

Pogody nie było, dni mijały, a rewolucyjny plan Bieleckiego i Czecha upadał, bo tracili aklimatyzację, czyli jedną z najważniejszych dla himalaisty rzeczy. Organizm uczy się wysokości. Tego, że ma mniej tlenu, że człowiekowi trudniej jest złapać oddech i postawić nogę do przodu. Uczy się, a potem zapomina. Adam mówi, że jego ciało pamięta o wysokości przez jakieś trzy tygodnie, potem trzeba wszystko zaczynać od początku. Wraz z Jackiem zdecydowali więc, że trzeba sobie to bycie w górze przypomnieć. Żeby atakować szczyt, pogody nie było, ale ocenili, że mają szansę dotrzeć do wysokości 7000 metrów, tam założyć obóz, czyli postawić namiot, przespać się i zejść do bazy. To by wystarczyło, pamięć komórkowa by wróciła.

– A może nawet moglibyśmy ten szczyt jednak zaatakować? Kto wie? Ale coś było nie tak – mówi Jacek.

– Co?

– Osłabłem. Może przez wrażenie tej ogromnej mocy odpoczęliśmy o jeden dzień za krótko i spakowaliśmy zbyt wiele do plecaków? W połowie drogi wysiadłem. Adam czekał na mnie, a ja nie mogłem do niego dojść. Zostawiliśmy depozyt i zawróciliśmy – mówi i widać, że jest smutny, jakby zaważył jakąś ważną sprawę i trochę się wstydził. Po chwili dodaje: – Bardzo mnie to osłabienie zaskoczyło. Pierwszy raz w życiu poczułem, że jest mi naprawdę zimno. Może to była jakaś infekcja?

– A ja myślę, że to było zwykłe osłabienie – przerywa Adam. – Nie jesteś przyzwyczajony do stylu wyprawowego, ciągłego przemieszczania się i spędzania długich tygodni w trudnych warunkach. Ja to potrafię, ty jeszcze nie. Myślę, że po prostu za bardzo schudłeś.

Zdażyłem już się pozbierać z podłogi i usiąść na innym krześle. Nasłuchuję tej rozmowy z nieodpartym poczuciem, jakby zamienili się miejscami. Powinno być tak, że młodszy tłumaczy się energicznie z mieszaniną wstydu i winy, a starszy te tłumaczenia koryguje i szuka rzeczywistych przyczyn porażki. Jacek był pierwszym instruktorem Adama, ale tu role się odwróciły. To pierwsza zimowa himalajska lekcja Jacka. Adam czuje się tutaj jak w domu.

– Nasz plan mógł się udać i będę się przy tym upierał. Trzeba było tylko działać szybciej, bo każdy dzień w bazie zabiera siły. Cztery razy byliśmy w górze i teraz czuję się słabszy niż po przyjeździe. Sprawa była prosta – jest pogoda, wchodzimy, nie ma pogody, wracamy do domu – mówi Adam.

– Dlaczego nie zostać dłużej i poczekać na pogodę? – pytam.

– Urodził mi się syn, nie chcę przegapić jego pierwszych kroków. A Jacek jest instruktorem wspinaczki i musi wrócić do kursantów.

– Nie pracuję od pięciu miesięcy. Tutaj wydam kilka tysięcy dolarów, a w Polsce pieniądze same się nie zarabiają – dodaje.

– No dobra, ale jednak wyszliście poza swój pierwotny plan i połączyliście siły z Alexem Txikonem, Daniele Nardim i Alim Sadparą.

Bask, Włoch i Pakistańczyk wspinają się w tym samym miejscu – tak jak Adam i Jacek do szczytu chcą dojść drogą Kinshofera.

– Jeszcze przed przyjazdem wiedziałem, że na drodze Kinshofera nie będziemy sami – zaczyna Adam. – Współpraca była nie do uniknięcia, nie da się udawać, że drugiej wyprawy nie ma. Kiedy nasz plan z szybkim wejściem nie wypalił, poszedłem do Alexa omówić warunki współpracy. Bardzo mnie zdziwiła jego postawa.

– Nie zgodził się? – dziwię się i ja, bo jeszcze wiosną 2014 roku Alex i Adam wspinali się w jednym zespole i próbowali poprowadzić nową drogę na Kanczendzondze, a zeszłej zimy mieli jechać z Denisem Urubką na K2.

Urubko, urodzony w Rosji, od lutego 2015 roku posiadacz polskiego paszportu, to jeden z najlepszych wspinaczy na świecie. Jego doświadczenie i umiejętności musiały imponować obu.

– Alex się zgodził, ale chciał dużo pieniędzy za dostęp do lin. My lin przywieźliśmy za mało, by w klasycznym stylu wspiąć się na tę górę i ją poręczować.

– Dlaczego nie zabraliście więcej lin?

– Bo nie taki mieliśmy pomysł na wspinaczkę. Poza tym wyprawę dopiero w ostatnim momencie udało się zabezpieczyć finansowo – tłumaczy Adam.

– Ile chciał Alex?

– Dużo. Za dużo. 5500 euro. Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś chciał więcej niż 1000 dolarów, i to za liny już powieszone. Łączenie sił to była improwizacja, której w Himalajach nie znoszę – w końcu na twarzy Adama pojawiają się jakieś emocje, uśmiech znika. – Odeszliśmy od naszego pierwotnego planu.

W końcu udało się z Alexem ustalić wstępne warunki współpracy. Mieli zacząć od tego, że zaporęczują ściankę Kinshofera ich linami.

Ponad 100 metrów skał wznoszących się na granicy pięciu i sześciu tysięcy metrów to najtrudniejsza część drogi. Bielecki wspiął się tam z Nardim, bo Jacek źle się czuł.

– Byliśmy blisko 5800 metrów, niedaleko ścianki. Założyłem stanowisko, świadomie się odchyliłem, obciążyłem linę poręczową. Pękła – mówi Adam.

– Ile poleciałeś?

– 80 metrów. Nie pamiętam samego upadku. Pierwsza świadoma myśl była zupełnie spokojna: lina się urwała, lecę. Jestem wspinaczem, latałem już nieraz, więc na początku nie było strachu. Ale właśnie biłem swój życiowy rekord, wcześniej najwięcej poleciałem 40 metrów. Przyszła druga myśl, podszyta irytacją: dlaczego lecę tak długo? Trzecia myśl była pełna strachu: lecę głową w dół, niedobrze. Czwarta: zatrzymałem się, asekuracja drugą liną zadziałała.

Wyobraziłem sobie, co by się stało, gdyby druga lina nie zadziałała. Droga Kinshofera w tym fragmencie skrzy się od lodu. Bielecki zjechałby po tym rozbiegu, a następnie wybił się z progu, który jest na początku drogi. Ciało wylądowałoby pewnie na lodowcu. Życie uratowała mu dodatkowa asekuracja.

– Ta lina poręczowa, która urwała się pod tobą, uratowała życie również komuś innemu – zaczyna Jacek. – Na drodze Kinshofera tylko my asekurowaliśmy się dodatkowo. Gdyby padło na kogoś z innego zespołu, pewnie by nie żył.

Na to Adam mówi, że uważa się za bezpiecznego wspinacza.

– Moim celem nie jest bycie dobrym himalaistą, ale starym himalaistą. Mam zasady. Najważniejsze: nie wspiąć się pod serakami, zawsze wiązać się na lodowcu, nigdy nie korzystać ze starych lin poręczowych. Ta ostatnia reguła jest szczególnie ważna, bo niejednen wspinacz zginął, gdy stara lina urwała się pod jego ciężarem. Więc tym

bardziej irytujące dla mnie jest, że kiedy wspinam się zgodnie z zasadami, to urywa się pode mną nowa lina poręczowa, którą właśnie zainstalowałem. To nie miało prawa się zdarzyć. Przeżyłem tylko dlatego, że upadek wytrzymały dwie wkręczone w lód śruby i zadziałała druga lina.

Nardi był wtedy 50 metrów pod Bieleckim.

– Musiałem go uspokajać, bo praktycznie nic mi się nie stało. Miałem nawet pomysł, żeby iść dalej, ale on się na to nie zgodził. Miał rację, bo przecież mogłem być w szoku i dopiero na drugi dzień coś mogło zacząć mnie boleć.

– Co z ręką?

– Nie pamiętam dokładnie momentu wypadku. Chyba złapałem linę bez rękawiczki. Oparzyła mi palec, a potem wyrwała go ze stawu. Wystarczy.

Dla wspinacza palce są tak samo ważne jak dla pianisty czy skrzypka. Można wprawdzie chwycić czekan bez jednego palca, ale tutaj sytuacja była inna.

– Oparzenie to rana termiczna, mróz źle na nią wpływa. Być może po powrocie do Polski rehabilitacja zajęłaby rok, a palec nie byłby sprawny? Nie mogę na to pozwolić. Żyję ze wspinania.

Mówi, że u niego każda decyzja to proces. Wszyscy myśleli, że ten wypadek na pewno zakończy wyprawę, ale on potrzebował trzech dni, żeby wszystko przemyśleć, zobaczyć, co będzie się działo z ręką, sprawdzić prognozę pogody. Porozmawiać z innymi zespołami. Tomek Mackiewicz zaproponował mu nawet połączenie sił.

– Ale to rozmowa o pokusach. Mieliśmy plan, postawiliśmy na jedną kartę, nie udało się – mówi Adam.

– Wstyd?

– Ogony mamy podwinięte, ale wracamy z tarczą. Nie zmarnowaliśmy czasu – mówi Jacek.

Namiet się trzęsie, ktoś majstruje przy zamku. Po chwili do środka wchodzi uśmiechnięty Daniele Nardi. Włoch jest wzrostu Jacka, czyli niewysoki. Ściąga czapkę, spod czarnej czupryny płoną mu wesołe oczy. Przyszedł się pożegnać z Polakami, którzy następnego poranka mieli opuścić bazę. Przy okazji dostaje od Jacka paczkę krakowskiej suchej i kiełbaski. Jacek nie mówi ani po włosku, ani po angielsku, więc ich rozmowa to bardziej słowa, uśmiechy, poklepywanie się, wymiana ciepłych spojrzeń.

Jasne staje się, że nie sposób nie lubić tego twardego chłopca ze Śląska. Z Adamem różni ich prawie wszystko – wzrost, budowa ciała, górską historią, temperament, sposób mówienia, wiara. Bielecki jest ateistą, Czech głęboko wierzący. W górnym rogu mesy wisi kartka bożonarodzeniowa. Na pożegnanie Jacek wręcza mi taką i wypisuje życzenia. Z kolei reporterowi TVN-u, który schodzi wraz z nimi w dół, daje książkę o tym, jak znaleźć Boga.

„Każdy lodowy żołnierz nosi w plecaku buławę generała. Jeśli Pan Bóg będzie chciał, to pozwoli nam wejść na ten szczyt” – mówił przed wyjazdem z wypiekami na twarzy, gdy ogłaszali z Adamem plan wyprawy. Przypominał, że podczas swoich pierwszych zimowych wypraw wierzchołek zdobywali Krzysztof Wielicki i Janusz Gołąb, więc jeśli jemu się uda, to precedensu nie będzie. Już samo to, że pojechał na zimową wyprawę z Bieleckim, to duże zaskoczenie. Adam w ostatnich latach

wspinał się np. z Denisem Urubką, Alexem Txikonem, Arturem Małkiem czy Januszem Gołębiem, czyli w teorii miał z kim zaatakować niezdobyty w zimie szczyt. A jednak wybrał Jacka, nawet dla Polaka interesującego się himalaizmem wspinacza anonimowego. Mało kto pamięta, że Czech był kiedyś pod Nangą. W 2010 roku pojechał na wyprawę unifikacyjną Polskiego Himalaizmu Zimowego. Doszedł wtedy prawie do 7000 metrów i zawrócił. Dlaczego później z Hajzerem już nie jeździł? Mówi, że Himalaje go po prostu wtedy nie interesowały. Jeśli to prawda, to jest inny niż większość wspinaczy, którzy o najwyższych górach świata nie potrafią zapomnieć.

Nardi nie przestaje się uśmiechać, próbuje podziękować za kolejne rzeczy, które daje mu Jacek, z powodu tej gościnności jest mu niezręcznie, jakby to obdarowywanie było czymś niezwykłym. Obładowany wychodzi z mesy, mówiąc, że jeśli bym czegoś potrzebował, to mam się do niego zgłosić.

– Często do nas przychodzi pogadać. Jakoś im się tam nie układa w drugiej mesie – mówi Jacek.

W bazie Diamir działają cztery zespoły. Adam z Jackiem, Daniele z Alexem i Muhammadem, któremu wszyscy mówią Ali (nie mylić z właścicielem agencji Adventure Pakistan), a także Simone Moro z Tamarą Lunger i Tomasz Mackiewicz z Elisabeth Revol. Dwie ostatnie wyprawy są teraz w górze.

– A wam jak się układa z innymi? – pytam.

– Przed wyjazdem media w Polsce wypytywały nas, czy będziemy współpracować, czy to jednak będzie wyścig. Kiedy przyjechaliśmy, przysłała do nas Tamara Lunger i przyniosła nam kawiarękę i paczkę włoskiej kawy – mówi Jacek.

– Jak w ogóle może wyglądać w zimie wyścig na Nanga Parbat? – pyta Adam. – Czy mam wyjść z bazy w złą pogodę, bo ktoś inny może być szybszy? Każdy ma swój plan i w niego wierzy. Włosi powiedzieli nam, że ich media pisały o rywalizacji w stylu „race, fuck and die”. Bo w bazie są trzy kobiety, a ponadto obliczyli, że według statystyk przynajmniej jedna osoba powinna w tym roku zginąć. Jak nam o tym opowiedzieli, to płakaliśmy ze śmiechu – mówi Adam.

Tę wersję o braku rywalizacji słyhać od początku. Simone Moro powiedział nawet, że dla niego każdy, kto wejdzie tej zimy na szczyt, będzie pierwszy i że ścigać to się można w krótkich koszulkach w lecie, jak jest ciepło, a nie gdy w nocy temperatura w pobliżu szczytu spada do minus 60 stopni. Gdy w 2012 roku Adam ruszał do ataku szczytowego z Januszem Gołąbem, byli przekonani, że dzień wcześniej Gaszerbrum I zdobył w zimie po raz pierwszy zespół Gerfrieda Göschla. Mimo to poszli w górę i jak się okazało, na szczycie przed nimi nikogo nie było.

– Dostaliśmy lekcję pokory, ale wyciągamy z niej wnioski i za rok pokażemy, na co nas stać. Wrócimy, oczywiście, jeśli nikt tej zimy nie wejdzie na wierzchołek – wypalił Jacek.

Adam zaczyna się śmiać i szybko zwraca mu uwagę, że nie ma co planować, bo rok to przecież kupa czasu, a nawet jak już planować, to nie mówić za szybko. Media, sponsorzy, biznesplan, wiadomo.

– A jakbyście pojechali jeszcze raz, to znów we dwóch?

– Może we trzech bardziej – zaczyna Jacek. – Wiadomo, dodatkowy członek do pomocy, a ciężaru dochodzi mniej niż jedna trzecia. Może jedna piąta. Ekonomia mówi, że to dobre rozwiązanie. Ale to nie takie hop-siup, trzeba się dobrać. Nawet

z takim Daniele – niby wszystko było dobrze, ale jak szliśmy przez lodowiec, to dla nas było oczywiste, że wiążemy się liną, a on się nie związał, bo w ich zespole tego się nie robi. Trzeba mieć podobne nawyki. Ja nie wspinam się z Adamem dlatego, że on zdobył w zimie dwa ośmiotysięczniki. Czuję się z nim bezpiecznie. Ważna jest też aprobatą mojej żony, która tak jak ja uczy wspinania, więc się zna.

– W zimie nie możesz pójść na 8000 metrów z przypadkową osobą. Jak się znacie, to mniejsza szansa na wypadek. Niełatwo jest znaleźć żonę, a dobrego partnera to może i jeszcze trudniej, bo szuka się na mniejszej powierzchni – mówi Adam.

– Na Broad Peak nie znaliście się dobrze – przytaczam jeden z najczęściej padających argumentów, którym próbuje się tłumaczyć to, co stało się w marcu 2013 roku.

– Przez dwa miesiące żyliśmy razem w warunkach wojny. Jak w okopie. To zbliża. Ktoś z zewnątrz nie zrozumie tego – zamyślił się Adam. – Po Broad Peak pojawiły się głosy, że Tomek Kowalski był za słaby i nie powinien iść do szczytu. A ja zawsze odpowiadam: pracował ciężko całą wyprawę, dawał z siebie wszystko. Gdyby się nie nadawał, to nie brałby udziału w ataku szczytowym. Zasłużył sobie, dlatego tam był.

Nie chce im się pakować, składają część rzeczy, resztę zostawiają sobie na rano.

– Gdyby ktoś w tym roku miał zdobyć Nanga Parbat, to chciałbym, żeby był to Tomek Mackiewicz – mówi Adam.

Piję jeszcze kilka kubków herbaty, idę do namiotu. W nocy próbuję trafić do butelki i jeszcze się udaje.

ROZDZIAŁ XVI

wtorek, 19 stycznia 2016 roku

Ceremonia wstawania to walka między uciskami: w brzuchu i pośladkach. Klucie w brzuchu podpowiada, że wprawdzie da się pić tyle, co mówili Adam i Jacek, ale w takim razie trzeba się przyzwyczaić do szybkiego wstawania. Zaraz po tym, jak oczy się otworzą.

Otworzyły się, spojrzałem na zegarek, była ósma. Wypadałoby wstać i się wysikać, ale nie mam ochoty, bo na zewnątrz jeszcze przez trzy godziny nie będzie słońca. Żeby wyjść z namiotu, trzeba najpierw opuścić śpiwór. Przeżyć pierwszy szok, bo śpi się w samej bieliźnie, by puch lepiej grzał. Skarpetki, kalesony i jedna bądź dwie podkoszulki. Oczywiście wszystko specjalnie do takich warunków szyte, ale gdy tylko rozsunąć zamek w śpiworze, to robi się zimno i na to rady nie ma. Ostatnią ostoją ciepła stają się wtedy stopy, jeszcze podgrzewane przez wodę w butelce. Wieczorem była wrząca, rano co najwyżej letnia, ale to wystarcza. Człowiek więc uciskowi w brzuchu odpowiada uciskiem w pośladkach i wstrzymuje sikanie, ile się da. Pół biedy, jeśli jest w stanie jeszcze na moment usnąć. Inaczej po kilkunastu minutach nierównej walki trzeba dać za wygraną, zrozumieć, że tylko pogorszyło się swoją sytuację, i w sprinterskim tempie założyć puchowe spodnie, polar, kurtkę, a stopy wcisnąć do wysokich butów, na których sznurowanie nie ma już czasu. Potem pognąć dziesięć metrów w kierunku publicznej toalety, czyli nigdy niezamarzającego żółtego zagłębienia w śniegu codziennie zasilanego przez kilka osób. Na koniec pozostaje z wyczuciem sapersa rozbijającego tykającą bombę opuścić spodnie.

Cicho westchnąłem i dopiero po kilku sekundach szczęścia podniosłem głowę, by zobaczyć, że wczorajsze chmury znikły. Ani jeden obłoczek nie zasłaniał olbrzymiej ściany Nanga Parbat. Po lewej droga Kinshofera, z wyraźnymi skalnymi elementami. Po prawej Żebro Mummery'ego, a dookoła niego wielkie seraki. Nad wszystkim pierzynka pól śnieżnych, a jeszcze wyżej czarno-biały trapez, skalno-śnieżny przekładaniec, czyli kopuła szczytowa. Góra wygląda dokładnie tak, jak zawsze opowiada o niej Krzysztof Wielicki, dla którego ten szczyt był ostatnim z 14 ośmiotysięczników, brakującym elementem układanki o nazwie Korona Himalajów i Karakorum.

Wielicki mówi: – Nanga Parbat to jest taka góra, która na górze ma jeszcze jedną górę.

W nagranej mesie Adam i Jacek pakują ostatnie rzeczy. Porterzy i dziennikarze z TVN-u bazę opuścili wcześniej, bo plan był taki, by w jeden dzień dostać się do Chilas, czyli do cywilizacji, a na to potrzeba przynajmniej siedmiu-ośmiu godzin. Adam i Jacek mogli pospać chwilę dłużej, bo są szybsi.

– Idę się pożegnać z Alexem – mówi Adam i wychodzi z mesy.

W tym czasie Jacek, który od 15 lat uczy wspinania, robi krótki wykład na temat choroby wysokościowej i tego, że jeżeli głowa nie przestanie mnie boleć, to

powiniennem jak najszybciej zejść niżej. A potem, akurat gdy Adam wchodzi do namiotu, dodaje:

– Przygotowuję list do władz Rzeczypospolitej.

Krztuszę się herbatą.

– Uważam to za niesprawiedliwe, że wspinacze dostają tylko srebrną odznakę Za Zasługi Dla Sportu, a innym sportowcom wręcza się złote.

Patrzę na Adama. Ten się śmieje, macha ręką, jakby chciał zbagatelizować sprawę, ale jednak mówi po chwili:

– Wszedłem jako pierwszy w zimie na dwa ośmiotysięczniki. No, naprawdę już nie wiem, co więcej mógłbym zrobić.

Jacek się zbliża, jest bardzo poważny.

– Liczę, że media nas wesprą.

Prześwietla wzrokiem, gdyby nie to zimno, to pewnie zacząłbym się pocić. Przerzucam spojrzenie na Adama, w nim szukam ratunku, ale pomoc nie nadchodzi, bo Adam stoi odwrócony, pakuje plecak.

– No pewnie, Jacku, ale wiesz, że gazeta, dla której piszę, wiele nie wskóra, bo jest nowa władza i akurat nas bardzo nie lubi... – zaczynam niezdarnie ściemniać. To o władzy to akurat prawda, ale używam tej prawdy jako wymówki, zamiast powiedzieć wprost, tak jak czuję, że nagradzanie orderami to głupota, a tutaj, wśród wolnych ludzi gór, to głupota do kwadratu.

Z drugiej strony, myślę, nowy prezydent i rząd grają symbolami narodowymi, więc tacy lodowi wojownicy, śnieżni herosi wnoszący polską flagę na niezdobyte zimą szczyty...

– Warto spróbować, po powrocie będę działał – Jacek ucina, bierze plecak i wychodzi.

Żegnamy się.

– Jakby coś było nie tak, to pamiętaj, że każdy tutaj ci pomoże – mówi Adam, odwraca się i tak kończy swoją pierwszą, nieudaną zimową wyprawę. To była również pierwsza wyprawa na ośmiotysięcznik, którą zorganizował. Wcześniej wspinał się z wyprawami narodowymi. Wyjątkiem była Kanczendzonga, gdzie dołączył do Denisa Urubki, Alekxa Txikona i dwóch Rosjan. Ciekawe, co teraz ma w głowie. Zwątpił? Jeśli tak, to i tak się nie przyzna, to nie w jego stylu.

* * *

Wypijam kilka kubków ciepłej wody, sikam, a potem próbuję odpalić laptopa, ale nie działa. Zamarzł? Do mesy wchodzi Daniele.

– Spróbuj go trochę potrzymać pod koszulką, ewentualnie, jeśli nie masz czasu, to nad palnikiem, ale uważaj, żeby nie przesadzić – radzi Włoch. – Poszli?

Przestaje się uśmiechać.

– Dobrze wspinało mi się z Adamem. Po tym jego upadku jeszcze bolą mnie uda, bo szarpnięcie liny było niezłe. A nie wiesz, jak tam z innymi Polakami?

Po kilku minutach rozgrzewania laptop się włącza. Nardi pokazuje, w którym kierunku trzeba wycelować antenę BGAN-a, czyli plastikowej skrzynki, która jest telefonem i modemem internetowym w jednym.

– To wy nie wiecie, co z Tomkiem? – pytam zdziwiony.

– Tak jak Simone i Tamara, Tomek i Eli wspinają się drogą Messnerów. A jej stąd nie widać.

– Nie łączą się z bazą?

Mówiąc o drodze Messnerów, Włoch miał na myśli niedokończony projekt Reinholda i Huberta Messnerów oraz Haspentera Eisendle'a i Wolfganga Tomasetha, którzy w 2000 roku próbowali wejść na szczyt nową linią. Udało im się dotrzeć do wysokości 7500 metrów. Rok temu Mackiewicz i Revol poprawili ich wynik, dochodząc 300 metrów wyżej.

– Podobno mają radio, ale go nie używają. Taki styl. Ja nic do tego nie mam. Jeden SMS dziennie do rodziny i tyle. Chcą być tam sami. Jestem w stanie to zrozumieć, ale ja pozostaję w łączności z bazą. Gdyby coś się stało, to może akurat ktoś będzie mógł nam pomóc – mówi.

– To między tobą a Tomkiem i Elisabeth już dobrze? – pytam.

– Z Eli wszystko sobie wyjaśniliśmy – ucina Włoch.

Mówiąc „wszystko”, ma na myśli to, co wydarzyło się rok temu. Jak w poprzednich latach Nardi chciał się wspinać Żebrem Mummery'ego. I na początku zimy wydawało się, że będzie to robił z Revol i Mackiewiczem, bo byli na jednej liście, dzielili bazę. Tylko że Francuzka i Polak wybrali się 8 stycznia na drogę Messnerów.

– Przestraszyli się trudności, dlatego tam poszli – mówi Nardi.

Mackiewicz z kolei opowiadał, że ani przez moment nie miał zamiaru wspinać się Żebrem Mummery'ego. Nardi o tym, że został bez partnerów, dowiedział się podobno z internetu. Potem wydał komunikat, że wyklucza ich z wyprawy, bo bez jego wiedzy zmienili koncepcję i nie zabrali radia. Mackiewicz na to, że nikt im radia nie proponował, a kiedy wychodzili w górę, to Nardi wspinał się samotnie na Żebrze Mummery'ego.

Słowa przeciwko słowom.

Potem Nardi dołączył do wyprawy Alexa Tríkona. Co do Mackiewicza i Revol – niewiele brakowało, a ich próba skończyłaby się tragicznie. Byli na wysokości 6500 metrów. Elisabeth szła pierwsza. Jest leciutka, więc śnieżny most przeszła bez problemu, ale pod Tomkiem się zawalił. – Zrobiłem dwa kroki, śnieg zapadł się podę mną. Wpadłem w szczelinę – opowiadał Mackiewicz.

Leciał plecami w dół w ciemność. Bez kontroli. Patrzył w górę i widział, jak wycinek nieba zmniejsza się w kosmicznym tempie. Odbijał się od ścian.

– Nie wiem jakim cudem, ale ten lot skończył się po 50 metrach, a ja żyłem – mówił.

Elisabeth stała nad szczeliną i kilka minut krzyczała. Odpowiadała jej cisza. Wpatrywała się w tę ciemność, ale nie widziała dna. Tomek w końcu odpowiedział. Próbował się wspinać, ale nie było szans, by wyszedł stamtąd sam.

Elisabeth pognęła więc 200 metrów w dół, wzięła liny i wróciła po Tomka. Gdy wyszedł ze szczeliny, nie wyglądał najlepiej. Był poobijany, miał pęknięte żebra i podejrzenie, że przebił płuco. Potem zapowiedział, że pod Nangę już nie pojedzie.

Ale minęło kilka miesięcy i się złamał.

Po kilku minutach prób internet zadziałał. Na profilu Czapkinsa, bo taki Fanpage ma Tomek, wisiała informacja, że udało im się dotrzeć do obozu II na wysokości 6000 metrów. Czapkins, Czapa, doktor Czapkins, ksywek ma kilka. Geneza do przewidzenia –

zawsze lubił nosić coś na głowie.

– To popaprane, że siedząc w bazie pod Nanga Parbat, o postępach wypraw dowiadujemy się z Facebooka – głośno myślę.

– Nie tylko to jest tutaj popaprane – Nardi spuszcza głowę. – Daję sobie czas do połowy lutego, potem wyjeżdżam. Chodźmy się ogrzać, słońce w końcu wyszło.

* * *

Trzeba ściągnąć kurtkę i czapkę i poszukać okularów. Nie mam termometru, ale czuję, jakby temperatura była plusowa. Czyli o jakieś dwadzieścia parę stopni wyższa niż w nocy. Na namiotach schną zaszczone po nocy śpiwory. A wkoło krzątają się ludzie. Kiedy jest ciemno, wydaje się, że w bazie nikogo nie ma. Słońce sprawia, że namioty pustoszeją. Pakistańczycy grzebią przy wiecznie psującym się generatorze, który w nocy jak zwykle zamarzł. Pałają też śmieci. Włoch idzie do mesy, a ja w kierunku Alexa Txikona, który wychodzi z namiotu i rozsuwa zamek w kurtce. Wielkie chłopisko z gęstą brodą. Poznaliśmy się rok wcześniej podczas Festiwalu Górskiego w Łądku-Zdroju, ale Alex tego nie pamięta. Ma prawo, bo wieczór był suto zakrapiany. Ja z kolei nie pamiętam, o czym mówiliśmy, ale wiem, że tańczył i sprawiał wrażenie człowieka bardzo szczęśliwego.

– Adam i Jacek już poszli? – pyta Alex.

Dziwne pytanie, bo przecież rano Adam mówił, że idzie się z nim pożegnać.

– Poszli.

– Słuchaj, to bez sensu, żebyś sam siedział w pustej mesie. Przychodź do nas – uśmiecha się, po czym bierze mnie pod ramię i odprowadza kawałek dalej od namiotu, do którego wszedł właśnie Daniele. – Powinniśmy też razem jeść posiłki. Spróbuję to załatwić z naszymi kucharzami. Twoje zadanie to spytać o to Daniele. Nie chcę, żeby to wyszło ode mnie. Podpytaj go, na pewno się zgodzi – dodaje Bask.

Nie muszę pytać, bo po chwili Włoch wychodzi z mesy, stawia dwa plastikowe krzesła i zaprasza na najprzyjemniejszą część dnia: posiadówę w słońcu.

– Wpadnij dziś do nas na obiad, bez sensu, żebyś jadał posiłki samotnie – zaczyna.

Cieszę się, dziękuję, ale też pytam, czy Alex się zgodzi. Gra pozorów trwa w najlepsze.

– Pogadam z nim. Nasi kucharze przecież mogą połączyć siły. Wyjdzie taniej, a ty spędzisz miło czas. A teraz spójrz, widzisz te seraki po prawej stronie? To Żebro Mummery'ego. Jestem pod Nangą czwarty raz w zimie, ale po raz pierwszy nie będę się tamtędy wspinał – rysuję ręką linię po zboczu.

Najlepiej poszło mu w styczniu 2013 roku, podczas pierwszej próby, kiedy wspinał się z Revol. Do bazy dotarli wtedy 7 stycznia, potem przeszli aklimatyzację na sąsiadującym z Nangą Ganalo Peak (6608 m n.p.m.) i w stylu alpejskim weszli w ścianę. Po trzech tygodniach od pojawienia się pod górą dotarli do wysokości 6400 metrów. Tak wysoko nie był nawet Albert Mummery. Brytyjczyk w 1895 roku dotarł 300 metrów niżej. Z Nangi nie wrócił, bo wraz z dwójką towarzyszy zginął podczas rekonesansu w dolinie Rakhiot. Wracając do Nardiego i Revol, to niewiele brakowało, a dotarliby do plateau, wielkich pól śnieżnych znajdujących się pod kopułą szczytową, gdzie znikają techniczne trudności. Stamtąd do szczytu droga jest już prosta, a bardziej

niż umiejętności potrzeba wytrzymałości i dobrej pogody.

– No więc Mummery ma część swojej drogi na Nandze, ale i ja ją mam.

– Jak to?

– Ten fragment nad Żebrem Mummery’ego, który przeszedłem jako pierwszy, nazwałem Żebrem Nardiego – Włoch uśmiecha się od ucha do ucha, kilka razy powtarzając: Żebro Mummery’ego, Żebro Nardiego.

W obu przypadkach to tylko fragment drogi, niedokończony. Ale oprócz niego nie ma chętnych, by się tamtędy wspinać. Trzeba przyznać, że w porównaniu z prostą jak napięta lina (do wysokości 7000 metrów) drogą Kinshofera Żebro Mummery’ego wygląda z bazy jak lodowy labirynt wielkich nawisów.

– No proszę cię, to tylko pozory, stąd niewiele widać. Widzisz ten ogromny serak?

Wskazuje palcem na lodową bryłę, która stąd wygląda jak kilkupiętrowy blok, ale to tylko złudzenie. Tak naprawdę jest o wiele większa. O tym zaburzonym widzeniu, pomieszanej perspektywie, przekonam się później, gdy przez lornetkę zobaczę Alexa i Alego wspinających się na drodze Kinshofera. Okazuje się, że kamienie, które stąd wyglądają jak ziarna piasku na śnieżnobiałym surducie, tak naprawdę są wielkości domów.

– Ten serak był tam, kiedy przyjechałem tutaj pierwszy raz. Nie spadł.

Droga ma opinię niebezpiecznej również dlatego, że w lecie kuluarem lecą kamienne lawiny.

– Nie widać tego z bazy, ale nad obozem II teren staje się płaski i wszystkie seraki, które walą się z góry, zatrzymują się w takiej niecce. Kiedy wspinałem się z Eli, to dwa razy leciała na nas wielka lawina, ale dotarł tylko puch – mówi.

A potem dodaje, że wcześniej, tzn. przez trzy poprzednie zimowe wyprawy, jego celem nie było wejście na szczyt Nanga Parbat. Nieprzygotowany na takie wyzwanie prawie spadam z krzesła.

– Zawsze chciałem zrobić coś całkowicie nowatorskiego. Poprowadzić nową drogę w stylu alpejskim na niezdobytą w zimie ośmiotysięcznik – mówi Nardi.

Natchnęli go do tego Polacy – Maciej Berbeka i Maciej Pawlikowski, którzy w 1985 roku weszli jako pierwsi w zimie na Czo Oju i przy okazji wytyczyli nową drogę na wierzchołek. Wspinali się, jak większość himalajskich wypraw, w stylu oblężniczym. Ekspedycja trwała długo, a kolejne zespoły zakładały obozy coraz wyżej. Wejście na szczyt było więc wtedy wypadkową umiejętności oraz znalezienia się w odpowiednim miejscu i czasie, bo w kolejce do ostatecznego ataku czekało zawsze kilka osób. Sporo się zmieniło – nie tylko sprzęt, przygotowanie fizyczne, ranga sponsorów. Zmieniło się też podejście, bo na wyprawy jeżdżą mniejsze zespoły, w których rzadko można znaleźć wspinaczy gotowych założyć ostatni obóz i grzecznie zejść w dół, by usunąć się z drogi wypoczętym kolegom. Podział na robiących śmietankę i ją spijających zniknął.

– Nigdy nie chodziło mi tylko o to, żeby zaporęczować drogę i wejść na wierzchołek. Klasyczne drogi na ośmiotysięczniki w zimie to w większości nic więcej niż marsz po stromym zboczu. Potrzebujesz tylko dobrych partnerów, dobrej pogody i szczyt jest w zasięgu. Rok temu byliśmy naprawdę blisko, zawróciliśmy z wysokości 7830 metrów, a ja, jadąc na Nangę, przecież nawet nie wiedziałem, że będę się wspinał drogą Kinshofera. A teraz może nam się udać – mówi Nardi.

– Kto w zimie próbował wejść na niezdojty ośmiotysięcznik nową drogą w stylu alpejskim? Nikt! To był mój sen – podwyższa przemowę o kilkanaście decybeli.

– To dlaczego zmieniłeś koncepcję? – pytam.

Wstaje, odchodzi kawałek, kiwa ręką. Idziemy do mojej mesy.

– Zmiana planu jest trudna do zaakceptowania – zaczyna. – Prawie zawsze byłem liderem, a teraz muszę się pogodzić z tym, że szefem jest Alex. Muszę iść za nim. Wspieranie kogoś w górach nie jest łatwe, ale w tym roku taka właśnie moja rola.

Wspinacz to artysta – mówi. Mozolna praca polegająca na zabezpieczeniu góry kilometrami lin poręczowych mu nie służy, bo artyści w rzemieślniczych powtórkach się nie spełniają. Góra jest miejscem kreacji – kontynuuje. Płótnem, na którym wspinacz jak malarz może szukać swoich linii, próbować indywidualnych kresek. Może namalować obraz, czyli zdobyć szczyt po swojemu. – A w tym pomagać ma styl alpejski, dzięki któremu jestem szybki. To jest wojna! Trzeba ją wygrać! – krzyczy i wali ręką w stół, aż podskakują skarby porzucone przez Adama i Jacka: słoiczki z pesto i dżemem z mango, tubki pasty kawiorowej i foremka z pasztetem.

– Jaka znów wojna? – mówię najspokojniej, jak potrafię, przekładając smakołyki na inny stolik, nieobjęty działaniami zbrojnymi.

Uśmiecha się, oczy jeszcze bardziej mu się zapalają i zaczyna tłumaczyć, dlaczego styl alpejski jest taki ważny.

– To proste. Dzięki niemu jestem bardzo szybki, a więc mogę dotrzeć w miejsca, w które inaczej bym się nie dostał. To istotne zwłaszcza w zimie przy trudnych warunkach i niepewnej pogodzie. Używam stylu alpejskiego tam, gdzie klasyczny nie ma racji bytu.

Mówi, że jeśli przestudiować topografię Żebra Mummery’ego, to okazuje się, że od postawy ściany do pól śnieżnych leżących pod szczytem jest tylko 1200 metrów.

– 1200! To najkrótsza droga na Nanga Parbat. Za pierwszym razem wspinałem się z Elisabeth w czystym stylu alpejskim. Zaczęliśmy, nie mając przy sobie praktycznie niczego. Byleby tylko iść szybko. Podczas drugiej próby założyłem jeden obóz. Co może być piękniejszego? – pyta i już naprawdę widać po nim, że liczy na zrozumienie.

I zrozumienie przychodzi. Włoch jest z siebie bardzo dumny. Zdobył kilka ośmiotysięczników, prowadził nowe drogi na niższych górach, ale ta próba na Żebrze Mummery’ego była jego oczkiem w głowie. I nieważne, że do szczytu w najlepszej próbie zostało ponad półtora kilometra w pionie.

– Ja rozumiem, wojna, ale przegrałeś ją.

– To, co próbowałem zrobić, leżało poza granicami dotychczasowego alpinizmu, więc jak możesz się domyślić, nie było łatwe – odmrukuje.

– Dlaczego zrezygnowałeś?

– Rok temu Alex i Ali poprosili mnie, żebym się z nimi wspinał, bo zostali we dwójkę po wycofaniu się z góry Irańczyków, ich partnerów. Był jeszcze z nimi inny porter, Muhammad Khan. No więc musieli zaporęczować 2600 metrów góry, a to duży wysiłek – wzdycha, a w powolnym wypuszczaniu powietrza nosem jest cały ból nowatorskiej myśli spętanej prozą życia. – Pomogłem. I prawie nam się udało wejść na ten szczyt. Otworzyliśmy nowy projekt, który by się powiódł, gdybyśmy nie popełnili małego błędu.

Mówi o pomyleniu drogi w kopule szczytowej. Przez kilkadziesiąt metrów wspinali się wtedy kuluarem, którym nie byli w stanie wejść na wierzchołek. Stracili czas i siły. Zdecydowali, że wracają. Potem wiele razy powtarzali, że zrezygnowali w trosce o Alego.

– Byliśmy na granicy naszych możliwości. Nie wiem, czy to, co stało się z Alim, to była pierwsza faza obrzęku mózgu, ale gdy zeszliśmy niżej, objawy znikły, więc to możliwe. Coś było z nim nie tak, bo pomylił drogę na szczyt, na którym był dwa razy. Ja też byłem na wierzchołku Nangi i źle poszedłem.

Dlaczego trzech doświadczonych ludzi, z których dwóch pokonało tę drogę w lecie, się myli?

– Po prostu byliśmy bardzo zmęczeni. Taki błąd zostaje w głowie, ale jeszcze bardziej pamięta się o tym, że decyzja ocaliła nam życie. Jestem tego pewien – mówi Nardi.

Jak bardzo niekomfortowo musi się czuć w tym roku, wciskając korek w wylewającą się z niego potrzebę górskiej kreacji?

– A nie próbowałeś przekonać Alexa i Alego do Żebra Mummery’ego?

– Nie musiałem, bo sami to zaproponowali. Ali pytał o tę drogę jeszcze w Chilas, a gdy do bazy zostało nam 100 metrów, to powiedział, że spróbujemy. Polacy działali na Kinshoferze, więc lepiej dla nas byłoby spróbować innej drogi. Poszliśmy do obozu I, zobaczyliśmy warunki. Alex i Ali stwierdzili, że jest zbyt niebezpiecznie.

– Było?

– Według mnie nie, ale jestem w stanie ich zrozumieć. W tamtym roku, po nieporozumieniach z Tomkiem i Elisabeth, uświadomiłem sobie, że jeśli chcesz spróbować czegoś nowego, pójść w nieznaną, to musisz być maksymalnie skupiony i przekonany. Tomek i Elisabeth mówili rok temu, że nie pójdą, bo droga jest zbyt trudna. Poszedłem więc sam, zobaczyłem, że nie była, ale nie w tym rzecz. Jeśli twój mózg nie jest w stanie wytrzymać presji, lepiej zostań w bazie.

Przypomina mi się historia, która przytrafiła się Jerzemu Kukuczce i Wojciechowi Kurtyce. Kurtyka starał się namówić Kukuczkę do zaatakowania niezdobytej, 2500-metrowej zachodniej ściany Gaszerbrum IV. Trwało to jakiś czas, Kukuczka odmawiał, ale w końcu się zgodził. W 1984 roku dotarli pod słynną „światlistą” ścianę i Kurtyka się rozmyślił. Miał złe przeczucie, pewnie to samo, które sprawiało, że nigdy w trakcie swoich wspinaczek nie złamał sobie palca, chociaż robił w górach jedne z najbardziej niebezpiecznych rzeczy w historii. Wtedy Kukuczka próbował go jeszcze przekonać, ale wszystko na nic. Rok później Kurtyka wrócił pod ścianę i pokonał ją z Robertem Schauerem.

– Zachowanie Kurtyki jest dokładnie tym, co czuje się na początku nowej drogi. Jeśli coś powtarzasz, to wiesz, co cię czeka. Wiesz, że musisz iść do obozu I, rozłożyć tam namiot, wiesz, gdzie przywiążesz linę poręczową. Ale kiedy wytyczasz nową drogę, to musisz się wykazać się kreatywnością. Nie wiesz, czy będziesz miał miejsce na namiot, czy trudności technicznie cię nie przerosną i nie znajdziesz się w miejscu, z którego nie można zawrócić. Nie wiesz, co zabrać ze sobą do plecaka i czy to, co zabierzesz, wystarczy ci do przeżycia. Musisz przygotować ciało na cierpienie, ale jednocześnie twój umysł musi być czysty. Naprawdę czysty, by pomieścić to cierpienie, presję i strach.

– Dużo myślisz o cierpieniu?

– Boję się cierpieć – śmieje się. – Jeśli będę rozmyślał o tym za dużo, to nie wyjdę z namiotu. Myślę więc inaczej: wyjdę, dam z siebie wszystko, spróbuję przekroczyć moje granice i stawić czoła cierpieniu. No i tego cierpienia nie może być za dużo, muszę mieć jakąś frajdę ze wspinaczki. Inaczej się na to nie piszę – mówi.

Pytam, czy rok temu przekroczył swoje granice.

– Byłem na krawędzi. Trochę się bałem, bo wiedziałem, że zaraz mogę z niej spaść. Ale to nie była najtrudniejsza sytuacja w moim życiu.

Gorzej było, gdy samotnie wspinał się Żebrem Mummery’ego. Z wielkim plecakiem dotarł do miejsca nachylonego pod kątem 65–70 stopni. Wspinał się bardzo szybko i nagle z nogi spadł mu rak. Potem drugi, a z ręki wyleciał jeden z czekanów. Drugi uratował mu życie, bo bez raków każdy ruch mógł spowodować zjazd w dół.

– Jakoś udało mi się wkręcić śrubę lodową, założyć asekurację. Obóz był blisko. Doczłapałem się. To wszystko była moja wina. Nie byłem zaaklimatyzowany, szedłem za szybko, na plecach miałem 20 kilogramów. Nigdzie mi się nie spieszyło, a jednak gnałem, bo czułem się zbyt pewnie. Kiedy jesteś sam, to decydujesz o wszystkim. To źle i dobrze.

– Kumpla zawsze można się poradzić – mówię.

– Albo zdać na jego osąd i zginąć. Lubię być sam, bo robię wtedy to, na co mam ochotę, i sprawdzam, jak mocny jestem psychicznie. Czyszczę umysł. Wiem, że muszę być pewien, że dam radę, bo jeśli nie jestem, to prawdopodobnie zginę.

– Jak czyścisz umysł?

– Słucham mów motywacyjnych. Mam też swoje zasady. Po pierwsze, muszę wiedzieć, z kim się wspina. Gdybym np. wspinał się z tobą, to najpierw dowiedziałbym się, o czym marzysz, co lubisz jeść, jakie masz przyzwyczajenia. Muszą być więc między nami jakieś uczucia, bo znamy swoje osobiste sprawy, swoje zalety i przywary. Druga kwestia, niesłuchanie istotna: komunikacja. Jeśli jestem na ciebie zły, to mogę być taki przez 24 godziny, ale później przyjdę i porozmawiamy. Jeśli ludzie nie rozmawiają, to rodzi się problem. W górach nie da się nie rozmawiać.

– Ale taki Jacek Czech, tworzyliście przez krótką chwilę zespół, a on nie mówi właściwie po angielsku.

– Jacek jest niesamowity. Potrafi się komunikować bez słów, chyba urodził się z jakimś darem, który inni muszą wypracowywać – zamyślił się Włoch. – Moje motto to: uczucia, rzeczywistość i komunikacja. Jeśli nie ma między nami uczuć i nie wiemy, co jest prawdą, to komunikacja nie będzie możliwa.

– Dobrze się rozumiecie z Alexem i Alim?

W bazie jestem krótko, ale starczy, żeby zauważyć, że Alex i Daniele wiele ze sobą nie rozmawiają. Raczej przemykają obok siebie, trwają, nie patrząc sobie w oczy. W kolejnych dniach utwierdzę się w tym wrażeniu. Dzień dobry, widziałeś moją czołówkę, podaj mi, proszę, tackę z ryżem, dobranoc. Godzinami siedzą razem w mesie, wpatrują się w ekrany komputerów, podczas gdy Ali dłubie wykałaczkami w zębach i zagaduje Pakistańczyków. Szuka kontaktu, oni go unikają.

– Jesteśmy profesjonalistami, musimy sobie radzić.

Króciutko i naokoło, ale wystarczająco, żeby zrozumiał. W końcu tam, gdzie pojawia się profesjonalizm, o uczuciach do siebie mowy nie ma. A do góry?

– Nie mogę powiedzieć, że góra to tylko kupa kamieni, ale nie jestem też fanem

myślenia, że znajdujemy tam mistykę.

Już miałem ziewnąć na tę odpowiedź, gdy Daniele powiedział coś bardzo ciekawego.

– Góra nigdy nie dała mi mistycznego przeżycia, to tylko kamienie i lód. To ja wkładam w nią duszę. Możemy mówić o żyjących na Nanga Parbat wrózkach, to zabawne, gdyby rzeczywiście tam były. Tomek podobno w nie wierzy. Ale nawet jeśli, to są bytami osobnymi, a nie górą. To my wkładamy w skałę swoje historie, duszę, energię. Góra nie ma swojego boga siedzącego na szczycie. Chociaż możliwe, że jakiś bóg jest tam w tej chwili. Dla mnie istnieje związek między przyczyną a efektem. Chcę być przyczyną.

– Daniele, w co ty wierzysz? Adam jest ateistą, Jacek katolikiem. A ty?

– Wierzę w innego boga, ale to moja prywatna sprawa, nie chcę o tym rozmawiać.

Zrobiło mi się niezręcznie, ale Daniele nie stracił wątku i chęci do rozmowy. Mówi, że modlitwa może się przydać każdemu i dzięki niej można coś ważnego w sobie odnaleźć.

– Jeśli dziesięć przykazań wskazuje ci drogę i przestrzegając ich, osiągasz szczęście, to dobrze. Tak samo, gdy niejedzenie wieprzowiny daje ci jakąś siłę. Buddyści szukają jej w medytacji. Wszyscy chcemy się dowiedzieć, kim jesteśmy.

– Ty już wiesz? – pytam.

– Jesteśmy małymi bogami. Nie potrafię myśleć o sobie tylko przez pryzmat fizyczności. Jestem czymś więcej. Staram się kontrolować i rozwijać swoje ciało, by wycisnąć z niego, ile się da. Teraz robię to przez alpinizm, ale jestem w stanie wyobrazić sobie, że jakaś inna praca może dać mi taki sam efekt. Wierzę, że życie jest partią jakiejś gry i jesteśmy tutaj, żeby ją rozegrać.

– Ale nie znamy zasad.

– Cały czas ich szukamy. Mogę ci za to powiedzieć, że jeśli nie jesteś sportowcem, to nie wejdiesz w zimie na Nanga Parbat. Tomek miał dużo szczęścia, że dotarł kilka razy tak wysoko.

Później słyszę to jeszcze kilka razy. Niby wszyscy mówią o Tomku dobrze, jest dla nich ciekawym, pozytywnym zjawiskiem, ale podkreślają też, że sami są sportowcami, a Tomek, paląc, nie trenując, marnuje swój potencjał.

– Tomek często mówi, że Nanga dla niego jest drogą, a nie celem. Takim katalizatorem zmian – próbuję bronić Mackiewiczza.

– Ona nie jest przyczyną zmian, tylko kupą kamieni – mówi Daniele, już drugi raz, tym razem wyraźnie przecząc spokojnej opinii, którą wygłosił na początku. – Ja jestem przyczyną zmian. Stoję pod górą świadom swoich ograniczeń i coś się we mnie zmienia.

– Co?

Ma 40 lat, wspina się od 22. Nie zarabia zbyt wiele, ciągle nie ma go w domu. Traci chwile. Niby nie żałuje, ale zaczyna się zastanawiać, czy czegoś nie zmienić.

– Może zostawić góry, wreszcie skończyć studia i spróbować wyrazić siebie przez coś więcej niż tylko alpinizm? Na pewno to mój ostatni rok na Nanga Parbat. Daję sobie czas do 10 lutego i wyjeżdżam. Mam tylko nadzieję, że ludzie zapamiętają to, co chciałem tutaj zrobić. Ktoś kiedyś spróbuje otworzyć nową drogę w stylu alpejskim na ośmiotysięczniku w zimie i wtedy sobie pomyśli: „Daniele Nardi czegoś takiego

próbował. Może i ja mogę?”.

* * *

Gdy wychodzimy na kolację, nadchodzi bezchmurna noc, jest już ciemno, ale widać dużo. Na przykład dwa zbliżające się światełka. Schodzą na płaski teren kilkadziesiąt metrów od bazy. Jedno światełko świeci wyżej. To Tamara Lunger. Przed nią idzie Simone Moro, niższy o dobrych kilkanaście centymetrów. Podbiegamy do nich. Są leciutko ubrani, mają tylko niewielkie plecaki. Stają na sekundę, witają się i idą do swojego wielkiego namiotu. Chwilę oczekujemy i idziemy ich odwiedzić.

To nieładnie się gapić, zwłaszcza od samego progu, ale nic nie poradzę. Po prawej stronie stoi stół, a na nim latarki, komputer, fura elektroniki. Niżej leży pokrowiec na laptopa, a na pierwszym planie obrazka na pokrowcu właściciel namiotu z rodziną. Na wprost dwa wielkie materace, Simone i Tamara właśnie na nich siadają. Daniele przykuca obok nich, a ja w lewym kąciaku. Simone włącza satelitę. Myślę: będzie nadawał. Satelita okazuje się piecykiem. Robi się ciepło.

– Zimno tam. Odmroziłem sobie palec. Sama zobacz – mówi i przykłada mały palec do policzka Tamary. Potem chwilę go ogląda, sprawdza wargami temperaturę, próbuje ogrzać. A potem wyciąga coś z buta. To wkładka, ale nie taka normalna, bo coś przy niej majstruje. Z kurtki wyjmuje iPhone’a.

– Wyczerpała się.

– Sterujesz wkładką do buta przez telefon? – pytam.

– No, tutaj widać, która część wkładki jest jeszcze naładowana. W telefonie mogę ustawić sobie temperaturę, z jaką grzeje. To nowość, dopiero testuję.

– A jak się ładuje?

– Bezprzewodowo. Ale tam jest zimno dzisiaj! – Włoch prawie wrzeszczy. – I jak wieje! – opowiada z entuzjazmem dziecka, jakby to była jego pierwsza przygoda w życiu, a nie 15. zimowa wyprawa na ośmiotysięcznik.

Z Tamarą wzięli w górę trochę sera, kiełbasy i herbatniki. Miało wystarczyć na kilkudniową aklimatyzację. Poza tym mieli jeszcze depozyt z jedzeniem.

– Byliśmy od niego o kilkadziesiąt metrów, ale nie było szans się tam dostać. Tak wiało! Odmrozilibyśmy się. Przez ostatnie dwa dni ja nic nie jadłem, a Tamara tylko trochę herbatników. Może z 200 kalorii się tego uzbierało.

– Wracaliśmy bardzo szybko. Kilka razy prawie wpadliśmy do szczeliny, ale zanim śnieg pod nami zawalił się na dobre, byliśmy już po drugiej stronie – śmieje się Tamara.

Wcześniej, przed odwrotem, dotarli do wysokości 5800 metrów. Tam spotkali Mackiewicza i Revol.

– Poruszają się bardzo wolno, ale nie to jest najgorsze. Rozłożyli namioty w bardzo niebezpiecznym miejscu. Jeśli przejdzie lawina, to ich porwie – mówi Włoch. – My rozbiliśmy się zaledwie kilkadziesiąt metrów od nich, ale pod skałą. Lawiny mogły schodzić po obu stronach, a my byliśmy bezpieczni. Poszedłem do Tomka i mówię mu: chodźcie do nas. A on na to z uśmiechem, że są trochę szaleni, ale bez obawy, lawina ich nie porwie, bo obciążą namiot.

– Czym?

– Własnymi ciałami.

Daniele się śmieje, Tamara kręci głową.

– Simone dał im trackery – zaczyna Włoszka.

– Kilkanaście kolorowych chorągiewek, żeby zaznaczyli sobie drogę i mieli jak wrócić, kiedy śnieg zasypie ślady. I szczeliny – mówi Włoch. – I wiecie, co oni z nimi zrobili? Tomek powtykał je dookoła namiotu. Zrobił sobie coś jakby ogrodzenie.

Śmiejemy się wszyscy, wyobrażając sobie ten zimowy ogródek półtora kilometra nad nami. Moro przestaje pierwszy.

– Za trzy dni zmienia się pogoda – mówi.

Od wielu lat dostaje prognozy z Austrii od Karla Gabla. Ufa mu bezgranicznie, odkąd jego przewidywania sprawdzały się podczas zimowych wejść na Makalu i Gaszerbrum II. Karl pisze, że jutro na górze może wiać 60 km/godz. W czwartek pogoda ma być dobra, ale w piątek znów nadchodzi wietrzyko.

– Nawet 80 km/godz. A jak coś się tam stanie na górze? Nie wiem, jak miałyby wyglądać akcja ratunkowa, skoro nie ma z nimi łączności. Po co ja dawałem im te baterie do radia, skoro go nie używają?

O Tomku i Eli opowiada jak o dwójce urwisów, które coś nabroiły i trzeba im pomóc. Przechodzi na włoski i coś tłumaczy Nardiemu. Żywy ogień, słowa wylewają się z niego, prawie podskakuje na materacu, macha rękami, kopie.

– Kiedy wychodzicie w górę? – pytam.

– Czeka nas długa przerwa. W następny wtorek nadchodzi jet stream. Może będzie już tutaj w poniedziałek. Ma wiać nawet 200 km/godz. przez dwa tygodnie – mówi Simone.

Pora coś zjeść. Zostawiamy Simone i Tamarę i idziemy do mesy Alexa, Daniele i Alego.

– A ja mam inne prognozy – mówi Daniele. – W czwartek ruszamy w górę.

– To już ustalone?

– Wstępnie.

* * *

Zastajemy Alego z wykałaczką w zębach, a Alexa leżącego przed komputerem.

– On tak ciągle. Nie może wysiedzieć, żeby czegoś nie robić – wita nas Igone.

– Muszę wysłać filmy i zdjęcia, moi znajomi są ciekawi, jak wszystko tu wygląda. Ale przerwa, czas na kolację – Alex uśmiecha się niewyraźnie.

Na stole łąduje chicken masala, ryż, czapati. Na deser budyń. Kolację je z nami Atta Ullah, młodszy brat Mir Ghaniego, który opiekuje się ekspedycją Alexa. Policjanci i kucharz siedzą w kuchennej części mesy. Mir Ghani zszedł w dół z kilkoma porterami. Zabrali puste butle i kilka innych rzeczy – powoli likwidują wyprawę Adama i Jacka. Ma wrócić za kilka dni.

Opowiadamy z Daniele o wieściach od Simone.

– Wygląda więc na to, że trzeba zdążyć przed jet streamem – mówi Alex, a Ali potakuje. – Najgorsze za nami, zaporęczowaliśmy najtrudniejszy technicznie odcinek, rozwiesimy jeszcze 200 metrów lin i droga na szczyt otwarta – dodaje Bask.

Te 200 metrów wystarczy, by dotrzeć do miejsca, gdzie stanie obóz III. Wyżej nie

mają już zamiaru poręczyć. – Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to około 24 stycznia możemy być na wierzchołku – kontynuuje Alex.

Daniele już nie uczestniczy w tej rozmowie. Patrzy w komputer. Ali wbija wzrok w wielki termos, ale myślami jest gdzieś daleko.

Alex liczy na palcach.

– 24 stycznia... Nie wiem tylko, czy mamy wystarczającą aklimatyzację.

Po kolacji odpalamy internet. Bartoszowi Styrcie z RMF FM udało się dodzwonić do Tomka.

– I co on tam mówi? – pytają. W miesie zrobiło się cicho, nawet Daniele przestał stukać w klawiaturę.

– Że wieje, nawet 100 km/godz. Jutro chcą dojść do obozu III na 6800. A potem spróbować 40-godzinnego ataku szczytowego.

Alex wymienia spojrzenia z Daniele i Alim.

– Nikt czegoś takiego w zimnie nie przeżyje – mówi w końcu Bask.

ROZDZIAŁ XVII

środa, 20 stycznia 2016 roku

* * *

Od rana awantura, krzyki, dąsy, jeszcze nie wiadomo, o co chodzi, ale śniadanie jakby większe. Do placków czapati i dżemu z mango kucharz dorzucił omlecek, mleko z proszku i dwa rodzaje płatków. Nic nie mówił, nie uśmiechał się, ale po 10 minutach nie wytrzymał i się wygadał. Przyszedł, usiadł, pokręcił głową, złapał za kolano i wydusił.

– Nie jedz u nich. Tutaj jest twoja baza, jedz u nas, u siebie.
– Ale przecież Alex i Daniele mówili, że się dogadacie?
– Oni mają swoją wyprawę, a ty masz swoją. Jedz u nas.
– A moglibyście w takim razie jeść ze mną, a nie w osobnym namiocie? Nie lubię jeść sam.

– Nie możemy.

– Proszę?

– Dobrze.

Nigdy nie przyszli, po dwóch dniach zacząłem chodzić do nich. Widocznie tak tu jest, że z klientami mogą jeść tylko przewodnicy – w przypadku wyprawy Alexa robił to Atta Ullah, u mnie jego starszy brat Mir Ghani. Chociaż pod koniec mojego pobytu w mesie Alexa posiłki spożywał też kucharz. Agencje nie dogadały się, na nic nasze przekonywania, że nam tak będzie lepiej, a i oni zaoszczędzą.

W mesie Alexa też już po śniadaniu. Wszyscy najedzeni, siedzą więc stabilniej, można zadać ważne pytanie.

– To jak to było z tym wypadkiem Adama?

– A co ci powiedział? – pyta Alex.

– Że lina poręczowa, którą dostał od was, nie wytrzymała. Obciążył stanowisko, odchylił się i pękła.

Patrzą po sobie.

– Mógłbyś sprawdzić, czy inne media o tym piszą?

Włączamy laptopa. Nikt nie pisał.

– Zastanawiam się, czy nie powinniśmy przygotować jakiejś linii obrony – zaczyna Alex.

– Przegramy – mówi Daniele.

– Wcale tak nie uważam – odpowiada spokojnie Bask. – Mówiłeś, że Adam w pierwszym momencie po upadku powiedział, że popełnił błąd.

– Nie pamiętam tego dokładnie. Zawsze może powiedzieć, że ta lina poręczowa, którą dostał od nas, to nie była lina wspinaczkowa, tylko przemysłowa. I będzie miał rację, bo tak było – mówi Nardi.

– Po pierwsze, to powiedziałem mu, żeby wziął inną linę. Nie posłuchał, czyli zlekceważył polecenie kierownika wyprawy, do której dołączył. Po drugie, nie chce mi się wierzyć, że lina poręczowa pękła, kiedy odchylił się na stanowisku, to było jakieś pół metra. Nawet cieńsza by wytrzymała – rozumuje Alex.

– To, że lina poręczowa jest dobra, udowadnia jeden fakt: nie przestaliśmy nią poręczować – włącza się Ali.

– Już samo ustalanie zasad współpracy było dziwne – mówi Igone. – Adam przyszedł, powiedział, że chce się wspinać z Alexem. Więc Alex się zgodził, ale pod warunkiem, że Polacy dorzucą się do kosztów cargo – w końcu przywiezienie tutaj kilku kilometrów lin, całego zaopatrzenia, kosztowało trochę. To normalne, nie? Wspinały się razem, więc zrzucały się na koszty wyprawy. I to bardzo zdziwiło Adama.

Zdziwiło czy nie zdziwiło? Poręczowali dalej tą niepewną liną czy nie? Czy Adam odchylił się i lina pękła, czy popełnił błąd przy zakładaniu stanowiska? Pamięta moment wypadku czy nie? Daniele też go nie pamięta? Słowa przeciwko słowom. Jeśli nie da się ich potwierdzić stąd, z serca wydarzeń, zanim wersje, prawdziwe czy nie, zastygną, zamienią się w lodowy beton jak śnieg w lawinisku, jeśli nie da się odnaleźć prawdy w epicentrum, to czym są wszystkie historie wielkich wspinaczek, o których czytamy od lat, które znamy na pamięć i recytujemy?

* * *

Tamara nie ma jeszcze 30 lat. Simone chwali się tą wysoką, wysportowaną dziewczyną, kiedy tylko może. Włoszka jest najbardziej uśmiechniętą osobą pod Nanga Parbat. Moro znał jej ojca Hansjörga, świetnego narciarza, ale Tamarę polecił mu własna żona – Barbara, nauczycielka wychowania fizycznego. Wiele lat temu powiedziała mężowi, że pośród swoich wychowanek ma jedną, szczególną, która fizycznie i psychicznie rozwinęła się szybciej niż reszta. Tamara potwierdzała tę opinię w kolejnych latach. Została mistrzynią świata w skialpinizmie do lat 23 i dwukrotną mistrzynią Włoch seniorek. Moro na pierwszą ekspedycję zaprosił ją w 2009 roku. I tak ich losy się przeplatały, ale kto by pomyślał, że pojedą kiedyś na zimową wyprawę w Himalaje?

Tamara siedzi na beczie i z uśmiechem łapie słońce, którego z każdym dniem w bazie Diamir przybywa. Teraz to już ponad cztery godziny. Włoszka mówi, że ciągle uczy się czegoś od Simone, że przesiadywanie długimi dniami w bazie się jej nie nudzi, bo cały czas rozmawiają.

– Jest dla mnie jak brat, najlepszy przyjaciel, któremu mogę się wygadać.

– Jak ojciec? – pytam.

– Tak, czasami jest jak ojciec.

– A kiedy nie gadacie, to co robisz w bazie? W zimie więcej tutaj siedzenia, nudy niż wspinania. Czytasz coś?

Tamara odpowiada, że nie, nie czyta, nie lubi książek, chociaż sama chciałaby kiedyś jedną napisać. Głównie to chodzi i rozmawia. Z innymi wspinaczami, z kucharzami, z policjantami.

– Ale jeśli ktoś tutaj przyjdzie nas zabić, to policjanci nam nie pomogą. Jest ich

za mało – mówi.

Przechodzący Simone wtrąca jedno zdanie i idzie dalej.

– Pierwszą osobą, którą zabiją terroryści, będzie policjant.

Tamara już się nie uśmiecha.

– To, co się dzieje w Pakistanie, to szaleństwo. Kiedy jechaliśmy się aklimatyzować, to usłyszeliśmy na posterunku, że musimy zabrać ze sobą policjanta i ubrać go odpowiednio do miejsca, w które ruszamy. Dać mu namiot, śpiwór, jedzenie. Byłam taka zła...

Powiedziała wtedy nawet, że to jej ostatni raz w Pakistanie, że chce być wolna, a oni jej tę wolność zabierają.

– Nie ma we mnie ani krzty strachu przed śmiercią, bo wierzę w przeznaczenie. Jeśli masz umrzeć, to umrzesz. Moje złe dni są już zapisane i los się wypełni, nieważne, gdzie jestem – mówiła. Powiedziała wtedy jeszcze, że napisze list, a w nim: „Gównu mnie obchodzi, czy ktoś będzie chciał mnie zastrzelić. Oddajcie mi moją wolność”.

– Ilu policjantów jest z wami w bazie? – pytam.

– Jeden.

– Czyli w sumie w bazie jest ich czterech.

– Jeśli ktoś przyjdzie w nocy, to policjanci nas nie obronią. Ci, co przyjdą, zobaczą nasz namiot, bum, bum i po sprawie. Ale my o tym wiemy. Wiemy, że możemy już z gór nie wrócić, umrzeć w nich, ale to nasza decyzja. Chodzimy tam, żeby nas nikt nie kontrolował. Na początku chcieliśmy się aklimatyzować na Spantiku. Czekaliśmy w Chilas bardzo długo na decyzję, czy możemy i czy będą w stanie zapewnić nam bezpieczeństwo. Już nawet nie pamiętam, ile to było dni. Może tydzień?

– Jesteś niecierpliwa?

Normalnie tak, ale tutaj, w bazie, się zmienia. Zima na ośmiotysięczniku była jej wielkim marzeniem. Nienawidzi zimna, ale chciała się wystawić na próbę, sprawdzić, jak to jest.

– Myślę, że poza górami zbyt często przypominamy dzieci, które chcą mieć wszystko od razu. Zima w Himalajach uczy nas, że jeśli chcesz coś osiągnąć, to musisz wyczekać, zapracować na to – mówi.

– A nie boisz się, że skończy się tak samo jak rok temu?

Pojechali wtedy z Simone Moro pod Manaslu. Zimą ten szczyt został zdobyty w 1984 roku przez Macieja Berbekę i Ryszarda Gajewskiego. Celem Włochów było dokonanie pierwszego zimowego trawersu góry od wierzchołka wschodniego do głównego. Baza była kompletnie zasypana, a śniegu jeszcze przybywało. Czekali, ale dobre warunki nie nadeszły.

– Widocznie tak miało być – Tamara znów się uśmiecha. Pamiętam, że poprosili lokalnych ludzi, żeby poszli do klasztoru i wrócili z błogosławieństwem od mnichów. A ci im powiedzieli, że w tym roku nikt szczytu nie zdobędzie, bo bogini Manaslu jest zła.

– Ta myśl nie dawała mi spokoju. Po co nam to powiedzieli? Ja wierzę w takie rzeczy.

– W jakie?

– Że góra ma duszę, że jesteśmy z nią jakoś połączeni. Wiedziałam, że jeśli mnisi mówią, że się nie uda, to się nie uda.

Ten rok w ogóle był jakiś dziwny. Najpierw w wiosce spalił się klasztor, potem zatrzęsała się ziemia. Widocznie tak miało być, bo w dniu wylotu znów miało miejsce trzęsienie ziemi.

– Czemu w tym roku tam nie wróciliście? – pytam.

– Mam zasadę, że pod górą staram się być tylko raz. Wszystkie emocje we mnie – dobre i złe – są tak mocne, tak specjalne, że jeden raz mi wystarcza.

– To co ma powiedzieć Tomek? – roześmiałem się.

– O mój Boże. On pod Nangą jest już szóstą zimę, prawda? Musi być taki znudzony. Jest tyle wspaniałych, pięknych gór na całym świecie, a on wspina się tylko na tę jedną. A może górę trzeba wyczekać? – pyta sama siebie. – Nadchodzi wiatr, ale go przeczekamy, cierpliwością zapracujemy na ten szczyt. Idzie nam dobrze. Z bazy do obozu II na wysokość 5800 metrów jesteśmy w stanie dojść w 5 godzin i 50 minut. To 1600–1700 metrów przewyższenia, ale jesteśmy bardzo szybcy. Z obozu II możemy przeskoczyć do obozu IV na drodze Kinshofera. No i mamy słońce! Na tej drodze mamy je cały czas. Dużo słońca. Myślę, że trzeba mieć dużo słońca, żeby wejść na ten szczyt – mówi.

* * *

Rozmowę przerywa nam dźwięk w zimowych bazach praktycznie niewystępujący. Plusk. Ali celebrytuje każdą kropelkę, delikatnie pociera czaszkę, długo przytrzymuje ciepłe dłonie na twarzy. Ciągłe mu mało. Pomocnik kucharza wylewa parującą wodę na głowę wspinacza, a ten prosi o jeszcze i jeszcze. Słońce świeci, ale musi mu być zimno. Dlaczego przeciąga, zamiast umyć się szybko? W końcu wyciera się ręcznikiem i zakłada koszulkę.

– Nie ma to jak umyć głowę po 27 dniach – uśmiecha się i idzie do mesy.

* * *

– Myślisz, że Tomkowi i Elisabeth może się udać?

Alex odrywa się od klawiatury, chwilę próbuje sobie przypomnieć, o co go właśnie spytałem.

– Wiesz, jeśli ktoś miałby zdobyć ten szczyt, a nie byłbym to ja, to chciałbym, żeby wszedł tam Tomek. Należy mu się. Dużo ma w Polsce fanów?

Mówię mu, że Adam ma więcej, ale jest profesjonalnym wspinaczem, a Tomka ludzie pokochali za jego spontaniczność, punkowy styl bycia. – Za antykapitalizm, o którym mówi, wyzwolenie świata, do którego wzywa. Za to, że nie ma kasy, jedzie robić coś, co nikomu się nie udało, chociaż lepsi od niego próbowali.

Ludzie pokochali go za wiecznie poczochraną czuprynę, pakistańskie dzieci, które przytuła na filmikach, cienkie liny rolnicze, z których zrobił liny poręczowe, za brak pieniędzy na bilet do domu i powrót w samej podkoszulce, bo resztę sprzedał, by zapłacić za samolot.

– I jeszcze za to, że stoi w opozycji do Polskiego Związku Alpinizmu.

– Nie lubią go tam, co? – pyta Alex.

– Nie ma żadnych uprawnień, nie ma wykazu przejść, ciężko, żeby trafił

do narodowej kadry.

– A jaka jest sytuacja Adama? Wiem, że Polska podzieliła się po tym, co się stało na Broad Peak. Dla połowy jest bohaterem, a druga połowa nie chce go znać.

– A ty?

– Nie było nas tam, nie możemy tego oceniać, bo powinniśmy robić to tylko z obiektywnymi rzeczami, a skoro nie mamy wiedzy, co tam się działo, to będzie to jedynie ocena subiektywna. I nie mówię tylko o ludziach, którzy się nie wspinają. Nawet himalaiści nie powinni tego robić, bo nie wiedzą dokładnie, co się stało. Trudno powiedzieć, czy Adam popełnił błąd. To przecież była zima. Wiem jedno, na pewno zawsze trzeba mówić prawdę, nawet jeśli popełnia się błąd. Bo z naszych błędów inni mogą się czegoś nauczyć. Ale wtedy często można zostać znienawidzonym. Messner jest tego przykładem.

Wracamy do Tomka. Alex uważa, że Mackiewiczowi i Revol będzie trudno, bo do szczytu mają na tej drodze po prostu bardzo daleko. Jacek Czech mówił, że o ile droga Kinshofera liczy sześć kilometrów, to wariant, którym Mackiewicz, Revol, a także Moro i Lunger chcą dotrzeć do szczytu, ma jakieś dziesięć kilometrów.

– Z wysokości 7800 metrów, gdzie byli rok temu, to jeszcze dwa dni drogi – mówi Alex.

Nardi później doda, że dwa to może dla Elisabeth, bo jest mała i szybka, ale Mackiewicz potrzebowałby trzech. Zapomni wziąć pod uwagę ważnego faktu – wolne tempo Tomka wynika również z tego, że nosi ciężkie plecaki. Nie ma informacji, jak szybko Mackiewicz poruszałby się powyżej 7000 metrów bez dodatkowego ciężaru.

– A wy?

– A my pewnie pójdziemy lada dzień w górę i spróbujemy przespać się w obozie III, a potem zejść i czekać na okno – mówi bez entuzjazmu.

– Czemu jesteś smutny?

– Nie jestem. Po prostu dużo myślę. Trudno być kierownikiem wyprawy, martwić się o wszystkich i jeszcze o pieniądze, których ciągle brakuje. W ogóle to trochę przypadek, że trafiłem pod Nangę – mówi Bask.

Ciekawy to zespół. Pierwszy przyjeżdżał tu trzy lata i nie chciał wejść na szczyt, drugi znalazł się tu przypadkiem, a trzeci zaczynał jako tragarz, teraz jest pełnoprawnym członkiem wyprawy, ale dwóch pierwszych musi mu płacić.

Trikon przyjechał pod Nangę przypadkiem, bo rok wcześniej miał z Bieleckim i Urubką atakować w zimie K2. Wybrali drogę, ogłosili wyprawę w mediach, ale w ostatniej chwili Chiny cofnęły im pozwolenie. Więc w 15 dni razem z Igone zorganizowali wyjazd pod Nangę.

– Po K2 wszyscy byliśmy przygnębieni – zaczyna Trikon. – Denis nie chciał nigdzie jechać, a pod Nangę to już w ogóle, bo boi się terrorystów. Adam miał lada dzień zostać ojcem.

Ich team zrodził się na Kanczendzondze i jak się okazało, w tym samym miejscu umarł.

– Denis jest fajnym gościem. Bardzo zabawnym. Przy okazji o wiele lepszym wspinaczem niż ja. Czasami wydawało mi się, że robił jakieś szaleństwo, ale później okazywało się, że miał rację. Jeśli wspinasz się z nim i przestrzegasz jego zasad, to przeżyjesz. Tylko że on teraz skupia się na rodzinie. Kończy mu się chęć na robienie

nowych dróg. Może przed nim jeszcze jedna czy dwie poważne wyprawy? W górach musisz być w stu procentach skupiony i oddany temu, co robisz.

Alex zadzwonił więc do Alego Sadpary. Poznał go wiele lat wcześniej, wiedział, że jest mocny. – Poza tym był dobrym znajomym Artura Hajzera i miał doświadczenie w zimie – mówi Alex.

Problem był tylko z pozwoleniem, bo nie starał się o nie wcześniej, ale udało się je załatwić dzięki irańskiej wyprawie, która wspinała się wtedy na Nanga Parbat. Alex po prostu dołączył do listy.

– Bardzo mili ludzie ci Irańczycy, ale trochę leniwi i nieprzygotowani na taką wspinaczkę. Inna mentalność. Trudno było im wyjść bazy, a na Nandze już tak jest, że jak tylko pojawia się dobra pogoda, to trzeba zasuwać, pracować bardzo szybko, bo potem warunki się psują i znów trzeba czekać. Daniele dołączył do nas, kiedy założyliśmy obóz II. Przespaliśmy tam dwie noce, a jedną spędziliśmy razem w obozie III.

A potem na trzy tygodnie pogoda się zepsuła. Tracili aklimatyzację. Kiedy pojawiła się szansa, spróbowali zaatakować szczyt, mimo że nie ruszali się od 20 dni. Ciała miękkie, ale woli nie stracili. Góra była zasypana. Droga do obozu I zajęła im dziesięć godzin. Następnego dnia trawersowali do kuluaru Kinshofera przez pięć godzin. Normalnie droga do dwójki zajmuje dziesięć. Wrócili do bazy, odpoczęli i następnego dnia po dziesięciu godzinach wspinaczki byli w dwójce. W nocy mocno wiało, nie zmrużyli oka. Trzymali namiot, żeby nie odleciał. Następnego dnia w cztery godziny doszli do obozu III. Znów bez snu, ale poza tym szło świetnie. Udało się przekroczyć 7000 metrów. Musieli zaporęczować fragment drogi, bo była kompletnie oblodzona. Obóz IV założyli wieczorem między 18 a 19, kiedy nad Nangą zaszło już słońce. Roztopili śnieg, napili się, nic nie zjedli, odpoczęli dwie godziny i zaczęli się zbierać do wyjścia. Rozpoczynała się trzecia noc bez snu.

Wyszli o trzeciej. Tempo było mocne, szybko dotarli do wysokości 7500 metrów, czyli tam, gdzie kończą się pola śnieżne i zaczyna skalny trapez.

– Mieliśmy szansę, ale fakty były przeciwko nam: trzy tygodnie w bazie bez ruchu, trzy noce bez snu, trzy dni w ciężkich warunkach – opowiada Trikon.

Mówi, że Ali nie czuł się dobrze. – Był dwa razy na szczycie, Daniele był raz, ale nie wiedzieli, którądy iść. Dla Alego to był pierwszy objaw choroby wysokościowej – stwierdza pewnie. I dodaje: – Zawróciliśmy gdzieś między 7800 a 7900. Ludzie później próbowali udowodnić, że byliśmy niżej. Wydaje mi się, że się mylą. Na zdjęciach widać taką skałę, ona jest na 7900 metrów i nie ma co do tego wątpliwości. No to my byliśmy nieco poniżej tej skały, myślę, że na jakichś 7850 metrów.

Była dopiero 10, do zachodu słońca jeszcze dobrych osiem godzin. Pół godziny stracili, błędząc pomiędzy skałami, bo wybrali zły kuluar.

– Ten trapez ma 500 metrów wysokości i z bazy wydaje się, że jest bardzo łatwy. Tylko że to nieprawda. Na dodatek popełniłem błąd. Miałem przy sobie radio, wystarczyło, żebym połączył się z bazą i spytał: „Igone, którądy na szczyt”. To moja pomyłka, a na takie zima nie pozwala. O tej porze roku wspinaczka wkracza na inny poziom, który nie toleruje błędów. Kurtyka miał rację, gdy mówił o zimowym himalaizmie jako o sztuce cierpienia. Ile nowych dróg zostało poprowadzonych w lecie, a ile w zimie? Przewaga lata jest przytłaczająca. Wystarczy spojrzeć na to,

co się stało z Adamem i Jackiem – mówi Alex.

– Że się im nie udało?

– Przyjechali tutaj, ogłaszając rewolucję: wejdą na górę w tydzień i pojedą do domu. Chcieli być bardzo szybcy, ale pogoda powiedziała im: „nie”. Zrobić drogę Kinshofera w zimie w stylu alpejskim to coś bardzo, bardzo trudnego. Myślę, że w tej chwili to jest w zasięgu tylko dwóch osób na świecie: Denisa Urubki i Ueliego Steckera. To supergroźne. Jakbyś grał w rosyjską ruletkę.

– Skąd ty w ogóle się w zimie w górach wzięłeś? – pytam.

Było ich 13. Siedem siostr, sześciu braci. Alex 13., najmłodszy. Mówi, że rodzice są emigrantami, bo do Kraju Basków przywędrowali z Andaluzji. Tylko jego najstarsza siostra urodziła się na południu. Alex nie jest więc Baskiem z krwi, tylko z urodzenia.

– Nasz kraj jest kompletnie inny niż Hiszpania. Mamy swoją kulturę, język, styl życia, z których płynie nasza duma – zaczyna Alex.

Opowiada, że kraj Basków to siedem regionów, z których cztery leżą w Hiszpanii, a trzy we Francji, ale o ile w Katalonii są szanse na oderwanie się od Hiszpanii, o tyle Kraj Basków jest zbyt zróżnicowany.

Niedaleko rodzinnego domu Alexa mieszkał Andres Espinosa. – Bardzo dziwny człowiek, który na początku XX wieku podróżował w bardzo dziwne miejsca – bo kto był wtedy w Afryce czy Indiach? Kto wspinał się na Matterhorn? – mówi Alex i dodaje, że Espinosa był pierwszym baskijskim wspinaczem, o którym usłyszał.

Ale na dobre do jego pamięci wbiło się powitanie wyprawy, która w 1980 roku zdobyła Mount Everest. Widział zdjęcia z lotniska, nagrania, na których setki tysięcy ludzi wiwatują, czekając na swoich bohaterów. – Radość była taka jak pięć lat wcześniej, gdy zmarł dyktator Francisco Franco. Przed jego śmiercią nie można było mówić po baskijsku. Musieliśmy śpiewać o nim piosenki.

– Witającym tych spod Everestu nie chodziło tylko o wspinaczkę. Cel był szerszy, chcieliśmy zaznaczyć swoją kulturę na świecie, pokazać, że jesteśmy dumni z bycia Baskami. Teraz jest inaczej i tego brakuje. To była prawdziwa siła kraju, po której nie ma już śladu w nowej generacji – mówi Alex.

To pierwsze baskijskie wejście na Mount Everest było też ważne dla Polaków, bo tak się złożyło, że Martin Zabaleta był pierwszym wspinaczem z Europy, który stanął na szczycie najwyższej góry świata po polskim zimowym wejściu Leszka Cichego i Krzysztofa Wielickiego. A więc mógł sprawdzić, czy na wierzchołku rzeczywiście znajdują się zostawione przez Polaków pamiątki, czyli dowody. Zabaleta opowiadał, że na trójnogu Chińczyków wisiał różaniec Karola Wojtyły, który potem sprezentował swojej matce. „Był tam też krzyżyk Polaka, który zginął w czasie tej wyprawy, i termometr z premiery zimowej” – mówił Bask o znaleziskach. Całą historię na blogu opisał w 2015 roku Józef Nyka. Nestor polskiego wspinania korzystał z informacji, które znalazły się magazynie *Pyrenaica*. Baskowie na szczycie Mount Everestu zostawili z kolei proporzec antynuklearny i jeszcze jeden, z logo separatystycznej organizacji ETA. Ten drugi ze szczytu zdjęli potem Andrzej Czok i Jerzy Kukuczka.

– Co ciekawe, to wejście na Everest wcale nie oznaczało, że od tej pory kolejne cele będą zdobywać wyprawy narodowe. Takie u nas nie istniały. Zawsze byliśmy wielkimi indywidualistami. Wzór dla całego kraju przyszedł dopiero później w osobie Juana Oiarzabala – mówi Txikon.

Oirzabal to szósty człowiek, który zdobył wszystkie ośmiotysięczniki. Trzeci, który dokonał tego bez tlenu. Zaczął w 1986 roku, skończył 14 lat później. – Dla mnie był wzorem, bo próbował nowych dróg. Wszyscy go podziwialiśmy – dodaje Alex.

– A teraz? Ty jesteś najbardziej rozpoznawalny? – pytam.

– Kraj Basków to trzy miliony ludzi. Może z 200 osób wspina się w skałkach na poziomie 8a, może z 15 robi 9a. Biegamy, jeździmy na nartach. Chodzimy w góry, ale myślę, że bardziej rekreacyjnie. W Polsce bardziej pamiętacie o historii, himalaizm jest więc bardziej popularny. Czasami ktoś rozpozna mnie na ulicy, ale mnie na tym nie zależy. Chciałbym, żeby ludzie wspominali mnie, bo byłem dobrym przyjacielem, a nie dobrym wspinaczem. Nie chcę być idolem. Nie chcę tworzyć historii. To bardziej osobiste. Wspinam się dla siebie, a nie dla Kraju Basków.

Mały Alex uwielbiał piłkę nożną. Na boisku był lewym obrońcą, ale potrafił grać obiema nogami. Zrezygnował, gdy miał 17 lat. Pamięta, że w trakcie jakiegoś meczu przytłoczyli go kibice. Wydierali się, klaskali, a on zastanawiał się, co tam robi. Potrzebował spokoju. Wspinać zaczął się rok wcześniej. Alpy, Pamir, w końcu Himalaje. W 2003 roku wszedł na swój pierwszy ośmiotysięcznik – Broad Peak. Miał 22 lata. Polubił góry, bo nie było w nich reguł. Nie musiał siedzieć w biurze od poniedziałku do piątku, nie musiał mieć domu, z tymi wszystkimi ważnymi rzeczami w środku.

– I dalej nie muszę, przynajmniej na razie. Jak skończę 40 lat, to może założę rodzinę, zacznę żyć inaczej.

Ale jeszcze nie teraz. Na razie jest dobrze. Chociaż rodzice nie myślą, że wspinacz to godny zawód. Nie ma samochodu, mieszkania, w zasadzie nic nie ma, teraz może ze 100 euro na koncie.

– To nie są rzeczy, które dają szczęście – mówi.

– A co je daje?

Alex patrzy na zegarek.

– Jest środa, u nas 11, w Hiszpanii 7 rano. Ludzie budzą się do pracy, niektórzy już od dwóch godzin tkwią w korkach. Obudziłem się cztery godziny temu, przez dwie godziny rozmawiałem w namiocie z Igone. Próbowałem wstać, ale było za zimno, więc poleżałem jeszcze chwilę. Rok temu mieliśmy tutaj tyle śniegu, że co rano trzeba było przecierać drogę między namiotami w bazie. Teraz jestem zaskoczony, jak dobra pogoda panuje. To cieszy.

Po Broad Peak spełnił kolejne marzenie i pojechał na trzymiesięczną wyprawę na zachodni filar Makalu.

– Spędziliśmy 60 dni powyżej 5700 metrów. Takich rzeczy dziś już się nie robi.

Do zimowego wspinania namówił go Muhammad Ali, ale ten drugi, szef agencji Adventure Pakistan. Znają się od 2003 roku. Od 2006 roku Trikon pracował z Ederne Pasaban, baskijską himalaistką. Chciała zostać pierwszą na świecie kobietą, która wejdzie na wszystkie ośmiotysięczniki. Pomagał jej w tym, a wyprawom towarzyszyła telewizja. W 2011 roku mieli jechać na Mount Everest. Wtedy Ali spytał go: „A może zamiast tego pojechałbyś z Gerfriedem Göschlem w zimie na Gaszerbrum I?”

– U Ederne zarobiłbym 30 tysięcy euro, ale wybrałem zimę, bo chciałem zrobić coś innego, ze wspinaczami z innych krajów. Ludzie mówili mi, że zwariowałem, bo mogłem być co niedzielę w ogólnokrajowej telewizji w najlepszym czasie

antenowym.

– To nieźle mieliście w tej Hiszpanii. Myślisz, że himalaizm powinien być obecny w mediach tak jak piłka nożna czy koszykówka? – pytam.

– Dla nas to interesujące, ale to nie oznacza, że musi być ciekawe dla reszty świata – odpowiada. Ludzie nie interesują się górami, tak samo jak nie obchodzi ich sport kobiecy. Jest wściekły, gdy ogląda baskijskie wiadomości. Sport jest na samym końcu i zawsze męski, zawsze zaczyna się od piłki nożnej. Myśli, że pieniądze kierują tym, co media pokazują. A w piłce kasy jest najwięcej.

– Problem himalaizmu polega też na tym, że nie mamy spisanych zasad. Skąd ludzie mają wiedzieć, gdzie jest prawda? – pyta. – Śledzą piłkę nożną, bo są różne drużyny, rozgrywki, reguły rywalizacji. A tutaj? Możesz ogłosić, że chcesz wejść na Nanga Parbat w stylu alpejskim, przyjechać na tydzień, powiedzieć, że się nie da, i zmienić styl. Ale masz tylko 200 metrów liny, więc jak to zrobić? Gdybym coś takiego odważył, to dziennikarze w Hiszpanii by mnie powiesili.

Poza tym – mówi – czasy wielkiej eksploracji w górach się skończyły. Nie jesteśmy już jak George Mallory i Andrew Irvine, którzy chcieli wejść na Mount Everest w 1924 roku. Wspinacze byli kiedyś lekarzami, szukali odpowiedzi na pytania o możliwości ludzkiego organizmu.

– Pisali książki. O czym ja miałbym pisać? Siedzimy pod jakąś górą i próbujemy wejść na nią w zimie, bo w lecie już ktoś tam był.

– Eksploracja się już skończyła? – pytam.

– W górach tak. Wyprawa na Mount Everest normalną drogą z 300 osobami nią nie jest. Ani nawet wspinaczka na niezdojty w zimie szczyt. To nic więcej niż szukanie swoich granic. Co innego, gdyby zrobić jakiś trawers pustyni albo amazońskiej dżungli. Albo przepłynąć Ocean Atlantycki jakąś małą łódką.

– Rzuciłbyś dla czegoś takiego góry?

– Gdybym znalazł na to pieniądze, byłoby fajnie. To byłby następny krok w mojej karierze. Byłem już 11 razy na szczycie ośmiotysięcznika, mam za sobą kilka zimowych wypraw. Wystarczy. Pod Nangę kolejnej zimy już nie wrócę. Może to moja ostatnia zimowa wyprawa? Coraz trudniej znaleźć sponsora. W tym roku 75 proc. kosztów pokryłem z własnej kieszeni. Wciąż do rozwiązania mamy sprawę z Alim, który jest naszym przyjacielem, ale musimy mu zapłacić – mówi Alex.

Dodaje, że w Hiszpanii bardzo trudno jest mu znaleźć sponsorów. Co innego, gdyby był piłkarzem. Chociaż coś się zmienia. Przeżywają teraz w Hiszpanii, tak jak my, rewolucję biegania. Kilian Jornet wskazuje drogę, coraz więcej osób chce go naśladować. Ale himalaizm? Jeśli już ktoś się wspina, to w skale albo na boulderach.

– Nie jestem dobry w te klocki. Najtrudniejsza droga, jaką poprowadziłem, miała wycenę 7c. A wiele osób robi 8c czy nawet 9a. Wspinają się jak roboty, ale nie są przygotowani na długie cierpienie. Na świecie nie rodzą się już tacy wspinacze jak Mick Fowler czy Alex MacIntyre, którzy w Himalajach dokonywali cudów. Nowa generacja woli rozwiązywać problemy na sztucznych ścianach, niż jeździć do Nepalu. A i nepalscy wspinacze byli kiedyś mocniejsi.

– Zaraz wpadniemy w depresję.

Wybuchasz szczerym śmiechem.

– Nie żałuję, zobacz, jak nam tutaj dobrze. Może w nocy, jak jest zimno, to się

zastanawiam, co właściwie tutaj robię. Ale teraz, gdy siedzimy w słońcu, jest dobrze. Patrzę na Nanga Parbat, wielką górę z wielką historią, którą próbowało zdobyć w zimie 30 wypraw. Jestem szczęśliwy. Rozkoszujemy się tą zimą, bo ona już nigdy więcej się nie zdarzy, jest jedna na całe życie. Mamy ciszę, spokój. Jeśli nam się nie uda, to za rok będzie tutaj o wiele więcej ekspedycji. Na szczęście nie aż tyle, co na Evereście. Raz byłem tam w bazie, gdy wspinaliśmy się na Lhotse. Tysiące ludzi.

– Koszmar?

– Mnie to nie przeszkadzało, bo siedziałem sobie w moim namiocie. Nie widziałem ich.

– Nie wychodziłeś?

– Tylko trochę. Taki jestem. Raz przyszedłem do ciebie, raz odwiedziłem Simone. Nie chcę się narzucać. Nie wiem, czy bym nie przeszkadzał. Poza tym chodzenie do innego obozu kojarzy mi się z proszeniem o coś.

– Nigdy nie prosisz?

– Tylko w ostateczności.

– A górę prosisz, żeby pozwoliła ci wejść?

– Ją tak. Góra ma swoje priorytety. Muszę ją poprosić.

Mówi jej, że jest uczciwym, prawdziwym człowiekiem, i wtedy ona czasami go wypuszcza. Czasami, gdy jest wysoko, to słyszy, że ktoś wymawia jego imię, ale oczywiście to tylko wysokość wyciska mózg. Nie wierzy, w przeciwieństwie do Tomka, że Nangę zamieszkują wróżki. Skupia się raczej na swojej energii, przygotowaniu fizycznym.

– Jesteś wierzący? – pytam.

– W połowie. Wierzący, szukający, w zależności od momentu. W górach chyba lepiej wyjść poza religię, a bardziej skupić na rzeczach, które cię otaczają. Na sprawach obiektywnych, a nie na odczuciach, bo one mogą cię zabić. No i na partnerach, żeby czuć się z nimi dobrze.

– Ty ze swoimi czujesz się dobrze?

– Czasem, gdy się wspinamy, to przeszkadza nam język. Chcę powiedzieć coś na szybko, ale każdy z nas jest z innego kraju i się nie rozumiemy. Ale poza tym jest OK.

Te ostatnie słowa wypowiada bardzo cicho.

– No, ale może Tomkowi się uda – zmienia temat. – Pewne jest, że jego wyprawa się kończy, bo zapowiedział, że to ostatnia próba tej zimy. Mają jeszcze dwa dni szans, potem przychodzi kiepska pogoda. Dziś powinni być w obozie III, tak? Aklimatyzację mają dobrą, ale do szczytu cholernie daleko. Bardzo go polubiłem.

– Dużo rozmawialiście?

– Może ze 20 minut. Czuć, że jest hipisem. Bije od niego szczęście, że jest tutaj. Bardzo mnie to zaskoczyło, bo myślałem, że spotkam kogoś innego. Gdybym miał wybrać jedną osobę, która miałaby stanąć na szczycie, byłby to Tomek. Przyjeżdża tu od sześciu lat. To dobra opowieść, tylko że czasami historia nie lubi takich pomysłów. Poproszę Nangę, żeby dała im szansę.

Pytam, czy jeśli ktoś zdobędzie Nangę przed nim, to przerwie wyprawę. – Nie ma takiej opcji. Uważam, że jeśli wszystkie wyprawy wejdą w tym roku na szczyt, to będą miały równe prawo, by nazywać się jego pierwszymi zimowymi zdobywcami.

Mówi, że liczy się zima, a nie dzień czy godzina. Najtrudniejsza praca wykonana, 2000 metrów lin poręczowych położone. Gdzie jest Tomek i Elisabeth, co się dzieje po stronie Rupał, gdzie walczą chłopaki z Nanga Dream, tego Alex nie wie, ale czuje, że to on ze swoim zespołem dotarł jak na razie najwyżej. Jest depozyt na 6500 m i jest zadanie – założyć obóz III, naprawić wszystko, co wiatr i śnieg po drodze zniszczyły. Nie ścigać się, bo – mówi – jakby się ścigali, to odpuściliby Kinshofera i przenieśli się na drogę Messnerów, by mieć na oku dwie inne wyprawy.

– A wiesz, że wtedy, po tej naszej próbie na Gaszerbrum I spotkaliśmy się wracającym z Broad Peak Arturem Hajzerem na obiedzie? Opowiedzieliśmy mu, jak w dwa dni w stylu alpejskim dotarliśmy do obozu III na 7100 metrach. To chyba zrobiło na nim wrażenie i przesądziło, że Polacy pojechali tam rok później. Adam i Janusz Gołąb weszli na szczyt, Artur i Ali Sadpara zrobili świetną robotę. Ja byłem w innej wyprawie. Próbowaliśmy poprowadzić nową drogę dwukilometrowym kuluarem od południa. Popelniliśmy błędy, kilku ludzi zginęło, nie mieliśmy dobrego planu – mówi Bask.

– Nie masz już dość tej zimy? – pytam.

Dla Alexa to była piąta zimowa wyprawa z rzędu: w 2011 i 2012 roku wspinał się na Gaszerbrum I, rok później dokonał pierwszego zimowego wejścia na Laila Peak, ostatnia i obecna zima to Nanga Parbat.

– Nie jestem zmęczony zimą. Jestem zmęczony zdobywaniem pieniędzy i sponsorów, bo w zimie wszystko jest droższe. W lecie porterowi płaci się od 2 do 4 tysięcy rupii za dzień. W zimie 9 tysięcy. Każdego roku jest drożej. Jestem również zmęczony tym, że ludzie mówią o nas różne rzeczy. Musimy dbać o sponsorów i dostarczać informacji o tym, co tutaj się dzieje. A potem ludzie to komentują, ale tak naprawdę nie wiedzą, o czym mówią. Nie ma ich tutaj. Dwa tygodnie temu, kiedy zakładaliśmy obóz II, było przeraźliwie zimno. Jeden błąd i giniesz – mówi Bask.

I dodaje:

– Ale cieszę się, bo widzę, że inne wyprawy mają problemy, a my zbliżamy się do celu. Krok po kroczku, ciągle do przodu. To dlatego, że jesteśmy szczerzy i prawdziwi. Gdyby było inaczej, to wrócilibyśmy już do domu. Kiedy pojawia się problem, to go rozwiązujemy.

– Jakie macie problemy?

– Różne. Ciągle brakuje nam pieniędzy. Nie rozumiemy się nawzajem. Jednego dnia Ali jest zły, innego Daniele. Ale z dnia na dzień jest coraz lepiej.

* * *

Przed snem sprawdzam Facebooka. Tomek się odezwał.

„camp3. Wiatr nieco się uspokoił. Bezchmurne niebo. Światło księżycyca oświetla drogę, tak, że zanim wzejdzie słońce, Tom i Eli ruszą wyżej. 2 następne dni próba szczytu... Tomek prosi o moc Waszych myśli w Górę...”.

ROZDZIAŁ XVIII

czwartek, 21 stycznia 2016 roku

Poranek zaczyna się wtedy, kiedy ciemność przechodzi w zimny błękit. Słońce jest już w dolinie Diamir, ale do bazy dociera tylko jego echo, na tyle jednak mocne, żeby zmienić kontrast. Niebo, śnieg, skała, na wszystko patrzy się przez lodowy filtr.

Czwartek przynosi wyjątkowe zimno. Po raz pierwszy, idąc na siku, zakładam rękawiczki. Ale nad szczytem Nangi w końcu nie ma chmur. Ściągnęła pióropusz, jakby zapraszała do zabawy.

– Na wierzchołku w końcu cisza – mówi Simone Moro, przecierając zamrożone szkła lornetki, i kieruje przyrząd na pola śnieżne.

– Nie ma ich. Jeśli wczoraj Tomek i Elisabeth rzeczywiście weszli na 6700 metrów, to dziś powinniśmy ich zobaczyć na plateau. Tylko że ja nie sądzę, że to się stanie – mówi i daje mi lornetkę. Ściągam rękawiczki, by wyregulować ostrość. Celuję w miejsce, gdzie po lewej stronie zbocze odsłania pola śnieżne. Nie ma ich. Czuję, jak z każdą sekundą zamarzają mi dłonie, a lornetka zaczyna szczypać skórę. Przykleja się, tak jak język, kiedy w zimie polizać metal.

– Dlaczego myślisz, że tam nie doszli? – pytam Włocha.

– Moim zdaniem założyli „trójkę” 400 metrów niżej, niż piszą. W ogóle to ciężko powiedzieć, na jakich wysokościach stawiają obozy. Za każdym razem robią to inaczej, jak wypadnie.

Pokazuje skalną piramidkę, z tej perspektywy ostatni widoczny z bazy wycinek Nangi. Dalej na lewo jest już Ganalo Peak, który zasłania drogę Messnerów. Ale tę piramidkę widać wyraźnie.

– To jest 6700 metrów. Tam powinna być założona „trójka”. Byliśmy tam z Denisem Urubką. Potem droga idzie za granią i wychodzi na płaskowyż pod kopułą szczytową – mówi Włoch.

Według niego obóz IV powinien zostać założony na skraju płaskowyżu, czyli w miejscu, którego z bazy nie widać.

– Potem pod samą kopułą powinni postawić obóz V i dopiero z niego atakować szczyt. Ale czy zdążą? – pyta Moro.

Pogoda dziś jest dobra. Prognozy się zmieniły. W piątek i sobotę ma wiać z prędkością 20–25 km/godz. Bielecki mówił, że 30 km/godz. to dla niego granica przeżywalności na szczycie ośmiotysięcznika w zimie. Przy takiej prędkości wiatru odczuwalna temperatura wynosi minus 60 stopni Celsjusza. Simone mówi, że w niedzielę może wiać nawet do 60 km/godz. W poniedziałek podmuchy wzmocnią się o kolejnych kilkadziesiąt kilometrów na godzinę, a we wtorek jet stream rozgości się nad Nangą na dwa tygodnie, w okolicach szczytu osiągając prędkość nawet 200 km/godz.

Tomek i Elisabeth mają więc jeszcze dwa, trzy dni na wejście i zejście ze szczytu. Ale to w najlepszym razie, bo co, jeśli prognozy nagle się zmienią?

– Teraz wieje im w plecy, więc pcha ich do szczytu. Potem, kiedy będą najbardziej zmęczeni, dostaną podmuchem w twarz – mówi Moro.

Znów się zastanawia, jak przeprowadzić akcję ratunkową, gdyby trzeba było. – Bez łączności radiowej to prawie niemożliwe – dodaje i idzie do namiotu.

* * *

O ile nad bazą zimowy himalaizm jest sztuką cierpienia, o tyle tu chodzi głównie o czekanie. Podczas trwającej trzy miesiące wyprawy wspinania jest najwyżej kilkanaście dni. Reszta to zabijanie czasu. Każdy ma swoje sposoby. – Czekanie, iluzja i kilka chwil akcji – opisuje zimowe wspinanie Nardi. Jego sposoby na zabicie czasu: słuchanie mów motywacyjnych, rozmowy na Skype z rodziną, przyjaciółmi, narzeczoną, oglądanie filmów na laptopie.

Alex Trikon całymi dniami wysyła oraz przegląda filmy i zdjęcia, które zrobił na górze.

Simone Moro: – Ja na zimowych wyprawach się nie nudzę. W ich trakcie napisałem już dwie książki: jedną o zimowym himalaizmie, drugą o ratownictwie helikopterowym. Teraz właśnie ustaliam szczegóły związane z moim helikopterem. Mam mnóstwo spraw na głowie.

Ale kiedy Włoch jednak się nudzi, to słycać to doskonale, bo odpala drona.

Tamara Lunger: Też jakoś nie czuję nudy. Może pójdziemy jutro z Simone na narty?

Ali Sadpara chodzi od namiotu do namiotu i rozmawia z rodakami.

A poza tym: suszy się śpiwory, pije herbatę, chodzi sikać. Wszyscy próbują przeciągnąć dzień jak najdłużej, by rano pospać i zbliżyć się do momentu, gdy nadchodzi słońce. Wieczorem zaczynają się odwiedziny, rozmowy o pogodzie i postępach innych wypraw. Potem książka albo film. Najlepiej zasnąć koło północy.

* * *

Wargi zaciśnięte, gałki oczne w ruchu, kąciki ust wędrujące w górę, potem wzrok szukający widowni – twarz człowieka triumfującego. Nardi zarzeka się, że to smutne, ale widać, że cieszy się wynikami.

– Najwięcej komentarzy, polubień, udostępnień mają w tym roku dwa wpisy na moim Facebooku – mówi.

Pierwszy to filmik z Adamem zaraz po wypadku. Drugi, opublikowany niedługo później, kiedy sam odpadł od ściany, a na zdjęciu przedstawiającym płataninę lin dopisał instrukcję obsługi i wskazał miejsce, które zawiodło.

– Musimy mówić i pisać o górach, ile się tylko da, żeby dziennikarze i społeczeństwo zrozumieli, czym jest alpinizm. Jeśli dziesięć razy powtórzymy, że wejście na Czo Oju jest łatwe, wytłumaczymy, na czym polega styl alpejski, na czym otwieranie nowej drogi, a co to styl klasyczny, to w końcu zapamiętają – zaczyna Włoch.

– A dlaczego powinni?

– Bo robimy wartościowe rzeczy, poświęcamy życie dla pewnej idei, a ludzie jej nie rozumieją. Próba pierwszego zimowego wejścia na Nanga Parbat to mistrzostwa świata, absolutny top, ale przyglądając się tylko temu, ludzie nie pojmą, czym jest

alpinizm. Nie możemy mówić tylko o Serie A. Jest też przecież Serie B, Serie C. Musimy o tym mówić dużo i cierpliwie. Pokazywać dzienniki i filmiki.

– Ale po co?

– Bo dla pasji opuszczamy nasze rodziny, w sobotę i niedzielę nie idziemy ze znajomym do kina, tylko zdzieramy paznokcie i skórę z palców. Poświęcamy wszystko, by po 20 latach być gotowymi na tę górę. I nikt o tym nie wie, nawet u was, w Polsce, gdzie macie wielką tradycję zimowego himalaizmu.

Włoch tłumaczy, że niewiedza bierze się z braku informacji. W weekend można spędzić cały dzień przed telewizorem, oglądając piłkę nożną. Albo koszykówkę – sam w nią grał przez dziesięć lat. A wspinaczki tam nie ma. Można wprawdzie zamówić filmy na DVD, poszukać informacji w internecie, ale to nie ta liga.

– Daniele, a może himalaizmu już nie warto pokazywać? Może było warto 40 lat temu, gdy wiele było jeszcze do zrobienia, a teraz już po prostu nie macie dobrych pomysłów? – pytam.

– Kreatywność bierze się z potrzeby – odpowiada Nardi. – Kiedy we wspinaczce pojawili się sponsorzy, to okazało się, że produktem jest kompletowanie wszystkich ośmiotysięczników. Zmieniła się potrzeba. Himalaiści chcą więc być sławni, czyli muszą zadowolić sponsorów. I to pcha ich do tego, żeby chwalić się takimi rzeczami jak wejście w lecie normalnymi drogami na Czo Oju i Broad Peak.

Kiedy Nardi jechał na drugą, samotną wyprawę na Nanga Parbat, wielu ludzi mówiło, że zwariował i że nie ma szans w takim stylu wejść na szczyt w zimie.

– Oczywiście, wiedziałem, że wielkich szans nie mam, ale przynajmniej spróbowałem! Nie chciałem, żeby w moim CV znalazła się pozycja: „wszedł na wszystkie ośmiotysięczniki”. Jestem przekonany, że bym to zrobił. Ale mnie chodzi o coś innego. Tylko że na to, co robię, nie ma miejsca w gazecie. A znajduje się dla ludzi wchodzących w lecie na Broad Peak.

I nawet mi to szczególnie nie przeszkadza, tylko że ja muszę jakoś trafić do tych sponsorów. Więc muszę wymyślić coś nowego i atrakcyjnego. Oczywiście, szanse, że to się uda, są niewielkie.

Ale kto wierzył, że Sandy Allan i Rick Allen przejdą grań Mazeno?

* * *

Grani Mazeno nie da się z niczym w Himalajach porównać. To 13 kilometrów ostrej jak brzytwa drogi przechodzącej przez osiem siedmiotysięczników i kończącej się szczytem ośmiotysięcznym – Nanga Parbat. W niektórych miejscach jest tak wąska, że dwóm osobom trudno byłoby się na niej wyminąć. Zejść w bok nie ma gdzie, bo po obu stronach do ziemi kilometry powietrza.

Prawdopodobnie ten brak możliwości ucieczki sprawił, że od wyprawy Louisa Audouberta w 1979 roku do ekspedycji Sandy’ego Allana próbowało ją przejść tylko dziewięć wypraw. Kończyły najdalej na przełęczy Mazeno, czyli tam, gdzie Sandy i Rick zostali sami, bez wody i z paczką herbatników.

Członkowie wypraw zgodnie przyznawali, że po wielokilometrowej wspinaczce brakuje sił, by wejść na szczyt, a później jeszcze jakoś z niego zejść. Grań Mazeno przez lata była więc określana jako jedno z ostatnich wielkich wyzwań Himalajów.

A brytyjskie media poszły krok dalej i nazwały ją „ostatnim wielkim wyzwaniem alpinizmu”.

Sandy miał być producentem whisky tak jak jego ojciec, ale w górach zakochał się od pierwszego wejrzenia już jako nastolatek – wiadomo, wtedy uczucia są najsilniejsze. Dziś prowadzi klientów w Alpach i Himalajach. Rick jest nafciarzem, szuka źródeł ropy na całym świecie. Sandy mawia, że on próbuje zrozumieć górę i się do niej dostosować, a Rick chce ją najpierw okiełznać, a później sobie podporządkować.

Wspólna wyprawa na grań Mazeno chodziła im po głowie od lat. – Tylko że nie chciałem tam pojechać i uderzyć głową w mur jak inni i jak ja sam w 1992 roku, kiedy wspinaliśmy się w wyprawie Douga Scotta. Potrzebny był plan, a nie mogłem wymyślić strategii. W końcu doszedłem do wniosku, że jeśli ma nam się udać, musimy iść wolno i oszczędzać siły. Tego zabrakło poprzednim wyprawom – mówił Sandy. – Postawiliśmy na cierpliwość: chcieliśmy iść sześć-osiem godzin zamiast 10–12, potem szukać dobrego miejsca na rozbicie namiotu.

Zaczęli 1 lipca 2012 roku w sześciuosobowym składzie. Sandy miał wtedy 56 lat, Rick 57. O wyprawie dużo się nie mówiło, Wielka Brytania była zajęta przygotowaniem do igrzysk olimpijskich. Ale to było im na rękę, bo nie lubią rozgłosu.

Sandy zapewnia dziś, że gdy po 13 dniach wspinaczki na niebotycznej grani zostaje w plecaku tylko opakowanie herbatników i kilka landrynek, to jeszcze nie jest źle. Powyżej 7000 metrów człowiek i tak niewiele zje. Nie ma tam apetytu, a nawet jak się zmusi, to żołądek i tak wie swoje. Adam Bielecki mówił, że podczas ataku szczytowego na Broad Peak wymiotował 10–12 razy, bo próbował coś na siłę w siebie wcisnąć. Bez jedzenia można się obyć nawet kilka dni.

Gorzej, jeśli w kieszeni nie ma zapalniczki. Bez ognia nie uruchomisz maszyny do topienia śniegu, czyli się nie napijesz. – Lekarz powiedział mi, że organizm powyżej 7000 metrów potrzebuje 7–8 litrów dziennie, inaczej zaczyna się odwadniać w ekspresowym tempie – mówił Sandy.

Przez dziesięć dni rozkładali namioty, suszyli rzeczy, gotowali, spali i wszystko od początku. Wydaje się, że to nic takiego, ale powyżej 7000 metrów proste zakładanie butów może trwać kilkadziesiąt minut. A w zimie, przy kilkudziesięciostopniowym mrozie przygotowania do opuszczenia namiotu zajmują kilka godzin.

Jedzenia miało im wystarczyć na osiem dni, a gdyby bardzo oszczędzali, to na dziesięć. Ale po dziesięciu dniach doszli dopiero do przełęczy Mazeno, ostatniego punktu wszystkich wcześniejszych wypraw.

To właśnie tam partnerzy Sandy’ego i Ricka – himalaistka z RPA Cathy O’Dowd i trzej Sierpowie – poddali się po 18 godzinach ataku szczytowego. Byli zbyt wyczerpani, by jeszcze raz ruszyć na Nanga Parbat. I zbyt przerażeni wypadkiem, który omal nie skończył się tragicznie: Sierpa Lhakpa Zorok zsunął się z boczem grani, jego kolega Rangdu chciał go złapać, ale się przewrócił i po chwili zsuwali się już obaj. Zatrzymali się po 300 metrach, tuż przed przepaścią. Tego było dla Cathy i Sierpów za wiele.

„Ludzie próbowali przejść tę grań bez skutku. Ale Sandy i Rick to twarde, stare dranie” – pisała „na żywo”, żegnając się z nimi na przełęczy. I – całkiem przypadkiem – zabierając jedyną sprawną zapalniczkę.

Zostali więc sami na przełęczy z paczką herbatników, ale w dobrym nastroju. Szczyt znajdował się tylko kilometr wyżej. Szacowali, że dotrą tam w dzień, a po jednym-dwóch kolejnych wrócą do bazy. Kilometr do góry, cztery w dół.

– Odpoczęliśmy jeden dzień i ruszyliśmy z Rickiem w górę. Musieliśmy iść naprawdę szybko, więc zostawiliśmy karimaty i z samymi śpiworami zaczęliśmy szturm szczytu – opowiadał Sandy.

Był to 14. dzień wspinaczki. Udało im się wejść na 7700 metrów. Czekanami wykopali śnieżną jamę, w której ukryli się przed zimnem nocy.

W okolicy wierzchołka dotarli kolejnego dnia o godz. 14, ale mgła była tak gęsta, że nie byli w stanie znaleźć najwyższego punktu. Błąkali się przez trzy i pół godziny świadomi absurdu sytuacji – dwa tygodnie zajęło im rozprawienie się z jednym z ostatnich wyzwania himalaizmu i wciąż byli kilka metrów poniżej wierzchołka. Jeśliby go nie znaleźli, przejście grani Mazeno nie byłoby pełne, a kochające kontrowersje środowisko na pewno by im to wypominało. Po godz. 17 wiatr zaczął rozganiać chmury. Na szczycie stanęli 15 lipca o godz. 18.12.

Teraz trzeba było zejść do świata żywych, cztery kilometry poniżej nieba. Pierwszą noc spędzili w tej samej jamie, którą wykopali podczas drogi w górę. Zjedli resztkę herbatników i cukierków, bez zapalniczki nie mogli topić śniegu i pić. Schodzili coraz wolniej, a Sandy obserwował, jak jego partner z każdym krokiem słabnie. Następnej nocy znów musieli wykopać jamę. Cięli śnieg czekanami z dwóch stron, by spotkać się w połowie drogi. Gdy Sandy skończył swoją część, zauważył, że Rick nawet nie zaczął. – Był nieobecny. Dłubał tylko czekanem w śniegu. Krzyknąłem do niego, chyba zrozumiał, co się dzieje, i z jękiem spytał, czy zmieścimy się w tym, co ja wykopałem – mówił Sandy.

Z Rickiem następnego dnia było jeszcze gorzej. Zasypiał na stoku, siniały mu zmrożone palce. – Puszcząłem go przodem na wypadek, gdyby zasnął albo się przewrócił. Byliśmy związani i gdyby coś się stało, to mógłbym go złapać – opowiadał Sandy.

Dwóch ślaniających się wspinaczy dostrzegli Czesi Marek Holeczek i Zdenek Hruby poniżej obozu II, na wysokości około 5900 metrów. – Nie jedliśmy od trzech dni, a nie piliśmy od pięciu. Gdy poczęstowali nas herbatą, to Rick próbował coś do nich wymamrotać. A po kilku łykach zwymiotował – mówił Sandy.

19 lipca, po 18 dniach wspinaczki, usiedli w bazie Damiar na plastikowych krzesłach i napili się herbaty.

Kilka tysięcy kilometrów dalej Brytyjczycy, niegdyś zakochani w himalaizmie, rozpoczynali ostatni przedolimpijski tydzień. Wyczyn dwóch podstarzałych himalaistów długo czekał na opisanie. Za pierwsze przejście grani Mazeno Sandy i Rick otrzymali Złote Czekany, najbardziej prestiżową nagrodę we wspinaczkowym świecie.

* * *

– Niewielka liczba nowych pomysłów bierze się również z tego, jak funkcjonuje nasze społeczeństwo, media. Jeśli ci się nie uda, to znikniesz – mówi Nardi.

– A w was nie ma żadnej winy? – pytam.

– Mam kolegę, który robi trudne rzeczy w skałkach i mówi mi: Daniele, ty się nie

wspinasz, zakładasz buty i idziesz po śniegu. Auć! Jak mnie to zabolalo! Jestem wspinaczem. W skale wspinam się na poziomie 7c. Potrafię zrobić wiele rzeczy w lodzie i na wysokości 7000 metrów. Wielu wspinaczy skałkowych nie potrafi wejść normalną drogą na ośmiotysięcznik. Nie są w stanie dojść do szczytu, bo to coś całkiem innego niż to, co robią na co dzień.

Nardi tłumaczy, że nie da się porównać biegu na 400 metrów i maratonu. Jak porównać trwającą dwa tygodnie wspinaczkę na wielkiej ścianie z ośmiotysięcznikiem? Dlaczego porównywać zimową próbę na Nanga Parbat z wytyczaniem nowej drogi na sześciotysięczniku?

– To inne światy, ale najlepsi wspinacze na świecie są wszechstronni. Trzeba o tym mówić, tłumaczyć.

Wziął laptop, odwrócił go w moją stronę i jeszcze raz pokazał filmik po wypadku Adama.

– Wypadki dają mi najwięcej klików. Jesteś dziennikarzem, powiedz mi dlaczego?

– Bo ludzie chcą sensacji.

– Nie!

– Nie?

– No, kurwa, nie! – Włoch już krzyczał, ale nie przestawał się uśmiechać. Świetnie odgrywał rolę nauczyciela. – Oni po prostu nie wiedzą, dlatego szukają skrajnych sytuacji. Jeśli zrobię dobrą wspinaczkę i będę potrafił im ją wytłumaczyć, to ją docenią, zrozumieją. Ale jeśli nie wiedzą, na czym ona polega, to sprawa będzie zero-jedynkowa: przeżył albo zginął. Skąd mają rozumieć, co oznacza, że poszliśmy z linami na lodowiec, śnieg się zapadł, ale się uratowaliśmy? Jak mają to zrozumieć, jeśli nie będziemy im tłumaczyć?

– A może to dla nich za trudne? – powiedziałem. – Może łatwiej im zrozumieć, że Messi i Ronaldo są najlepsi w piłkę, bo sami mogą w każdej chwili ją wziąć i kopnąć? Lodowiec, liny, zima w Himalajach to abstrakcja.

– Ludzie nie wiedzą, czy wspinacze robią błąd, czy dobrze wybierają, z prostej przyczyny – Daniele westchnął. – Nie wiedzą, bo wspinacze za każdym razem kłamią o swoim wyborze! Za każdym razem kłamią! Jak ci powiem, że założyłem dobre liny na drodze Kinshofera, to skąd będziesz miał pewność, że mówię prawdę? Nie możesz tego wiedzieć. Pierwszy problem to wspinacze. Jeśli nie będziemy kłamać, to dziennikarze zrozumieją przekaz i podadzą go dalej, bo będzie spójny. Spójny, czyli rozumiały. Jeśli zrobię film i pokażę moją wspinaczkę, to nie będziesz miał wątpliwości, czy mówię prawdę. Dlatego naszym obowiązkiem jest kręcić filmy i je pokazywać, nawet jeśli są tam rzeczy trudne. Jeśli dziennikarz mnie spyta: Daniele, co się stało? Adam poleciał, lina się urwała, dlaczego użyliście tych jebanych lin? I ja mu wtedy wytłumaczę: OK, urwała się, ale użyliśmy też dobrych lin i to Adama uratowało. Mieliśmy podwójną asekurację.

Już miałem wychodzić, gdy Daniele jeszcze rzucił:

– Przepraszam, że tak wyszło z tym wspólnym jedzeniem. Gdybym był szefem wyprawy, to załatwiłbym to, ale szefem jest Alex. On ma problem z podejmowaniem decyzji i z mówieniem rzeczy wprost. Zrób sobie taki test: posłuchaj, w jaki sposób on mówi.

– I co ma mi wyjść?

– Otóż wyjdzie ci, że on mówi negatywne rzeczy i skupia się na kontrowersjach.

* * *

Przy namiocie przypominającym igloo stoi butla z gazem. Waży 12 kilogramów, jest wysoka, więc porter może zabrać ze sobą tylko jedną. Do bazy Diamir pod Nanga Parbat niesie ją przez dwa dni. Są też mniejsze butle, które ważą osiem kilogramów. Na trzy miesiące zimowej ekspedycji potrzeba 45 takich, po dwie do plecaka, czyli jest praca dla 23 porterów. A to tylko gaz – konieczne jest jeszcze paliwo do generatora, żeby był prąd. Ktoś musi też przynieść sprzęt wspinaczkowy, wyposażenie kuchni i jedzenie. Tuż za wejściem do namiotu prawie potykam się o grzejnik w kształcie anteny satelitarnej. Dwa metry dalej leżą dwa materace. Na jednym nich brązowe futerko, pewnie z lisa, bo ich w Pakistanie nie brakuje. Ali mówi, że lisy tutaj przynoszą szczęście. W dodatku wyglądają stylowo.

– To jak to jest z tym cierpieniem w zimowym himalaizmie? – pytam Włocha. Zachęca mnie, żebyśmy usiadł na materacu obok niego.

– A więc – mówi Simone – w bazie można zgrywać bohatera, nie mieć ze sobą prawie nic, ale tak naprawdę twardym trzeba być w górze. Umysł to najbardziej delikatny organ, o wiele bardziej podatny na kryzys niż mięśnie.

Mówi, że jeżeli cierpisz w górze, ale wiesz, że kiedy zejdziesz do bazy, to będziesz mógł odpocząć w komfortowych warunkach, położyć się na takim materacu, dobrze zjeść i się zagrzać, to wtedy zniesiesz o wiele więcej.

Ale kiedy w bazie nie masz niczego i wszystko musisz pożyczać, to zacznasz rozumieć, że tak naprawdę komfortowym miejscem jest twój dom. I zamiast o powrocie do bazy myślisz o powrocie do domu.

– Jeśli mam śnić o domu, to tylko dlatego, że tam są żona i dzieci. Jestem w stanie spędzić w bazie trzy miesiące. Mam tutaj wszystko, czego potrzebuję. Wszystkie ważne rzeczy zabrałem w dwóch sztukach.

– Dlatego masz dwa materace? – pytam.

Dwa materace, dwa namioty, dwa śpiwory. No bo co, jeśli obóz zostanie zniszczony? Włoch przekonuje, że jeśli już pchasz się w taką przygodę, to bardzo ważne jest, żeby nie mieć wymówki, by się z niej wypisać.

– Jeżeli przeanalizujemy ekspedycje Andrzeja Zawady czy Krzysztofa Wielickiego, to zobaczymy, że oni zrozumieli jedną rzecz: w bazie nie można cierpieć. Trzeba być na to gotowym na górze – tłumaczy Moro. – Organizując wyprawę, wydaje ci się, że oszczędzasz pieniądze, ale tak naprawdę zmniejszasz swoją zdolność długiego pobytu w bazie.

No i rzeczywiście, obserwując jego wyprawy, widać, że nie oszczędza na organizacji. Jeśli nie ma pieniędzy, to woli poczekać rok i znaleźć środki, by opłacić dodatkowego portera, który przyniesie mu do bazy świeże owoce.

– Ja niczego nie wymyślam. To wszystko zostało wypracowane przez polskie i sowieckie ekspedycje.

– I zawsze miałeś tak dobrze? – pytam.

Odpowiada, że nie, że swoje przeżył. W zimie w 1997 roku podczas wyprawy z Anatolijem Bukrijewem na Annapurnę. W namiocie mieli tylko podstawowe

wyposażenie, ale duża baza była blisko, więc jeśli zamarzyłby się im komfort, to musieli zejść tylko 50 metrów. Dlatego najgorzej wspomina 1993 rok i swoją drugą zimową wyprawę. Pojechał wtedy z Czechami na Manaslu.

– Prawie niczego ze sobą nie mieliśmy. Zrozumiałem wtedy: nigdy więcej wyjazdów w takim stylu. Oszczędzając dolara, poświęcasz sukces – mówi.

A ja na to, że generalizuje, bo przecież polskie wyprawy też były biedne, a sukcesów nie brakowało. Włoch chwilę myśli, zgadza się, ale załaniania rachunkiem prawdopodobieństwa.

– Jedyną obowiązkową rzeczą według mnie jest trening. Teraz w bazie prawie wszyscy mają ze sobą modemy satelitarne, dobre aparaty, kamery. Ale dlaczego zapominają o treningu? Myślą, że sprzęt wystarczy im, by przywieźć dobrą historię. Żeby wspinać się w zimie na ośmiotysięczniki, musisz mieć w sobie silnik jak Ferrari, a nie jak Fiat – mówi. – Musisz być sportowcem, pracować, jakbyś przygotowywał się do igrzysk olimpijskich. Dzięki dobremu przygotowaniu byłem w stanie przeżyć na kilkunastu zimowych wyprawach.

– Ta jest ostatnia?

– Na ośmiotysięcznik tak, ale tylko jeśli mi się uda.

Używam nowego środka, który wymyśliłem w nocy, rozmyślając, jak wydobyć ze wspinaczy prawdziwe słowa.

– Przyrzekasz? – pytam.

– Nie, bo mam jeszcze jedno marzenie. Chciałbym w zimie wejść bez tlenu na Mount Everest. W 1980 roku Krzysztof Wielicki i Leszek Cichy rozpoczęli tam erę zimowego himalaizmu. Może mógłbym zrobić coś wyjątkowego w momencie, gdy ta era się kończy? To jedyna rzecz, która mogłaby mnie jeszcze zmotywować.

Mówi, że to nie chodzi o to, że czuje się staro. Ma 49 lat, ludzie o kilkanaście lat starsi wspinali się w zimie na ośmiotysięczniki. Chodzi o tę kończącą się erę, o to, że do zdobycia oprócz Nangi w zimie zostało tylko K2.

– Wydaje mi się, że jesteśmy na końcu epoki podboju, którą zapoczątkowali Polacy. Potem był ten długi okres 17 lat, kiedy nikt nie zdobył w zimie nowego ośmiotysięcznika. Przerwaliśmy go w 2005 roku na Sziszapangmie z Piotrem Morawskim. Ale nasz czas się kończy, zostały dwa ośmiotysięczniki do zdobycia w zimie.

Wspomniał o Morawskim, a ja na sobie mam jego polar. Wyjazd pod Nangę organizowałem w ostatnim momencie, nie wszystko udało się załatwić. Zadzwoiłem do Olgi, licząc, że ma jeszcze kontakty i pomoże załatwić brakujące rzeczy. Nogi się pode mną ugięły, gdy powiedziała, że zaprasza do piwnicy. Dwie wielkie beczki z wyprawowymi rzeczami po Piotrze nie były otwierane od jego śmierci w 2009 roku. Olga powiedziała, że może nadszedł moment, by to zrobić i by się jeszcze komuś przydały. „Ale kombinezonu ci nie dam” – powiedziała, uśmiechając się i spoglądając na czarno-żółty strój, w którym jej mąż zdobył Sziszapangmę.

– Zima na ośmiotysięcznikach się kończy? – spytałem Włocha.

– Nie. Pewnie niedługo ktoś spróbuje zdobyć wszystkie ośmiotysięczniki w zimie, poprowadzić o tej porze roku nowe drogi. Może nadejdzie czas wielkich, zimowych trawersów oraz zimowych wypraw na szczyty siedmiotysięczne? Jeśli uda mi się wejść na Nanga Parbat, to będę bardziej niż szczęśliwy. Cztery ośmiotysięczniki w zimie to

by było coś. Mając to wszystko w głowie, przeanalizowałem swój wiek.

Cztery dziewicze wejścia na ośmiotysięczniki w zimie, tego jeszcze nikt nie zrobił. Kukuczka, Wielicki, Berbeka mają po trzy.

– A potem emerytura?

– Gdzie tam. Wywodzę się z technicznej wspinaczki i chciałbym do niej wrócić. Jest tyle niezdobytych siedmiotysięczników, tyle nowych dróg do poprowadzenia. To mój plan na kolejne pięć lat. Nie będę musiał spędzać w bazie trzech miesięcy, tyle cierpieć i szukać tak dużych pieniędzy.

Nowa droga na siedmiotysięczniki nie brzmi tak dobrze jak pierwsze zimowe wejście na ośmiotysięcznik.

– Znajdziesz na to sponsorów?

– Nie wiem, jak jest w Polsce, ale po 30 latach rozumiem, czego chcą wielkie firmy na świecie. Kontrakt z La Sportivą podpisałem w 1985 roku, od dawna współpracuję z The North Face. Wymagają ode mnie dobrej historii, która może być dla kogoś inspiracją. To wcale nie musi być opowieść o szczycie.

Plan wygląda następująco: wszystkie ośmiotysięczniki zostały już dawno temu zdobyte w lecie, niedługo ten proces dokona się w zimie. Będzie potrzebny ktoś, kto zainspiruje kolejne pokolenie himalaistów.

– Jest wielu silnych, młodych wspinaczy, którzy świetnie radzą sobie na siedmiotysięcznikach. Mam na myśli Davida Lamę i Hansjörga Auera. I oni już mają wpływ na nasze środowisko – powiedział Moro.

– I ty, starszy facet, chciałbyś im pomóc napisać historię i rozpocząć nową erę?

Odpowiedział, że wcale nie trzeba jechać na ośmiotysięcznik, żeby zrobić coś wielkiego. Na Ziemi jest wiele małych planet, które jeszcze nie zostały odkryte. W ilu miejscach nie postawiliśmy jeszcze stopy? Himalaizm czeka na swoich Neilów Armstrongów.

– Siedmiotysięczniki to arena przyszłych, świetnie wyszkolonych technicznie wspinaczy.

A może pójdę w stronę wspinaczki szybkościowej? Ueli Steck pokonał południową ścianę Annapurny w 28 godzin. Nieźle, nie?

– A co z K2 w zimie? – pytam.

Nic się nie zmieniło. Moro opowiada tę samą historię, którą powtarza od lat: jego żona miała sen, w którym Simone umierał na K2. Więc obiecał jej, że tam nie pojedzie. Są w końcu inne góry.

– Pomysłów mi nie brakuje. Wszystko zaczęło się od inspiracji polskimi gigantami, himalaistami z lat 80. Teraz takich wspinaczy już nie ma. Nowa generacja zimowych himalaistów, do której się zaliczam, nie jest tak twarda. Ale to chyba dobrze, że próbujemy nawiązać do tamtych czasów, do tamtej mocy. Ile lat ma teraz Krzysztof Wielicki?

– 66.

– Podaj przykład innego sportu, w którym młode pokolenie inspirowane jest kimś, kto ma 66 lat.

No i rzeczywiście, kiedy pójść na boisko i zapytać grającego w piłkę chłopca, na kim się wzoruje, to odpowie pewnie, że na Leo Messim, a nie, że na Pelem. Argentynczyk grający w FC Barcelona ma 28 lat.

– W alpinizmie właśnie to jest niezwykle. Mamy czasem różne opinie, różne pomysły, różne definicje stylu, ale nasz szacunek do starej generacji nigdy nie zniknie. Sport to teraz tylko zarabianie pieniędzy i szukanie sławy. Brakuje w tym pamięci o przeszłości, o całej gałęzi kultury – mówi Moro.

I w swoim stylu uderza w polską dumę, mówiąc, że projekt Artura Hajzera, który wznowił u nas program zimowego himalaizmu, był czymś więcej niż tylko wskrzeszeniem dyscypliny sportu.

– Powinniście być z tego dumni, bo to przypomniało, że niezbyt bogaty kraj potrafił zaślanać w świecie czymś wyjątkowym. Minęło wiele lat, zmienił się styl, wspinacze są inni, ale kiedy mówimy o zimowym himalaizmie, to prawie zawsze najpierw pada słowo: Polska.

– Ale co właściwie dla przeciętnego człowieka w Polsce ma znaczyć zimowy himalaizm? Dlaczego ma być z tego dumny? To abstrakcja – mówię.

– To piękna metafora, że ludzie z małego kraju bez wysokich gór mogą być w czymś najlepsi na świecie. Dlaczego akurat wy byliście najmocniejsi w górach? Musiało być w was coś więcej, czego nie dało się nauczyć np. w o wiele wyższych Alpach.

Kiedy mówi o zimowym himalaizmie, to zawsze powtarza, że zainspirowali go Polacy, a teraz sam chce być inspiracją dla kogoś. Być może zapełnić tę olbrzymią dziurę, która powstała w Polsce po śmierci Kukuczki.

– Przez lata nikomu to się nie udało. Może zadanie było zbyt trudne? O to walczył Artur Hajzer – zastanawia się Włoch.

Po śmierci Berbeki i Kowalskiego na Broad Peak program Hajzera stracił głównego sponsora. Moro mówi, że bardzo przeżył te wydarzenia.

– Patrzyłem na to, co dzieje się w Polsce, i nie mogłem uwierzyć, że lwia część środowiska nie robi nic innego, niż tylko się kłóci. Kto zawinił? Dlaczego zginęli? Kłócili się, zamiast pomyśleć, że ta tragedia powinna dać polskiemu wspinaniu kopa. To była śmierć ludzi, którzy próbowali zapisać się w historii, a nie zapisać po prostu kartkę papieru. Kiedy papieżem był Karol Wojtyła, każdy czuł się dumny, że jest Polakiem. Teraz mamy innego papieża, a wciąż wspominacie Jana Pawła II. Myślę, że gdybym żył w Polsce w erze Kukuczki, Wielickiego, Kurtyki, Rutkiewicz, to byłbym dumny z mojego obywatelstwa. A teraz o to tak trudno. Może powrót do tradycji alpinizmu jest sposobem?

Na to ja, że tradycja już nie ta, wyprawy narodowe nie te. Słowem, czasy inne i inni bohaterowie.

– No dobra, ale są Mackiewicz i Klonowski. Kiedyś razem, teraz wspinają się osobno, ale inspiracją dla młodego pokolenia wciąż mogą być – kontruje Włoch.

– Nie są profesjonalnymi wspinaczami. Nie żyją z tego.

– A ja ich podziwiam. Bo nawet bez pieniędzy, bez prowadzenia się jak zawodowiec są w stanie kontynuować tradycję. Pamiętam, kiedy po raz pierwszy spotkałem Tomka i Marka w 2011 roku. Mieli wtedy mały namiot, jakiego używa się do ataku szczytowego. Mieszkali w nim w bazie! Ogrzewali się małym palnikiem.

– A nie widzisz tutaj jakiegoś przekłamania? – pytam. – Czy to sprawiedliwe, że Mackiewicz, który nie zdobył żadnego ośmiotysięcznika, w Polsce staje się tak popularny jak Adam Bielecki, który jako pierwszy w zimie wszedł na Gaszerbrum I i Broad Peak?

- Dotykamy tutaj bardzo delikatnej sprawy. Jedna osoba może być źródłem inspiracji, a druga wiedzy, edukacji. Żeby zrozumieć różnicę, można przywołać przykład: wolałbyś, żeby twoim synem był Tomek czy Adam? Nie chcę mówić, co jest lepsze. Tomek śni swój sen od sześciu lat tak intensywnie, że jest gotów dla niego przez pół roku mieszkać w samochodzie i znaleźć się na liście dłużników, bo nie jest w stanie zapłacić podatków. To może być inspiracją dla ludzi z mentalnością hipisów, ale trudno nazwać jego przykład edukacyjnym.

Pewnie najlepiej byłoby znaleźć coś pośrodku. Staraj się być niezależnym, wolnym, otwartym na wszelkiego rodzaju pomysły, ale z drugiej strony zachowuj się jak profesjonalista. Jako ojciec chciałbym, żeby Tomek przestał palić, więcej biegał i stał się przykładem dla innych.

W społeczeństwie są dwa rodzaje ludzi: jednym zależy na stabilności, szacunku, dobrym wizerunku. Drudzy to hipisi, którzy nie chcą być zamknięci w normalności – mówi Włoch.

A alpinizm to lustro, w którym odbija się społeczeństwo.

- Ty należysz do pierwszej grupy – stwierdzam.

- Ale nie odrzucam drugiej. Tomek prawie nic tutaj nie ma, czasem prosi o jakieś rzeczy. I wtedy trzeba być na tyle uprzejmym, żeby zrozumieć, że on potrzebuje twojej pomocy.

Właśnie coś mi wpadło do głowy. Może jednak przykład Tomka jest edukacyjny. Skoro jesteś w stanie spać w samochodzie, przyjeżdżać tutaj sześć razy z rzędu, to znaczy, że masz ogromne pokłady samozaparca. Nawet bez pieniędzy, sponsorów, wsparcia środowiska wspinaczkowego jesteś tak mocny, że próbujesz wejść na Nanga Parbat w zimie. Chyba nie było kogoś takiego jak Tomek w czasach Kukuczki – zamyślił się Moro.

- Jeden przykład przychodzi mi do głowy.

- Myślmy o tym samym. Ale Wojtek Kurtyka to była jednak inna osobowość, naprawdę wielki wspinacz i filozof. Jeśli coś ich łączy to podejście do życia. Obaj są anarchistami, nie idą w życiu na kompromisy. Styl Tomka przypomina mi to, co robi się na wielkich ścianach, gdzie wspinacz jest w górze przez 20 dni i codziennie porusza się o kilkadziesiąt metrów. Na Cerro Torre, Trango Tower to dobry pomysł, ale nie na ośmiotysięczniku w zimie. Taki styl może okazać się rosyjską ruletką.

Ja na to, że racja, ale jednak to działa, bo Mackiewicz kolejny rok z rzędu przekroczył tutaj 7000 metrów.

- Na pewno mocną stroną Tomka jest umiejętność przeżycia. Jest w stanie przez sześć dni przesiedzieć samotnie zakopany w jamie śnieżnej. Niesamowite, ale to sztuka przetrwania, a nie alpinizm. Chcę być dobrze zrozumiany – ja to absolutnie szanuję.

- A co z pomysłem Adama Bieleckiego i Jacka Czecha, żeby zaatakować Nanga Parbat w stylu alpejskim? – podpytuję.

- Nanga Parbat jest chyba najgorszą górą na taką próbę. Na Broad Peak, Gaszerbrum I i II byłoby im łatwiej. Droga Kinshofera zawsze wygląda podobnie w zimie – jest pełna lodu. To nie są warunki sprzyjające stylowi alpejskiemu. Ale sam pomysł, żeby zaaklimatyzować się wcześniej i przyjechać tutaj, był dobry. To coś nowego. Widać, że himalaizm się zmienia. Marzenia i ambicje są te same, ale sprzęt, ludzie i styl inni – powiedział Włoch.

W latach 80. nie do pomyślenia było, że wspinają się tylko dwie osoby i że na ośmiotysięcznik jedzie kobieta, a co więcej, wspina się z mężczyzną.

– Dlatego bardzo cieszy mnie to, że Tomek próbuje zdobyć tę górę z Elisabeth, a ja robię to z Tamarą. Okazuje się, że zimowy himalaizm nie jest zarezerwowany dla mężczyzn. Tamara jest silna jak chłop, była mistrzynią świata w skialpinizmie. Ma mocny silnik. Dzielę się z nią doświadczeniem. Kiedy jestem zmęczony i proszę ją, żeby przetarła szlak, ona robi to bez problemu. Nie trzyma się mojej ręki i nie prosi, żebym podjął decyzję. Nie mówi, że jest głodna i że zmarła. W Polsce macie mocną skialpinistkę Annę Figurę. Jest ładna, silna, utalentowana. Czemu nie zaprosicie jej do programu himalajskiego? Przed wyprawą na Nanga Parbat nikt we Włoszech nie słyszał o Tamarze. Teraz dostaje dziennie setki maili od młodych dziewczyn.

– Co jej piszą? – pytam.

– Że chcą być jak ona. Pytają, jak zacząć, chcą coś zrobić, a nie tylko słuchać polityków i socjologów, którzy mówią, że nowa generacja jest słaba i nie potrafi marzyć.

– Co zrobić, żeby to zmienić?

– Zainwestować w nową generację. Jednym ze sposobów jest pomóc im marzyć, czyli żyć inaczej niż wszyscy. Zaprosz ładną dziewczynę w góry. Wtedy staną się one w społecznej świadomości miejscem, gdzie chodzą nie tylko ludzie brzydki czy pomyleni. Staną się miejscem, w którym dokładnie jak w mieście, można spotkać miłych, znaleźć dziewczynę – mówi Moro. I dodaje: – Nie bądźmy ślepi jak politycy i socjolodzy. Nie możemy inspirować wszystkich do bycia lekarzami, prawnikami i bankierami, którzy kiedyś powiedzą, że odnieśli sukces, ale mają gładką skórę i nigdy nie zaznają prawdziwej przygody. Nie dowiedzą się, że góry są formą wolności.

Bije od niego witalność i optymizm. Zawsze imponowało mi w Moro, że skupia się w 100 proc. na rozmowie. Nie myśli o niczym innym. Pierwszy raz rozmawialiśmy kilka lat wcześniej w kawiarni w Łądku-Zdroju. Może byliśmy w połowie, gdy nad stolikiem stanęli Janusz Majer i Aleksander Lwow. Pierwszy, kierownik wypraw z lat 80., jest teraz szefem programu Polskiego Himalaizmu Zimowego. Lwow to wspinacz z lat 80., który do ostatniego obozu towarzyszył Berbeci podczas zimowej próby na Broad Peak w 1988 roku. Dyktafon leżał na stole, ja kątem oka widziałem uśmiechnięte twarze Majera i Lwowa, ich sylwetek wiszących nad nami nie mógł nie zauważyć również Moro. Ale był w trakcie długiego wątku, więc dobrą minutę go kończył. Następnie wstał, wyściskał się z nimi. Powiedział, że ma wywiad i że pogadają później. Wszystko trwało może z dziesięć sekund. Potem usiadł i rozmawialiśmy dalej.

Widać, też po nim, że wierzy bardziej niż dwa lata temu, kiedy z Davidem Göttlerem wspinali się drogą Schella po stronie Rupal.

– El Niño zmienia pogodę. Nie pamiętam tak długich okien. Żałuję, że straciłem kilka dni temu szansę, by zaatakować szczyt. Ale spokojnie, do końca zimy jeszcze ponad 50 dni. Wiele może się wydarzyć. Mamy jakieś 20–25 proc. szans.

Dwa lata temu mówił co najwyżej o 10 proc.

– Ciągłe jestem wierny pewnej strategii: wolę być jak śnieżna pantera niż jak tygrys. W życiu nie powinieneś ścigać sukcesu. Bądź ostrożny i ciągle w gotowości na szybki atak, a wyczekasz swoją szansę. Chociaż czasami trzeba też zmienić koncepcję.

- Co masz na myśli? – pytam.
- Alex zaproponował nam wspólną wspinaczkę na drodze Kinshofera. Sam nie wiem, co mu odpowiedzieć. Wykonali najtrudniejszą pracę, już prawie wszystko gotowe, by po prostu wejść na szczyt. Nie wiem, czy to byłoby w porządku, gdybyśmy do nich dołączyli.
- Dlaczego ci to zaproponował?
- Też nie wiem. Może liczy na moje doświadczenie? Ale teraz bardziej martwię się o Tomka. Napisał, że idą w górę, prawda?
- Wczoraj. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, to dziś powinni już być powyżej 7000 metrów – odpowiadam.
- Niestety, będą musieli wracać pod wiatr. Zasypie im szczeliny.

* * *

Scena jest dalej pusta, ani śladu po światłach czołówek na płaskowyżu pod szczytem. Wpatruję się tam od kilku minut, aż oczy łzawią i co chwilę wydaje mi się, że to już, że w końcu ich widać, ale to tylko podły żart księżycy. Rozświetla dziś Nangę, a ta odpowiada mu rozbłyskami lodu, które przypominają światła latarek zagubionych gdzieś tam wysoko wspinaczy.

- Będzie im bardzo trudno – mówi Daniele, który na moment wyszedł z ciepłej mesy.

- Ile może zająć pokonywanie piramidy szczytowej?

- Myślę, że z osiem godzin. My byliśmy 300 metrów pod szczytem, mieliśmy niezłe tempo, ale i tak jeszcze przed nami było jakieś pięć godzin wspinaczki. Tylko że oni pod kopułę dojdą inną drogą. Z wysokości 7700 metrów będą musieli zejść jakieś 250 metrów – mówi Włoch.

To oznacza, że w drodze powrotnej trzeba podejść 250 metrów.

Idziemy się zagrzać. Alex i Ali piją herbatę. Zaczyna się narada.

- No to co, wychodzimy dziś w nocy? – mówi Alex.

- Ja myślę, że powinniśmy ruszyć koło północy – mówi Daniele.

- Będzie zimno, wyjdźmy trochę później – proponuje Ali.

- Ruszamy o 3.30. Pobudka o 3. Ja wstanę 3.15, bo kwadrans mi wystarczy, żeby się przygotować – decyduje Alex.

I koniec. Zbierali się do tej rozmowy kilka dni. Po 15 sekundach jest po wszystkim. Nikt nie potakuje, nikt nie zgłasza sprzeciwu. Zapadają się w swoje czynności. W nocy ruszą bezpośrednio do obozu II, prześpią się tam, a potem spróbują założyć obóz III na wysokości 6700 metrów.

* * *

Ucisk w brzuchu budzi mnie w nocy z taką mocą, że pośladki swoimi mięśniami tu już nie pomogą. Przez moment nawet myślę, żeby wstać i wysikać się na zewnątrz, ale po rozsunięciu śpiwora rezygnuję. Potem żałuję, bo najwyższe ciśnienie sprawia, że nie trafiam do butelki i po paru minutach w kilku miejscach w namiocie wyrastają lodowe wężyki.

ROZDZIAŁ XIX

piątek, 22 stycznia 2016 roku

Wstali o 3, o 3.30 zjedli śniadanie, o 4 wyszli z bazy. Niecałe dwie godziny później byli w obozie I na wysokości 4800 metrów. Założyli raki i zaczęli się wspinać w lodowej rynnie. Ale nie tylko Trikon, Nardi i Sadpara ruszyli w górę. Didar, kucharz włoskiej wyprawy, siedział na ławce przed kamiennym domkiem, w którym znajdowała się kuchnia. Pulchny, uśmiechnięty, dzień wcześniej jęczał, że tęskni za żoną, i pół żartem, pół serio pytał, czy nie mógłby zejść do niej na kilka dni.

Powiedział, że Simone i Tamara są w górze.

– Jak to w górze? – zdziwiłem się. – Mieli być przez trzy tygodnie w bazie, za parę dni nadchodzi jet stream.

– Ale wyszli w górę asekurować Tomka i Elisabeth. Simone się martwił, czy tamci będą mieli siły wrócić po ataku szczytowym.

Biegnę do mesy, 20 minut rozmrażam komputer nad palnikiem, odpalam internet. Ahmad Arslan, Pakistańczyk, który miał się wspinać z Tomkiem i Elisabeth, ale z jakiegoś powodu szybko opuścił bazę pod Nanga Parbat, pisze, że Polak i Francuzka są na wysokości 7400 metrów. Jest więc z nimi jakiś kontakt? Próbuję dzwonić do Tomka, ale telefon satelitarny nie odpowiada.

Do mesy wchodzi wysoki Pakistańczyk z czarną brodą i złotymi okularami o cienkich oprawkach na nosie. Na szklach są jeszcze naklejki, które mają udowodnić, że to Ray-Bany.

Siada na krześle, długo nic nie mówi. W końcu pyta:

– Znasz Tomka?

– Od czterech lat.

– Jestem jego przyjacielem, pomagam mu w wyprawie. On nie ma pieniędzy, ale ma przyjaciół. Pisał w nocy, że jest bardzo zimno, ale czują się dobrze i atakują drogą Buhla – duka po angielsku.

– Drogą Buhla? Napisał tak do ciebie? – sprawdzam, czy się nie przesłyszałem.

– Tak.

– Masz telefon satelitarny?

– Tomek tak napisał – mówi bardzo wolno, opuszcza trochę szkła. Oczy ma jakieś dziwne, dalekie, spogląda przez mgłę. Robi się nieswojo. Patrzy spod opuszczonych okularów wzrokiem Gary’ego Oldmana z *Draculi* Francisa Forda Coppoli. Po czym wstaje i wychodzi.

Jeśli ma rację, to Tomek i Elisabeth nie będą schodzili 250 metrów i dołączali do obozu IV na drodze Kinshofera, tylko z wysokości 7800 metrów pójdą wariantem pierwszego zdobywcy Nangi. Co to oznacza? Po pierwsze, zobaczymy ich dopiero wtedy, gdy staną na wierzchołku. Po drugie, przed nimi droga technicznie trudniejsza. Po trzecie, w sumie to nie wiadomo, ile im to zajmie. Buhl z wysokości 7800 metrów potrzebował pięciu godzin i dawki pervitinu. Do szczytu dotarł na wpół świadomy,

a wrócił z niego z ledwie tłącą się iskierką życia.

Droga Buhla została powtórzona zaledwie raz, w 1971 roku przez czeską wyprawę.

* * *

Baza znajdowała się już we władaniu słońca, kiedy do mesy wpadł Atta Ullah. Nie musiał majstrować przy zamku, bo przez te kilka godzin wyłączyliśmy grzejniki i dawaliśmy cieplejszemu powietrzu wdzierać się do środka.

– Szybko, twój kolega połączył się przez radio.

Wybiegłem za nim, potykając się o przydeptane sznurówki. Tomek uruchomił radio? Co tam się dzieje?

Przed mesą stała Igone. W rękę trzymała krótkofalówkę. Nasłuchiwała.

– Daniele rozmawia z Markiem Klonowskim – powiedziała, ale na razie słychać było tylko trzaski.

Kompletnie nie wiedzieliśmy, co się działo z wyprawą Nanga Dream działającą po stronie Rupal. Jedynym źródłem informacji były ich rzadkie wpisy na Facebooku.

Po chwili radio zaskrzeczało wesołym głosem Marka.

– Tu Marek, jesteśmy na 7000 metrów.

– Jak się czujecie? – do rozmowy włączył się Alex.

– Dobrze, wszystko dobrze – zdążył powiedzieć Klonowski i rozmowa się ucięła.

A więc udało im się, dobili do granicy 7000 metrów, chociaż wielu w to nie wierzyło. Łączność była dowodem – musieli znaleźć się blisko miejsca, gdzie ściana Diamir spotyka się ze ścianą Rupal. Niżej fale radiowe nie są w stanie przebić się przez górę.

– Co teraz? Z kim jest Marek? – spytałem.

– Zanim przyszedłeś, zdążył powiedzieć, że wiedzą o załamaniu pogody i zamierzają niedługo schodzić – Igone wyłączyła radio.

– Był z kimś czy sam?

– Chyba z kimś, ale nie jestem pewna. Odezwał się też Simone. Powiedział Didarowi, że drogę między obozem II a III blokuje kamienie.

Pobiegłem do Didara. Powiedział, że Włosi spróbują obejść przeszkodę, w sobotę chcą dotrzeć do obozu III i tam czekać na Mackiewicza i Revol.

Na drodze Kinshofera wszystko szło zgodnie z planem. Alex, Daniele i Ali około 15.30 dotarli do obozu II na wysokości 6100 metrów. Na początku musieli torować drogę w głębokim śniegu, który zasypał liny poręczowe. Każdy z nich niósł na plecach po 200 metrów liny i dwie niewielkie butle z gazem. Dla Alexa i Alego miała być to trzecia noc na tej wysokości. Nardi powyżej 6000 metrów jeszcze w tym roku nie spał.

* * *

Jeszcze przed chwilą szczyt i okolice miały ledwo zauważalny odcień różu. Przyzwyczailiśmy się, że to w subtelny sposób zapowiada zbliżającą się noc. Tam, gdzie skały kładły cień, robiło się jak co dzień – ciemno, coraz ciemniej. Ale pół śnieżnych i kopuły szczytowej nie miało co przysłonić i to tam poszła pierwsza iskra. Zimny, żółty kolor się ociepiał. Po kilkunastu minutach żółć zgęstniała na tyle, że pola śnieżne

i kopała szczytowa zaczęły przypominać górę złota. Pożar trawił górne partie, nabierał intensywności. Trwało to chwilę, ale w końcu napływająca ciemność tłumiała płomień. Odbierała barwę, zalewała zimnem.

Dlaczego akurat dziś, myślałem, oglądamy takie cuda? To dobry czy zły zwiastun? Złoto dla zuchwałych, którzy właśnie atakują szczyt?

* * *

Było już ciemno, kiedy Simone i Tamara weszli do bazy. Wcześniej podali przez radio, że nici z planu dotarcia do obozu III, bo wzmaga się wiatr.

Włoch wyciągnął telefon i zaczął przeglądać SMS-y.

– Tomek pisał do mnie z pytaniem, czy nie mam może prognozy pogody – powiedział Moro. – A to ostatni SMS od Tomka – obrócił ekran telefonu w moją stronę.

„Jesteśmy blisko obozu IV na klasycznej drodze, ale trochę bardziej na lewo. Próbuje się ogrzać. Jest cholernie zimno. Spróbujemy wstać o 3 w nocy i czegoś spróbować. Jutro wracamy”.

– Rano był tu Pakistańczyk, który czeka na Tomka, i powiedział, że mają atakować drogą Buhla. Czyli to jednak nieprawda – powiedziałem.

– To dobrze, bo tam jest trochę technicznej wspinaczki. I dużo cienia – odpowiedział Moro.

ROZDZIAŁ XX

sobota, 23 stycznia 2016 roku

Noc minęła szybko. Bez ociągania wyskoczyłem z namiotu. Nikogo nie było w pobliżu, może jeszcze spali. Siku, śniadanie, dochodzi 10. Idę na zwiad. Simone kręci się przy mesie Alexa, Daniele i Alego.

– Jakież wieści? – pytam na dzień dobry.

Włoch kręci przecząco głową. Tomek nic więcej nie przysłał.

– Wczoraj im napisałem, że wiatr się zmienia i silne podmuchy mogą nadejść szybciej. Nigdy nie mówię Tomkowi, co ma robić. Zresztą nikomu nie mówię. Nie chcę, żeby później ktoś mi powiedział, że przez moje rady nie zdobył szczytu – Moro zerknął w kierunku wierzchołka. Chmur, które odpowiedziałyby nam na pytanie, czy tam wieje, wciąż nie było.

– Chodź, pójdziemy do Igone po lornetkę i spróbujemy ich wypatrzeć.

Dziewczyna i Pakistańczycy siedzieli w kuchennej części mesy. Grzali się nad palnikami. Dostaliśmy lornetkę, ale była zamarznięta. Simone poprosił Pakistańczyków o pomoc. Po pięciu minutach nad palnikiem szkło stało się przejrzyste.

Moro długo wpatrywał się w kopułę szczytową, w końcu oddał przyrząd.

– Mam wadę wzroku, ty popatrz.

Więc patrzę, staram się nie mrugać, bo wydaje mi się, że lada chwila wyłonią się zaskaki i pojawią na polach śnieżnych, a tego nie wolno przegapić. Oczy łzawią, a łyżki mrożą policzki.

– Jeśli wyruszyli o 3 w nocy, to powinni być już na płaskowyżu.

Ale ich nie ma. Ani śladu po Mackiewicz i Revol. Co mogło się stać?

– Może już zawrócili – zastanawia się Moro. – Może skończył im się gaz? Znam już trochę Tomka, on nigdy nie mówi, że jest zimno. Że złe warunki, że wieje – to tak. Ale nie, że jest zimno. A wczoraj mi tak napisał.

Przestępuje z nogi na nogę, butem wierci w śniegu dziurę. Po chwili mówi, że Tomek i Eli mają czas do 14. – Wtedy ma zacząć wiać. Nawet 60 km/godz. Od kilku dni temperatura spada. Wczoraj na szczycie było jakieś minus 44 stopni Celsjusza. Dziś już jest około minus 50. A to jeszcze bez wiatru.

Jest po 11. Rozmrażam komputer, Pakistańczycy po raz kolejny dokonują małego cudu i uruchamiają generator. Spisuję, co powiedział mi Włoch. Już mam wysłać tekst do redakcji, kiedy Moro wchodzi do mesy.

– Mogę? Tomek napisał. Jest za zimno. Schodzą. Jak dobrze pójdzie, to jutro możemy spodziewać się ich w bazie.

Zakończyła się wyprawa Adama i Jacka, kończy się Tomka i Elisabeth, wygląda na to, że po drugiej stronie góry w dół niedługo zejdzie Nanga Dream. Rekordowa zima pod Nanga Parbat staje się kameralna. Na placu boju zostanie za moment pięcioro wspinaczy.

* * *

Jest po 15. Słońce niedługo schowa się za granią. Chmur wciąż nie ma. Mój namiot rzuca cień na wielki kamień. Siedzę na nim, kokosowe ciastka popijam herbatą. Nagle jedno wypada mi z dłoni i ląduje w strefie cienia. Sięgam po nie i tak wpadam na eksperyment, który daje obraz tego, czym różni się dolina Diamir od doliny Rupal. Podnoszę ciastko, odkładam je i kilka razy pokonuję dłonią granicę między światłem i cieniem. Jakbym wkładał rękę do lodówki i wyciągał ją do ciepłej kuchni.

Kilka godzin później docierają informacje od Alexa. Ruszyli z obozu II o 8 rano i do 17 walczyli o obóz III. Jakoś przetrwali dwie pierwsze godziny, jeszcze bez słońca, i szli w górę po linach poręczowych, które wcześniej położyli. Problem zaczął się na 6500 metrów, gdzie skończyły się poręczówki. Trikon przekazał przez radio, że lód był tam kompletnie niebieski, bardzo twardy i mieli problemy z wbijaniem raków. – Nasze paznokcie są wykończone – powiedział Bask. Ale udało się. Obóz III stoi, droga jest zaopatrzona. Po robocie zeszli do obozu II na 6100 metrów. Postanowili spać niżej, bo najnowsze prognozy mówią, że w ciągu doby może już wiać z prędkością 160 km/godz. W sobotę powinni wrócić do bazy. Wszystko wskazuje na to, że zamieni się ona w dworcową poczekalnię. Mniej więcej wiadomo, kiedy przyjedzie pociąg – jet stream ma opuścić Nangę po pierwszym tygodniu lutego. Tylko dokąd ten skład ich zabierze i kto do niego wsiądzie?

* * *

Ktoś wali w bęben. Śpiew niesie się na dobre kilkadziesiąt metrów. Słysząc go pod mesą Alexa, Daniele i Alego. Wychodzę z ciepłego namiotu. Noc jest gwiazdzista. I zimna, takiej jeszcze nie było. O 18 Igone przyniosła termometr. Na zewnątrz już wtedy było prawie minus 20 stopni Celsjusza. Potem długo rozmawialiśmy z Pakistańczykami. Wypytywali, widocznie rozluźnieni brakiem wspinaczy w bazie, o realia seksualne w Europie. Czy też trzeba chodzić na schadzki do lasów, czy niepostrzeżenie spotykać się w wybranych hotelach? Czy można mieć wielu partnerów w życiu, a kobiety mogą odmawiać seksu swoim mężom?

Źródło dźwięku jest w moim obozie. Namiot kuchenny aż trzęsie się od drgań. W środku kucharz, pomocnik kucharza i dwóch policjantów siedzą dookoła gazowego palnika. Kucharz wali w pusty kanister po benzynie i intonuje kolejne piosenki. Reszta klaszcze i śpiewa. Tylko policjant ma zamknięte usta, ale się uśmiecha. Asan, ten brzydszy, na którego dobrych oczach oparłem kilka dni wcześniej małe kłamstwo. Siedzimy tak z dobrą godzinę, refreny są łatwe, więc próbuję się dołączyć. Kładę się po 21 z myślą, że rano zobaczę Tomka.

Zasnąłem przy Floydach.

*You pick the place and I'll choose the time
And I'll climb
The hill in my own way
just wait a while, for the right day
And as I rise above the treeline and the clouds*

I look down hear the sound of the things you said today^[26]

To o nim?

* * *

Przyszedł o 23. Sześć godzin przed trzęsieniem ziemi. Nie czekaliśmy na niego, bo kilkanaście godzin temu był trzy kilometry wyżej. W półśnie słyszałem, jak chodzi koło namiotu. Mróz potęgował trzask butów, a sen ustępował.

Z dbałością o dobre obyczaje przykucnął i zanim rozsunął namiot, spytał:

– Dzień dobry, czy dobrze trafiłem?

Nie pamiętam, co odpowiedziałem, ale pewnie coś w stylu, że dobrze, ale jaki mamy dzień, czy przespałem całą dobę, no bo przecież nie jesteś meteorytem i taki jeden Włoch, co zdobył już w zimie trzy ośmiotysięczniki, mówił, że nie ma szans, żebyś się dziś pojawił tu u nas dole.

Mogłem też po prostu powiedzieć, że cieszę się z tego spotkania, bo od kilku lat widzę, jak jedziesz po bandzie, i że co zimy zastanawiam się, czy nasza ostatnia rozmowa nie była ostatnią w ogóle.

– Cześć, Tomek, dobrze cię widzieć.

Wsunął kosmaty łeb do namiotu. Czerwoną jak burak twarz zakryła chmura ciepłego powietrza wypuszczonego z płuc. Światło latarki czołowej naświetliło dym i przez moment Mackiewicz wyglądał, jakby płonął.

Spytał, czy coś mam.

Bez ceregieli, wstępu. Bez historii o tygodniu spędzonym w zimie na zboczu ośmiotysięcznika, podstępach ludzkich i magicznych, lodowej jamie śnieżnej pantery. Pytanie poprzedził może łykiem ciepłej herbaty, ale nie zdążył jeszcze nic zjeść.

Więc gdy w końcu wszedł do bazy, to przyszedł się przywitać i od razu spytał, czy nie mam haszu. Nie miałem, jakoś mi do głowy nawet nie przyszło, by załatwiać, bo ledwo co łeb przestroił się na wysokość bazy. Na to on, że ma trochę, niewiele, ale wystarczy na tę noc. Wstałem, poszedłem obudzić kucharza, poprosiłem o ciepłą wodę. Odpaliliśmy gazową lampę i palnik. Po chwili Tomek wszedł do mesy.

– Czysto tu, ale pozwolisz, że nie będę ściągał butów – znów ten kulturalny ton.

Przyjrzałem mu się. Broda ta sama co zwykle, blond wpadający w rdzę. Twarz pełna zmarszczek, zmęczona, ale zadowolona. Oczy niebieskie, spokojne.

Kucharz przyniósł wodę. Próbowałem zedrzeć z kubka zamrożoną torebkę po herbacie, ale pękła. Wrzuciłem nową, przygotowałem jeszcze dwa inne kubki i zalałem wrzątkiem.

Nie chciał nic jeść, tylko pić. Rozkoszował się każdym łykiem, jakby dopiero co zsiadł z wielbłąda, a karawana po wielu dniach błędzenia po pustyni stanęła przy oazie.

– Na górze jest taki zacier, że masakra – powiedział.

– A stąd od trzech dni wydaje się, że pogoda jak żyłeta. Ani chmurki, nic.

– Na 7000 metrów strasznie wieje – zaczął opowieść, ale przerwał, gdy zauważył siedzącego obok kucharza. Wypytał go, czy aby nie ma haszu i czy jego kolega, który ma, już śpi.

Wszyscy śpią.

Nie przejął się, sięgnął do kieszeni podartego kombinezonu. Wyciągnął paczkę papierosów i małą czarną kulkę.

Spytał, czy pałę, bo on tylko po zejściu z góry i przed wejściem. Zaśmiał się.

Z papierosa wyciągnął tytoń, potem zapalniczką podgrzał kostkę haszu i skruszył odrobinę. Zmieszał z tytoniem, wszystko z powrotem włożył do bletki. Zapaliliśmy.

Zaczął sam, nie musiałem o nic pytać.

Powiedział, że w ogóle to nie chciał przyjeżdżać pod Nangę w tym roku, bo tylu ludzi w bazie. A sześć lat tutaj to jest, kurwa jakieś nieporozumienie.

– Co ty pierdolisz? – wyraziłem wątpliwość.

– Znaczący, wiesz, to, czego się tutaj nauczyłem, czego doświadczyłem, jest niesamowite. Nie da się tego zignorować – przyznał. Tylko ten cały himalaizm, kontynuował, jakieś zawiści, walki, krzyki.

Kilka dni temu były jego urodziny. Był tort, świeczki, wszyscy się zintegrowali i – jak mówi – cała ta nienawiść na chwilę gdzieś znikła.

– Nienawiść? – spytałem.

Na to on, że nie wie, o co dokładnie chodziło, bo jak tylko pojawili się w bazie, to Simone Moro miał wyłączyć router i założyć hasło. Potem Tomek powiedział, że w końcu działali na tej samej drodze co Włosi, ale nie było sytuacji, żeby to Włosi szli pierwsi i przetorowali w śniegu przejście. I że jak poszli z Eli zanieść rzeczy do obozu II, a było to tylko wyjście aklimatyzacyjne, to na dole rozpętało się piekło.

Pytam, jakie piekło, na to on, że ich kucharze zostali zaproszeni na kolację do Alexa, Daniele i Alego. No to chyba dobrze – mówię. On na to, że nie bardzo, bo normalnie to inni wspinacze mają miejscowych gdzieś i jak tylko wyłącza się kamera, to traktują ich jak gówno.

– Ja tego nie widzę.

Tomek przyznał, że może troszkę przesadza, ale sytuacja, w której Daniele bezinteresownie zaprasza jego kucharza na kolację, się nie zdarza. No więc oni go mieli nakarmić, wypytać o Tomka i Eli, ich plany, a on nawet słówka nie pisał. A nawet gdyby pisał, to co to za różnica?

– Nic nie pisał? – pytam, a światło gazowej lampy się zmienia, nabiera intensywności. Zimna biel palącego się materiału ociepla się, jakby ktoś wprowadził do środka kilka łyżeczek musztardy. Albo raczej miodu, bo gdy światło wlewa się przez oczy do ciała, a dym przez usta do płuc, to robi się przyjemnie jak po dobrym deserze.

Tomek jest pewien, że nie. Podobno kucharz powiedział tylko, że jak zna Tomka, to on już z góry nie wróci, tylko od razu pójdzie do szczytu.

To możliwe, bo tak już było. Trzy zimy wcześniej poszedł w górę i wrócił po trzech tygodniach.

– Masz może jakąś muzykę? – pyta Czapkins.

Komórka ma niezły głośnik, poza tym niewiele nam potrzeba. Matisyahu tłumaczy nam, że jesteśmy niewolnikami siebie samych i że powinniśmy pozbyć się ego^[27].

Tomek zaciąga się i znów przerywa opowieść, mówiąc, że Allah bless all people, in Chilas, in Pakistan. Niech Allah pobłogosławi ich wszystkich i ma w opiece, bo życie jest bardzo krótkie. Tak jak krótki jest joint, który się kończy, i dzieląca nasze obozy

droga, którą przemierzamy po chwili na gumowych nogach, w lodowatej nocy, nie rozmawiając ze sobą nie dlatego, że już nic nie ma do powiedzenia, ale dlatego, że trzask tysięcy cząsteczek lodu ugniatanych pod butami jest tak głośny, że nic nie słychać, a powietrze tak zimne i kłujące, że trzeba byłoby się poświęcić i wciągnąć go bardzo dużo, aby wydać z siebie dźwięk mocniejszy od zgrzytu podłoża. Idziemy więc, milcząc, droga jest krótka, ale wydłuża się w nieskończoność, nogi same niosą, serca dudnią, a kłęby dymu nasączone światłem czołówek spowijają głowy, tworząc wokół nich miodowe hełmy.

Mijamy obóz Alexa, mijamy wielkie igloo Simone i wybudowaną za jego pieniądze chatkę, w której je posiłki. Wchodzimy do skromnej mesy, w której za połowę podłogi robi śnieg, a dalej niedbale porzucane są karimaty. Mesa jest inna niż moja. To pojedynczy namiot, cienka płachta, więc trudno ją ogrzać. W kącie, w cieniu, siedzi malutka kobieta. Pije herbatę i się uśmiecha. Witam się nieśmiało, nagle trzeźwiejąc, bo skrępowanie jest mocniejsze od haszu. Czuję się jak intruz. A to dlatego, że oni przez tydzień w górze zamrażali się, walczyli o każdy metr i muszą być przeraźliwie zmęczeni. O ile z Tomkiem się znamy, to dla niej jestem kompletnie obcy.

Ale Eli przyjmuje mnie, jakbym był dawno zapowiedzianym gościem, a ona miłą właścicielką pensjonatu czekającą na mnie w środku nocy tylko dlatego, że bardzo lubi gości i nieważne, że akurat teraz jest potwornie zmęczona. Pyta, a ja odpowiadam, że mam się dobrze, ale niech lepiej ona opowie, jak się ma.

Mocniej chwyta kubek z herbatą i zaprasza do kąta, gdzie karimat jest więcej i nie ciągnie tak od śniegu.

– Tam było przeraźliwie zimno – mówi.

Tomek siada na skraju śnieżnej podłogi i ściąga but, a potem skarpetkę. Duży palec wygląda, jakby ktoś oblał go paletą farb. Z jednej strony fioletowy, z drugiej kredowy z przebijającą się kością. Sięga do niego i delikatnie porusza z ciekawością dziecka, które właśnie odkryło coś dziwnego i próbuje rozwiązać zagadkę.

– Trochę się rusza, ale to nic. Nie jest źle – mówi.

Jeden palec stracił rok temu. Zawieźli go do szpitala w Chilas z odmrożoną stopą. Doktor chciał ją obciąć, ale źle trafił, bo w pokoju Tomka było kilkanaście osób. Miejscowi, których poznał przez te wszystkie lata pod Nanga Parbat. Wtedy był po piątej zimie pod Nangą i ze stopą było naprawdę źle, ale jak jego znajomi usłyszeli o tym obcinaniu, to zabrali go ze szpitala.

Pojechali na pobliskie wzgórze, zapalili, pogrzali się w promieniach zachodzącego słońca i wszystko przez chwilę było dobrze. Ale potem faza zeszła, stopa dalej była czarna i trzeba było ją ratować, więc wrócili do szpitala. Lekarz dał antybiotyk i powiedział, że teraz są dwa wyjścia: albo lek zacznie działać, albo nie i wtedy trzeba będzie obciąć, ale już nie tylko stopę, ale też wyżej, do kolana. Lek zadziałał.

Kiedy Mackiewicz wrócił do Polski, i przez dwa miesiące jeździł na rowerze z Żoliborza na Bielany i prosił: „obetnijcie mi tego palca”. Każdy lekarz mówił co innego. Mieli z tym kupę papierkowej roboty.

– Ale to nic, już wszystko jest dobrze. I będzie – mówi.

Ściąga drugi but, przychodzi do nas do tego ledwie naświetlonego kąta. A z drugiego, ciemnego, wychodzi ten sam Pakistańczyk, który dzień wcześniej był u mnie i wyglądał jak Gary Oldman. Z Drakuli nic już jednak w nim nie zostało,

bo na twarzy ma wypisaną ulgę. Pomaga Tomkowi usiąść i zabiera się do masowania. Doskakuje policjant, bo akurat na nim nie dało się oszczędzić – jest przykaz, każda wyprawa musi mieć stróża. Masują razem, każdy dwiema łapami prawie obejmuje uda Tomka. Dopiero po tym widać, jak przeraźliwie wychudł. Dwa palniki plują ogniem, ale jest zimno. Niedługo północ.

– Nie ma już mięśni, nie ma mięsa, zostały skały – Tomek śmieje się i bawi kostką haszu.

– Nie pal tutaj – mówi Elisabeth.

Są swoim zaprzeczeniem. On, były narkoman, 20 lat temu rzucał heroinę, do dziś pali, z potężnymi łapami i bajzłem w głowie, ale też z hipisowskim przesłaniem, które od lat porywa tysiące osób. Łagodny jak baranek, z poczuciem misji, ale z boku to wszystko wygląda, jakby dążył do autodestrukcji. Przez ostatnich kilka miesięcy pracował w Irlandii, żeby spłacić długi i zarobić na wyjazd na Nangę. Przez ten czas mieszkał w busie. Dalej nie je, bo widać, że w głowie huczy mu po tym tygodniu w górze i myśli, jak to wszystko opowiedzieć. Tymczasem Elisabeth opróżnia już chyba trzeci talerz podczas tej późnej kolacji. Kopa ryżu i mięso w gęstym sosie masala. Francuzka w przeciwieństwie do Tomka ćwiczy, dba o formę. Z wykształcenia jest nauczycielką WF-u, od dziecka związaną ze sportem – miała być gimnastyczką. Nie ma nałogów i tak jak Tomek nie ma pracy.

– Ale Eli – próbuje Czapkins. – To zabije przykry zapach benzyny. Czujesz przecież, jak śmierdzi w namiocie.

To rozmowa matki i syna.

Francuzka się nie zgadza, na to Tomek argumentuje, że w końcu mamy demokrację. On się droczy, ona jest cierpliwa, ale nie ma ochoty na żarty. Zwłaszcza na stare, bo zna je doskonale.

– Dlaczego każesz mi wdychać twój dym? Zjem, pójdę spać, wtedy sobie zapalisz.

Na to on, że może stanie po drugiej stronie namiotu, przy wyjściu.

– Dobrze, ale jak tylko poczyję, to wyjdiesz. Cały czas ci mówię, co ci z tej całej aklimatyzacji, skoro potem schodzisz i palisz? – pyta go Elisabeth.

Tomek kończy się droczyć i próbuje coś zjeść. Idzie mu wolno. Skupia się na herbacie. To ich druga wspólna zima i mimo że są inni, to widać, że bardzo się lubią, a to ich droczenie się jest tego najlepszym przykładem. Rok temu dotarli na wysokość 7800 metrów.

– Wczoraj byliśmy na 7400 albo na 7500 metrów. Wyszliśmy tam, żeby zobaczyć drogę do szczytu. Znaleźliśmy przejście, które wyprowadziłoby nas pod samą kopułę – mówi Tomek.

Świeciło słońce, nie wiało, poukładali sobie wszystko w głowach i wrócili do namiotu. Ustalili, że wstaną o 1.30.

Mówi, że gdyby dobrze poszło, to o 12 mogliby być na wierzchołku, ale zaszło słońce i wszystko umarło.

Chłód wyżyma umysł z błyskotliwości, a tamtej nocy temperatura spadła do minus 50 stopni. – Gdy otworzyłem oczy, wszystko w namiocie było zamrożone. Czegoś takiego jeszcze na tej górze nie przeżyłem. Nie mogłem wstać. 2.30. Zagotowałem wodę. Nie było szans. Piździawa taka, że w namiocie nie dało się wytrzymać. Eli zawsze jest zdecydowana, gdy on już nie może, to ona ciągnie go do góry, ale tym

razem była jak sparaliżowana. O 4 powiedziała, że spróbują o 7.

– Dostałem SMS-a od Szymka. Pisał, że o 14 ma zacząć wiać 60 km/godz.

Wyszedł na minutę i go zmroziło. Wrócił i powiedział: „Eli, to niemożliwe”.

Szymek to Simone, tak go zwykle nazywa. Zawiesza głos, uśmiecha się, pierwszy raz, przynajmniej po polsku, przyznał się, że było mu za zimno. Po chwili mówi, że może to jednak było możliwe, ale skąd mamy wiedzieć, ile zniesie ciało? Może powie: jest za zimno, nie mam już paliwa, jestem wykończone, nie mogę iść dalej. Byli w górze od tygodnia, energia spadała każdego dnia. Wrażenie zimna rośnie.

– Jedyne, co mogliśmy zrobić, to pójść do góry i zobaczyć, co się stanie, ale prawdopodobieństwo tego, że już nie wrócimy, było za duże – mówi Francuzka.

Tomek opowiada, że pierwszy raz widział, że Eli się boi. A gdy człowiek się boi, to motywacja umiera. W słońcu tworzy sobie idealny plan, zaczyna w niego wierzyć. Kiedy słońce znika, wszystko się kończy. Nie pamięta się, w co się wierzyło. Zastanawia się, co się dzieje z głową. Ma się wybór: iść i zobaczyć. Ale to szaleństwo, bo przecież nie chce się umrzeć.

Bo na przykład co się stanie z dziećmi?

– Cieszę się, że zawróciłem do życia. Życie jest fajne. Nawet jeśli czasami ciężkie, to później wszystko się zmienia – śmieje się i zaczyna kaszleć.

– Ta myśl, że jeśli coś się tam stanie, to jest zbyt zimno, żeby rozwiązać problem, paraliżuje. Wiesz, że jeśli popełnisz błąd, to zamarzniesz – mówi Eli.

Wjeżdża deser, który wzbudza więcej radości niż wszystkie torty szwarcwaldzkie i lody pistacjowe na świecie. Kucharz rozmroził pomarańcze w garnku z ciepłą wodą. Eli cieszy się jak dziecko, gdy parząc palce, obiera owoce ze skórki. Tryskający sok wygląda absurdalnie. Nie pasuje tutaj, bo to symbol słońca, przemycony do miejsca, gdzie złapany w ciepłą dłoń śnieg prędkiej ją zamrozi, niż puści kroplę.

Eli kończy jeść. Ziewa, jak gdyby właśnie wróciła po dniu pracy do domu, brakuje jej tylko kapci i dresów. Uśmiecha się i mówi dobranoc.

Zostajemy w czterech. Kucharz i policjant się dosiadają. Tomek zaczyna opowieść o przemianie, która nastąpiła w nim trzy zimy temu.

Opisuje ją tak: myśliwy chce ustrzelić małpę. Ale małpa jest zbyt szybka, nie sposób w nią trafić. Myśliwy zastawia więc pułapkę. Draży dziurę w kokosie i wkłada do środka banana. Jeden kawałek sznurka przywiązuje do kokosa, drugi trzyma w ręce. Małpa wkłada łapę do środka, chwytając owoc, ale dziura jest zbyt mała, nie może wyciągnąć banana. Myśliwy ciągnie za sznurek, kokos i małpa się zbliżają. Zwierzę widzi swego mordercę, wie, że za chwilę zginie, ale nie jest w stanie puścić banana. Nie ma takiej funkcji w głowie.

Dokładnie tak samo jest ze szczytem.

– Mordercą jest góra? – pytam.

– Nie – odpowiada. Według niego mordercą jest ego. Bo możesz się zabić, próbując wejść na szczyt. Ale to nic więcej niż karmienie „ja”. Bo ono jest głodne. Jeśli człowiek potrafi wyrzucić banana, nie jest już małpą, tylko kimś więcej – kończy Tomek.

Mówi, że szczyt jest niczym, tylko kupą kamieni i lodu, nic tam na górze na ciebie nie czeka. Wydaje ci się, że jak tam wejdiesz, to dostaniesz skarby świata, ale to przyszłość, która się nie wydarzy, bo w tej chwili się zabijasz. Gdy to zrozumiesz, możesz wyrzucić banana i zostawić łowcę z kokosem.

Mechanicznie odkleja puch z brody. Białe piórka wychodzą mu ze spodni w kilku miejscach. Zastanawia się intensywnie. Coś mu nie pasuje.

Góra była katalizatorem zmian i bez niej nie wiedziałby, kto jest myśliwym. Nie wiedziałby, co zrobić z bananem. Przez osiem kolejnych lat wyjeżdżał na wyprawy. Najpierw Mount Logan, potem Chan Tengri, w końcu sześć razy Nanga Parbat. Stwierdza, że te pierwsze wyprawy to było uciekanie przed rzeczywistością. Ale w końcu Nanga otworzyła mu w głowie malutki kanał. Dziś patrzy przez niego i widzi ocean innych rzeczy do eksploracji. W końcu może zejść z tej góry bez strachu przed codziennością. Teraz już rozumie, że sensem wspinania się może być odkrywanie w sobie części człowieczeństwa.

Mówi, że ją znalazł i już tutaj więcej nie wróci. Skończył z Nangą, ze wspinaniem.

Ma już plan na następny miesiąc. Trójka dzieci, Warszawa tylko na rowerze. Wstaje, robi śniadanie dla Zoi, idą do przedszkola. Wsiada na rower, dzień dobry Warszawo, jedzie na Żoliborz. Wchodzi do mieszkania byłej żony, Maks i Tonia jedzą śniadanie i czekają na niego. Zabiera TONIĘ do przedszkola, potem Maksa do szkoły. Wsiada na rower, jedzie na Ochotę. Odpoczywa i myśli. Rower, Żoliborz, odbiera Maksa i TONIĘ, zawozi ich do domu. Rower, odbiera Zoję, Ochota. Je obiad. Ania wraca z pracy.

Uśmiecha się do tego wyobrażenia. Na chwilę znika gdzieś daleko.

Pytam go o wróżki. Mir Ghani, mój przewodnik, opowiedział historię o swojej babci. Którejś nocy obudziła się i przy kominku zobaczyła nagą kobietę. Miała tylko naszyjnik. Wstała z fotela i się rozpłynęła. Potem babcia Mir Ghaniego zachorowała.

– Fairy może przynosić dobre i złe rzeczy – mówi Tomek. – Jest duchem tej góry, jej energią. Może to od niej płynie przemiana.

W tym roku Fairy pograła sobie z nimi.

Na wysokości 6200 metrów musieli pokonać wielki serak. Długie na kilkaset, wysokie na 20 metrów skupisko lodu wydawało się nie mieć żadnego miejsca, po którym dałoby się wspiąć na górę. Na całej długości kończyło się przewieszonym dachem. Eli chciała już odpuścić, gdy go natchnęło. Tomek powiedział, że ten serak to wrota na pola śnieżne.

Fairy ukryła przed nimi wejście. Ono jest z tyłu.

Dotarł do końca seraka, wychylił się i zobaczył formację, która prowadziła na szczyt lodowego bloku. Opowiada z entuzjazmem dziecka, że przypominała ząb rekina. Żeby się po nim wspiąć, trzeba było wejść do szczeliny.

– I będziesz umiał to wszystko zostawić? – pytam. Nie odpowiada.

Jest już po pierwszej w nocy, wychodzę na siku. Sprawdzam kolor moczu sposobem Jacka Czecha, podświetlając go latarką. Księżyc świeci jasno, śnieg skrzy się wszystkimi kolorami tęczy, ale akurat barwy sików nie jestem w stanie stwierdzić. Próbuję, ale tylko oblewam sobie buty. Wracam do mesy. Tomek siedzi, jak siedział, wciąż nie widać po nim zmęczenia. Mówi, że jasne, że wszystko może się zmienić, ale myśl o tym, że miałyby wrócić kiedyś pod Nangę, jest teraz abstrakcyjna. W tym roku towarzyszył im wielki stres. Jakby to góra wybrała za nich drogę, a według niego to sami muszą ją sobie wybrać, żeby mieć kontrolę. Mówi, że górę trzeba obserwować, zapamiętywać, gdzie są szczeliny, gdzie seraki. A ten wielki z „zębem rekina” zaczął pękać. Wspinając się po nim, mieli wrażenie, że zaraz wszystko się zawali i polecą

w dół z masą lodu. A jeśli przyszłoby trzęsienie ziemi? Nie mieli kontroli. Podczas wspinaczki Eli spadł jeden rak, potem drugi. Tomek zdążył wbić czekan. Cekał, aż spadnie, ale musiał wytrzymać. Wszystko skończyło się dobrze, ale to była konfrontacja ze śmiercią. Sytuacja skrajnie niebezpieczna, a Tomek nie czuł nic. Zero stresu, zero emocji, działał automatycznie. Zapomniał o cholernym bólu stóp, o tym, że stał i zamarzał. Jakby opuścił swoje ciało. Jeden mnich z Tybetu mówił, że medytacja jest drogą do tego stanu. Jedyną inną aktywnością, która może cię do niego doprowadzić, jest himalaizm. Uczucie pojawia się przede wszystkim w niebezpiecznych miejscach i sytuacjach. To nie jest uzależnienie, ale coś, do czego chcesz wracać, co chcesz eksplorować – tłumaczy.

– To jak ty chcesz z tym zerwać? – pytam.

Odpowiada, że w teorii jest w stanie czuć to w każdym miejscu. Nawet jeśli zamkną go w więzieniu, położą na stole i zaczną ciąć. Umysł może się uwolnić od ciała. Nie potrzebuje himalaizmu. Wspinanie otworzyło mu w głowie szczelinę, przez którą teraz może się wydostać. Lubi góry, szczególnie tę jedną, ale dobrze spróbować czegoś innego.

Mówi, że dzięki Nandze polubił też ludzi. Lubi opowiadać im o swoich przemyśleniach. Raz robił to w Teatrze Słowackiego. To była cała gala. Najpierw jacyś spece od motywacji, poważne sprawy, a na koniec on, jako ciekawostka. Ale gdy skończył opowiadać o górach i energii wszechświata, kilkadziesiąt z tych 600 osób czekało na niego. Wszyscy w garniturach, on w czapce z daszkiem.

Na koniec opowiada, że podczas tego ostatniego wyjścia powyżej 7000 metrów był bliski halucynacji.

– Patrę, a tam jama. Zupełnie jakby coś w niej mieszkało. Już miałem krzyknąć, Eli, popatrz, jama śnieżnej pantery, zaraz z niej wyjdzie i na nas skoczy, ale się powstrzymałem. To przecież było 7000 metrów w zimie. Nic tam nie przeżyje.

To druga historia o śnieżnej panterze, którą słyszę. Mówię Tomkowi, że Jacek Czech opowiedział mi pierwszą. Kiedy był na letniej wyprawie na Nanga Parbat, po okresie złej pogody trzeba było odkopać jeden z obozów. Namiot był zasypany śniegiem. Gdy himalaiści dotarli do poszycia, odkryli, że coś jest w środku.

– Okazało się, że wewnątrz leżało ciało śnieżnej pantery. Weszła, a potem śnieg ją zasypał.

Żegnamy się o trzeciej, z mojej inicjatywy, bo jemu dalej nie chce się spać. Wychodzę na zewnątrz i na gumowych nogach przez szeleszczący śnieg idę w kierunku namiotu. To jakieś 100, może 150 metrów, ale w tym stanie dystans jest maratoński. Ile może być na zewnątrz? Minus 25? Minus 30? Życie wokół nie istnieje, powietrze się nie porusza i gdyby nie szelest, to można by pomyśleć, że to Księżyc, a nie Himalaje. Mózg każe obserwować wszystko dookoła, szukać śnieżnych panter, które mogą w każdej chwili wyskoczyć z zasy i porwać w głąb jakiejś szczeliny. Serce dudni i tym razem wyraźnie słycać jego rytm. Stukanie jest nie do wytrzymania. Ściągam czapkę, by wpuścić do głowy trochę powietrza. Zimno ścisną czaszkę. Z duszą na ramieniu wchodzę do namiotu. Szybko się rozbieram. Nogi mam już w śpiworze, oddech się uspokaja. Zabieram się do ściągania polara, gdy słyszę trzask.

Trzask-trzask.

Przestaję oddychać i wsłuchuję się w dźwięk. Ktoś się zbliża?

Trzask-trzask.

Dźwięk jest dokładny, powtarza się, nie narasta. Jeśli ktoś skrada się tam w blasku księżycy, to robi to powoli. Jakby szedł łukiem.

Trzask-trzask.

Gdyby to był jeden z kucharzy, dźwięk byłby inny. Szarpany, mniej składny. O tej porze to można wyjść jedynie po to, żeby się wysikać. Więc czekam na zbawczy dźwięk moczu rozpuszczającego śnieg, ale ten nie nadchodzi.

Trzask-trzask.

Racjonalizuję sobie. Po haszu czasami słyszy się inaczej. Przypominam sobie wieczór sprzed kilku lat, kiedy na dachu w Fezie siedzieliśmy i słuchaliśmy, jak na straganach oddalonych o kilka metrów w pionie i kilkadziesiąt metrów w poziomie rozmawiają kupcy. Przypominam sobie intensywny kolor przypraw, smak smażonych w litrach oleju ciastek, zapach grillowanego mięsa, ale przede wszystkim przypominam sobie, że siedząc na tym dachu i paląc pierwszego w życiu jointa, łowiłem dźwięki. A potem nakładałem na nie filtry. Wyciszałem całą ulicę, by wsłuchać się w tylko jedną rozmowę w melodyjnym języku, z którego nic nie rozumiałem.

Racjonalizuję sobie, żeby nie popuścić ze strachu przed skradającą się śnieżną panterą.

Trzask-trzask.

Rozsuwam namiot i w skarpetach wychodzę na kilkanaście sekund na zewnątrz. Czuję, jak stopy przymarzają mi do śniegu i skora zaczyna delikatnie szczypać. To przyjemne. Dookoła cisza. Powietrze dalej stoi. Nic nie trzeszczy, nic się nie skrada. Wracam do śpiwora i zmieniam skarpetki.

Trzask-trzask.

Kładę się. Trzeszczy głośniejsze. Podnoszę poduszkę.

A pod nią leży termos. Ma niedokręcony korek.

Zasypiam z poczuciem bezpieczeństwa, którego już nie pamiętamy. To pewność niemowlaka, który zamyka oczy i wtula się w ciało matki.

Zasypiam, wsłuchując się w kawałek Wież Fabryk^[28].

Między ustami a płucami jest przestrzeń

Między stopami a krokami jest wiecznie

Skórę wypełnia kosmos

Jest po trzeciej.

Tomek nie może zasnąć do czwartej. O piątej trzęsie się ziemia. Pięć stopni w skali Richtera nawet na moment mnie nie budzi.

ROZDZIAŁ XXI

niedziela, 24 stycznia 2016 roku

Rano jeszcze chwilę siedzimy, pijemy herbatę, rozmawiamy. Do Tomka przychodzą Simone i Tamara, uśmiechają się, pytają o warunki w górze. Tomek pokazuje im kilka zdjęć, między innymi fotografię pękającego seraka. Mówi, że szczelina jest coraz większa. Wszystko miło, kulturalnie. Z boku przypomina to spotkanie dobrych znajomych. Kiwiają głowami ze zrozumieniem, Tomek opowiada parę żartów, oni szczerzą zęby, bo to dobre żarty, a potem wychodzą.

O 11 zaczyna wiać. Chmury zakrywają Nangę powyżej 7000 metrów.

W południe Tomek kończy się pakować. Elisabeth jest już gotowa, czeka na niego. Simone daje mi komórkę, robię im wspólne zdjęcie.

- Bardzo miło było cię poznać, Simone. Do tej pory tylko o tobie czytałam.
- Ciebie również było miło poznać, Elisabeth.
- Powodzenia.
- Dziękuję.
- Dziękuję, że nam użyczyłeś swojego internetu.
- Nie ma sprawy, zawsze pomagam, kiedy tylko mogę.

Pożyczam Tomkowi 100 dolarów, bo jest spłukany, a do samolotu ma jeszcze cztery albo pięć dni. Żegnamy się i zaczyna schodzić.

- Ej, nie obejrzysz się nawet? Przecież już tu nigdy nie wrócisz – mówię.

Odwraca się, ale patrzy na mnie, a nie na górę.

Mówi, że nie czuje żadnego sentymentu. To koniec, nie potrzebuje już tego. Zima, 8000 metrów? Przecież to bez sensu. Po co to? Gdy zaczynał, to myślał, że fajnie byłoby kontynuować dzieło Andrzeja Zawady. To on wymyślił zimowy himalaizm. Kiedy inni zdobywali ośmiotysięczniki w lecie, Polacy nie mogli wyjeżdżać z kraju. Gdy już mogli, Zawada zaproponował, by wspinać się w zimie, by być pierwszymi. Tomek mówi, że chciał to pociągnąć, ale teraz już wie, że to było ego.

* * *

Kilka dni później rozmawiam z Mir Ghanim.

- Wiesz, że Tomek pojechał do Gilgit? – mówi.

To nie po drodze do Islamabadu.

- Rozpytywał o miejsce, w którym mógłby otworzyć warsztat samochodowy. Myślę, że to dobry pomysł. Ludzie by do niego przychodzili, bo jest z Europy – dodaje nauczyciel.

Mnie powiedział, że chciałby pomóc Sar, ostatniej dużej wiosce przed bazą Diamir pod Nanga Parbat. Reinhold Messner wybudował tam szkołę i dostarczył książki.

- A Simone Moro zbudował szpital, który stoi pusty. Nie ma lekarzy ani leków – mówi Pakistańczyk.

Tomek chciałby do Sar sprowadzić z Polski panele słoneczne i rozwiązać problem z wodą.

Mija kolejnych kilka dni i dowiaduję się, że wcale nie wsiadł do samolotu, nie wrócił do Polski. Ma inny plan. Ale o tym później.

* * *

Tamara i Simone wychodzą w górę. Znoszą w dół sprzęt i zapasy. Uznali, że droga Messnerów nie jest już dla nich. Tamara mówi, że straciła do niej motywację. Włosi są w górze, Tomek i Eli w drodze w dół, a z drogi Kinshofera do bazy schodzą Alex, Daniele i Ali. Są zmęczeni, ale zadowoleni. Udało im się położyć liny do wysokości 6700 metrów.

– Wydaje się, że więcej lin nam już nie potrzeba. Oczywiście jeśli warunki się nie zmienią. Przyjrzelśmy się drodze w górę. Wygląda dobrze – mówi Alex.

A więc praca wykonana, teraz potrzeba tylko pogody, siły i szybkości. Liny leżą na zlodowaciałym kuluarze od wysokości 5100 do 6000 metrów, czyli podstawy ścianki Kinshofera. Potem 100 metrów skał, droga do wysokości 6500 metrów i siedem 25-30-metrowych wyciągów poprowadzonych na niebieskim, twardym lodzie, od kopania w którym mogą zejść paznokcie. Cała droga zaopatrzona w gaz i jedzenie.

– Pamiętamy jej każdy metr, wiemy, gdzie są zapasy, jesteśmy gotowi na atak szczytowy. Potrzebujemy tylko szczęścia. Żeby pogoda się zlitowała i pozwoliła nam spróbować – mówi Alex.

A potem dodaje:

– Simone od paru dni robi podchody. Widzę, że chce mnie zapytać o możliwość dołączenia do naszego zespołu. Wcześniej powiedziałem mu, że może korzystać z naszych lin podczas schodzenia w dół, gdyby wracali po ataku szczytowym. Ale droga w górę to co innego.

– Co mu powiesz? – pytam.

– Góra jest wolna. Nikomu nic nie można zabronić.

Włosi wracają wieczorem. Przed snem zachodzą do mesy Alexa, Daniele i Alego. Piją kawę, rozmawiają, ale żadne deklaracje nie padają.

ROZDZIAŁ XXII

poniedziałek, 25 stycznia 2016 roku

Rano przyszedł Alex, a przecież mówił, że odwiedzać innych obozów nie lubi. Musi mieć sprawę. Rozmawiamy chwilę o wszystkim i o niczym, potem gadamy o Tomku.

– Szkoda, że musieli już stąd iść. Nie mieli kasy, to dlatego. Bardzo lubię Tomka, myślę, że jest szczerym gościem. To trudne dziś spotkać kogoś takiego. Ja chyba żyję na innej Nandze. Ludzie nie mówią obiektywnych rzeczy. Mówią tylko takie, które spodobają się mediom i ich fanom. Nie jesteśmy szczerzy. W ten sposób nie da się zdobyć Nanga Parbat w zimie. Myślę, że góra daje nam siebie, kiedy jesteśmy uczciwi. A Tomek chyba taki jest. Słyszałem wiele historii o tym, że nie jest profesjonalnym wspinaczem...

– Bo nie jest.

– Daj spokój! Może to było tak, że zobaczył kiedyś zdjęcie Nangi i powiedział sobie: „A może by tutaj przyjechać i spróbować tam wejść?”. Kim jesteś, żeby mówić, że ten gość nie może tutaj przyjechać?

Alex się zdenerwował. Chwilę pomilczał, uspokoił się.

– Był tutaj cztery razy powyżej 7000 metrów. W zimie. Może daleko od szczytu, bo zawsze do pokonania miał jeszcze ze dwa-trzy kilometry, ale jednak tam był. Nie podoba mi się tylko jego styl. Jest bardzo wolny. Ale pomyśl, co by było, gdyby Tomek skupił się tylko na sporcie? Byłby niesamowity! Ma silne, odporne ciało. To organizm z tamtej epoki, tacy kiedyś byli himalaiści. Widziałeś, jakie ma ręce? Kiedy zobaczyłem je po raz pierwszy, to pomyślałem: „Kurwa, co to za łapy!”. Musi być piekielnie wytrzymały. To dar. Messi i Cristiano Ronaldo wybrali idealny dla siebie sport. Tomek też. Gdyby się tylko na nim skupił...

Potem Alex zapytał, kiedy opuszczam bazę. Ja na to, że pewnie za dwa dni, bo Polaków już tu nie ma, pogoda psuje się na dwa tygodnie, spróbuję dostać się na stronę Rupal i spędzić trochę czasu z chłopakami z Nanga Dream.

– To może dałbyś nam swój gaz i paliwo? Tobie już się nie przydadzą, a my tu liczymy każdy grosz.

– Jasne, zapytam.

– Wpadnij do nas na kolację, to twój ostatni dzień w bazie, zjedźmy razem.

* * *

Nie ma mowy, mnie obsługuje jedna agencja, Alexa druga, paliwo i gaz nie są moją własnością. Czyli jest tak samo jak wcześniej ze wspólnym jedzeniem. Nie i koniec. Mówię, że zapłaciłem za gaz i za paliwo i według planu powinienem tu spędzić jeszcze tydzień, więc i tak bym wszystko zużył, a skoro we wtorek schodzę w dół, to chciałbym je podarować wyprawie Alexa. Ale i ten argument nie zostaje doceniony. Ciężko w to wszystko uwierzyć, bo przecież Mir Ghani, czyli mój opiekun, jest bratem

Attah Ullaha, czyli opiekuna Alexa. Mogliby się dogadać. Mówię Baskowi, jaka jest sytuacja. On kiwa głową, mówi, że nie szkodzi.

– A, możesz z nami dziś zjeść. Jakoś udało to się załatwić – uśmiecha się i puszcza oko.

* * *

Muhammad Ali za rok skończy czterdziestkę. 16 lat temu zaczął pomagać ekspedycjom w noszeniu bagaży. Dostarczał też zapasy żołnierzom stacjonującym w pobliżu północnej granicy Pakistanu. Na serio zaczął się wspinać w 2006 roku. Wtedy zdobył swój pierwszy ośmiotysięcznik – Gaszerbrum II. Poręczał wówczas górę dla komercyjnej wyprawy, do obozu IV dotarł z ciężkim plecakiem i zasnął zmęczony. Wyszli bez niego. Kiedy się obudził, namiot był pusty. Ruszył za nimi. Nie działała mu czołówka, ale księżyc świecił jasno, więc szedł po śladach. Skończyło się na tym, że na szczyt dotarł jako drugi, tuż za liderem wyprawy. W tym samym roku samotnie, nową drogą zdobył Spantik (7027 m n.p.m.). Rok później pracował dla Rosjan podczas wyprawy na zachodnią ścianę K2. Na szczycie Nanga Parbat stawał dwukrotnie – w 2008 i 2009 roku.

Teraz patrzy na górę z plastikowego krzesła, na którym wygrzewa się w słońcu.

– Spójrz – mówi. – Niektórzy w bazie twierdzą, że tam wieje dziś 100 km/godz. Ja myślę, że nie więcej niż 60. W takich warunkach wspinaliśmy się na Broad Peak z Polakami. Najpierw w zimie 2008/2009, a potem 2010/2011.

Polakom towarzyszył też w zimie 2011/2012 na Gaszerbrum I. Wtedy jako pierwsi o tej porze roku na szczycie stanęli Janusz Gołąb i Adam Bielecki. Ali mówi, że to była całkiem inna ekspedycja niż tegoroczna. Tam był tylko porterem wysokogórskim, teraz jest członkiem wyprawy.

– Bardzo jestem za to wdzięczny Alexowi i Daniele. Traktują mnie jak normalnego wspinacza. To dla mnie nowość, bo na ogół jesteśmy w cieniu. Artur Hajzer był moim dobrym przyjacielem, ale nie traktował mnie jako pełnoprawnego członka wyprawy. A ja zaporęczałem drogę do ostatniego obozu i gdyby nie odmrożenia, to uczestniczyłbym w ataku szczytowym.

Z tymi odmrożeniami poszedł do pakistańskiego lekarza, który nie za bardzo wiedział, na co patrzy.

– Nie potrafił uratować mi palców, więc musiał amputować. Po wyprawie Polacy nie odwiedzili mnie w szpitalu. Zadzwonili z lotniska, mówiąc, że ich lot jest opóźniony i jeśli mam czas, to mogę wpaść i się z nimi spotkać. Podziękowałem za tę propozycję i jeszcze raz pogratulowałem im szczytu. Po Broad Peak byłem w cieniu. Mało kto wiedział, że ciężko tam pracowałem, bo nie powiedziano pełnej prawdy. Bielecki w tym roku spadł i powiedział, że to wina lin. Gdyby tak było, to zginąłbym rok temu, bo wspinałem się na tych samych poręczówkach aż do obozu IV. W tym roku też używamy tych samych lin i jego wypadek nic w tym temacie nie zmienił.

– Jesteś zły na niego?

– Trochę tak, bo jest doświadczonym wspinaczem, więc dlaczego powiedział, że wystarczy mu tydzień, dwa na zdobycie Nangi? Tutaj liczy się cierpliwość i dokładność. Tego nauczył mnie Hajzer. Zawsze mi mówił: „Ali, nie spiesz się podczas

wspinania. Poręczuj dokładnie, rób to powoli, nic na siłę. Mamy czas. Jak czas się skończy, wrócimy do domu, przyjedziemy tu za rok. A jak nie my, to ktoś inny tu przyjedzie. Przede wszystkim musimy przeżyć”. Bo kiedy się spieszysz, to zdarzają się wypadki. Uważam, że wspinaczka w stylu alpejskim w zimie drogą Kinshofera jest niemożliwa.

Poprawił okulary, rozsunął zamek polara i zaczął mówić o prawdzie.

– W górach możesz powiedzieć wszystko, co zechcesz. Kto może to niby sprawdzić? Ale bycie szczerym jest ważne. Jeśli popełniłeś błąd, to przyznaj się do niego. Powiedz: to była moja wina, więcej już się tak nie zachowam. I może dzięki temu ktoś inny błędnie nie popełni. Kiedyś wspinałem się na starych linach. Jedna z nich się urwała. Odpadłem od ściany. Przeżyłem, opowiedziałem tę historię i teraz wszyscy wiedzą, że Ali Sadpara prawie zginął, bo wspinał się na starych linach. Popełnił błąd, nie zrobimy tego samego. Mówmy prawdę i wszystko będzie dobrze. Ludzie rozumieją. Rok temu wspinałem się w starych butach, rozmiar 43,5. Daniele zaproponował mi swoją parę, numer 42. Wziąłem. Zobaczyłem nowe buty i popełniłem błąd. Ludzie powinni wiedzieć o tym, że to był mój błąd, który kosztował nas wtedy wejście na szczyt.

– Jak to? Przecież zawróciliście, bo pomyliliście drogę, a ty miałeś początki obrzęku mózgu. Nie było tak? – spytałem.

– To wszystko przez te buty i brak ogrzewacza. Potrzebowałem go, bo część palców już straciłem. Powiedziałem im, żeby go kupili. Kosztował 150 euro. Ale tego nie zrobili. No i na wysokości 7800 odmroziłem sobie palce. To mnie zdenerwowało, pomyliłem drogę, ale nie czułem się źle. Z moją głową wszystko było OK. Powiedziałem Alexowi i Daniele, że muszę wracać, bo z moimi palcami nie jest dobrze, ale żeby oni szli na szczyt. Wskazałem dobrą drogę. Nie chcieli. Powiedziałem, że ja sobie poradzę, nie będzie ze mną problemu. Odpowiedzieli, że beze mnie nie pójda. To jest dobre partnerstwo. Może w tym roku nam się uda, *inshallah*. Wejście jest w rękach Boga.

– Co się zmieni w twoim życiu, jeśli się uda?

– Pewnie nic, chyba że zainteresuje się mną ktoś z Europy. Szerpowie znajdują sponsorów, nawet kobietom się udaje. Ale u nas? Ze strony Pakistanu nic mnie nie czeka. Kto u nas interesuje się wspinaczami? Ludzie ciężko pracują, nic nie wiedzą o himalaizmie. Wrócę do domu, będę pracował w lesie, zbierał owoce, doił kozy. W lecie może popracuję dla jakiejś komercyjnej wyprawy. Pieniądze nie są dla mnie najważniejsze. Gdyby były, to przeprowadziłbym się do miasta, a nie mieszkał na wsi. Dla mnie góry to sposób na napisanie historii. Tutaj jest moje serce, tego jest ono warte. Jeśli szukamy tylko pieniędzy, to nasze życie idzie w złą stronę. Ale taka jest na ogół nowa generacja wspinaczy. Mieszkają w miastach, góry widzą z daleka, przyjeżdżają w nie słabo zaaklimatyzowani. Kiedyś było inaczej. Himalaiści byli prawdziwymi mężczyznami. Jacek i Adam zakończyli wyprawę i wyjeżdżali stąd z uśmiechami na ustach. To źle. Powinni być smutni, że ekspedycja skończyła się tak szybko. W tym roku mamy dużą szansę, bo jeszcze nie poczułem prawdziwej zimy.

* * *

Słońce powoli zachodzi. Siedzimy w mesie międzynarodowej wyprawy. Ktoś stuka w klawiaturę, ktoś rozmawia przez Skype'a, ktoś pije herbatę. To największe skupisko ludzi pod Nangą, ale wciąż mówi się tu niewiele, jakby wspólne przebywanie okradało rozmowy z tematów, zostawiając absolutne minimum. Zza zasłony, z kuchni, słychać ożywione dyskusje Pakistańczyków. Coś się stało, bo są głośniejsi niż zwykle.

Daniele wstaje z krzesła, odkłada swojego macbooka, rusza do kuchni. Dosiada się do Atta Ullaha. Obok siedzi Mir Ghani. Włoch zaczyna krzyczeć. Chodzi o gaz i paliwo.

– Mir Ghani przyszedł z propozycją – tłumaczy Atta Ullah.

– Powinien więc zgłosić się do nas, nie do ciebie.

– Ale ta propozycja...

– Atta Ullah, bądź cicho – powiedział Włoch.

– To dobra...

– Cicho!

– Nie uciszaj mnie! – Atta Ullah traci cierpliwość.

– Milcz! Teraz ja mówię! Płacę wam pieniądze, więc wymagam szacunku – krzyczy Nardi.

– Nie mów tak do mojego brata. Nie wiesz, o co chodzi – włączył się Mir Ghani.

– Ty też się nie odzywaj, co wy tutaj knujecie? Chcecie nas oszukać? Handlujecie gazem i paliwem między sobą!

– Daniele... – Atta Ullah znów próbuje wytłumaczyć, o co chodzi.

– Mówiłem ci, żebyś się nie odzywał. A ty idź sobie stąd – powiedział do Mir Ghaniego.

Mir Ghani nie chciał wyjść, zaczął mówić coś w urdu do brata, ten coś mu odkrzyknął. Wstali i zaczęli się szamotać. Atta Ullah próbował wyrzucić starszego brata z mesy, tamten się opierał. Wypadli na zewnątrz, a Włoch za nimi.

Wszyscy wstaliśmy z krzesel i poszliśmy za nimi. Bracia stali i krzyczeli na siebie.

– Co jest grane, Daniele? – spytałem.

– Nie przejmuj się, to pakistański styl rozmów – odpowiedział Włoch.

Po chwili poszedł do nich. Alex stał na uboczu i przyglądał się rozmowie.

Mir Ghani był wściekły. Nardi kazał Atta Ullahowi odejść na bok. Młodszy brat dyszał ciężko i widać było, że nie może się z tym pogodzić.

– Dlaczego tak mnie potraktował? Nic nie rozumie. Nie dał nam nawet wyjaśnić, o co chodzi – powiedział Atta Ullah.

Nardiemu wytłumaczył to Mir Ghani. Sprawa była prosta. Paliwo mogą odkupić po dobrej cenie (tę później poszedł targować Alex), a gaz dostaną za darmo. Jedyne, co muszą zrobić, to znieść potem puste butle do wioski. Nardi się uspokoił, widać, że było mu głupio.

– Czy ta oferta jest nadal aktualna? – spytał Włoch. Pewnie myślał, że awantura, którą wywołał, przekreśliła wszystko.

Mir Ghani uspokoił się i dwa razy powtórzył zdanie:

– Jestem mężczyzną. Mówię raz i na zawsze. Aż do śmierci nie zmieniam zdania, nie jestem kobietą.

ROZDZIAŁ XXIII

wtorek, 26 stycznia 2016 roku

Zanim opuściłem bazę Diamir i pożegnałem się ze wszystkimi, Daniele poprosił, żebym usiadł na chwilę na krześle i odpowiedział na kilka pytań. Pozdrowił, kogo zechcę, opowiedział, co tutaj zobaczyłem, co myślę o zimowym himalaizmie, jak poszło w tym roku Polakom, co w szczególności zapamiętam.

– Co twoim zdaniem pcha wspinaczy na szczyt Nanga Parbat?

Odpowiedziałem bez namysłu, chociaż sprawa wydaje się przecież o wiele bardziej skomplikowana.

– Ego. Wielkie jak ta góra.

ROZDZIAŁ XXIV

środa, 27 stycznia 2016 roku

Przez dwa dni odbywałem podróż w czasie. Tym razem z łatwością, z ciężkim plecakiem, bez zadyszki. W dół przez śnieżną pustynię, potem przez las, pozostawiając za sobą wielki lodowiec wiszący nad doliną Diamir jak zapora. Noc w Sar, a potem w dół, ciemnymi, pełnymi kurzu dolinami, ściągając kolejne warstwy, dziwiąc się, że kurz nic nie robi sobie z bliskości lodowego świata. Ciesząc się słońcem, które z godziny na godzinę wypełniało świat coraz bardziej. Szedłem z wesołymi Pakistańczykami, którzy rozmawiali o kozach, częstowali cukierkami, śpiewali po drodze i prosili, żebym wszystkim powiedział, jak tu jest dobrze, przywiózł ich, a potem wszyscy pójdziemy w góry.

W wiosce Diamroy, w której kończy się trekking z bazy Diamir, zaczął mnie starszy mężczyzna.

– Skąd jesteś?

– Z Polski.

– Zawada! Pracowałem przy jego ekspedycjach w zimie 1996/97 i rok później.

– Co powiedział ci Zawada?

– Że w lecie wspinają się kobiety. Zima jest dla mężczyzn. Najtwardszych.

Uśmiechnąłem się i pożegnałem. Nie chciałem wyracać jego światopoglądu, opowiadając mu o malutkiej Elisabeth i wysokiej Tamarze. Ani o tych twardych mężczyznach, w których tyle pęknięć. W końcu byłem gościem. Wolałem słuchać. Założyłem słuchawki. Zaszumiały palmy, zabrzmiał ciepły głos Rogera Watersa.

*Owning a home with no silver spoon
I'm drinking champagne like a big tycoon
Sooner than wait for a break in the weather
I'll gather my far flung thoughts together*^[29]

Świat znów był jasny.



Podejście do bazy Di Amir.



Namiot Polaków w bazie Damiir.



Herbatka w polskiej mesie. Od lewej: operator Maciej Cepin, Elisabeth Revol, Tomasz Mackiewicz, reporter Robert Jałocha i Jacek Czech.



Wszyscy wspinacze razem. Od lewej: Tamarę Lunger na barana wziął Simone Moro. Jacek Czech trzyma na barkach Elisabeth Revol, a pod nimi klęczy Alex Txikon. Adam Bielecki unosi Daniele Nardiego, a pod nimi bez czapki siedzi na śniegu Tomasz Mackiewicz. Z prawej, w niebieskiej kurtce, Muhammad Ali.



Simone Moro i Adam Bielecki. W chwili robienia zdjęcia – w sumie pięć zimowych pierwszych wejść na ośmiotysięczniki.



Jacek Czech i Adam Bielecki.

SZCZYT

Tomek nie wsiadł do samolotu. Podobno Allah i Fairy przemówili do niego i kazali mu wracać pod Nangę. Miał zrealizować kolejny sekretny plan, bo tak zwykł nazywać momenty, kiedy sytuacja nagle się zmienia i trzeba nad nią jakoś zapanować. Po dwóch tygodniach od opuszczenia bazy pod Nanga Parbat i przebywaniu na wysokości 1000 metrów wyruszył pod swój ukochany ośmiotysięcznik, mimo że kilkanaście dni wcześniej zarzekał się, że to koniec. Przez ten czas tracił aklimatyzację. A plan nie był do końca sekretny, bo Mackiewicz potrzebował pieniędzy. Uruchomił więc kolejną w swoim życiu zbiórkę – na powrót do bazy, zamknięcie wyprawy i spłatę długów, które miał w Pakistanie.

I kolejny raz otrzymał pomoc – zebrał prawie 26 tysięcy złotych.

Do bazy jednak nigdy nie dotarł. Zatrzymał się dwie, trzy godziny przed nią, w Kutgally. Potem pisał, że miał problemy proceduralne, że wspinacze, którzy zostali pod Nanga Parbat, uknuli spisek, który miał na celu wykluczenie jego powrotu pod górę, a za wszystkim miał stać Simone Moro.

– Ale Tomek przecież skończył wyprawę. Opuścił Nangę i w Chilas podpisał pismo zamykające ekspedycję. Jego powrót nie był więc legalnie możliwy. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby doszedł do bazy, ale on nie był w stanie tego zrobić. Kiedy dotarł do Kutgally, nie miał właściwie nic przy sobie. Jeden z Pakistańczyków powiedział mi, że Tomek wyglądał, jakby miał umrzeć. Był kompletnie odwodniony, tracił kilogramy. Jak on mógł pomyśleć, że po kilkunastu dniach spędzonych na dole jest w stanie wrócić i wejść na Nanga Parbat? Powinien dziękować Bogu za tę chorobę, bo być może uratowała mu życie – powiedział później Moro.

Do Tomka i jego oceny sytuacji jeszcze wrócimy.

* * *

3 lutego Nardi pisał, że pojawiają się nieporozumienia między nim a Alexem i Alim. Ale spokojnie, wciąż się dogadują i znajdują najlepsze wyjście z sytuacji.

5 lutego Igone i Alex po raz pierwszy publicznie przyznali, że współpraca z Danielem przestała być możliwa. Baska i Włocha podzielić miały: odmienny rytm wspinaczkowy, różne priorytety i interpretacje wydarzeń – zarówno tych w górze, jak i tych w bazie. Słowem, niezgoda względem wszystkiego, co ważne. Stało się jasne, że w tym momencie na drodze Kinshofera działa już tylko jedna wyprawa. Trikon i Sadpara połączyli siły z Moro i Lunger. Dzień później Nardi opuścił bazę. Do niego też jeszcze wrócimy, a teraz skupmy się na wspinacze.

Sprawa robiła się poważna, bo mijały kolejne dni lutego, a wiatr niepodzielnie rządził na Nandze. Do końca zimy wprawdzie wciąż jeszcze było daleko, ale aklimatyzacja wspinaczy słabła.

14 lutego miał być pierwszy z trzech dni dobrej pogody. Wspinacze wyszli więc

w górę, żeby otworzyć drogę do obozu I i spędzić tam noc, a potem spróbować przebić się wyżej. Dotarli na wysokość 4800 metrów i godzinę naprawiali namiot, który ostro potraktowała lawina. Nie mogli w to uwierzyć, ale gdzieś znikło pięć kilo jedzenia – sery, szynki, herbatniki, czekolady, batony energetyczne. Czyżby lisy? Zostały tylko puszki i żywność liofilizowana.

Namiot znów nadawał się do zamieszkania, ale zaczęło wiać. Zerknęli w niebo. Chmury tężały. Telefon do Karla Gabla rozwiał wątpliwości – prognoza się zmieniła, przez dwa następne dni nie ma co pchać się w górę. Wrócili do bazy.

W górę ponownie ruszyli 16 lutego. Wyszli o 5.30 i jeszcze tego samego dnia udało im się dotrzeć do obozu II. Plan na 17 lutego – obóz III. W nocy praktycznie nie zmrużyli oka. Prognoza znów zawiodła, a wiatr nie pozwolił im spać. Poczekali, aż wyjdzie słońce. Wystawili głowy z namiotu. Wiało coraz mocniej. Postanowili wrócić do bazy i czekać na kolejne okno, które miało nadejść 23 lutego i trwać przez trzy dni.

20 lutego w bazie spadło 45 centymetrów śniegu. Wydawało się, że zagrożenie lawinowe jest znikome, ale całą noc słychać było huk spadającego ze zboczy śniegu. Największa lawina zeszła nad ranem. Podmuch złamał konstrukcję mesy. Namiot się zawalił.

Ta noc była ważna. Rano wspinacze szybko pokonali lodowiec, by sprawdzić, co te opady i lawiny zmieniły w ich sytuacji. Musieli się szeroko uśmiechnąć, gdy zobaczyli, że droga się oczyściła. Śnieg zjechał w dół. W dodatku za parę dni warunki do ataku miały być idealne.

* * *

Wygląda na to, że pojawiło się okno. Dobrze, ostateczne, to, na które czekaliśmy – cieszył się Alex. 22 lutego znów ruszyli o 5.30 rano. Wspinali się 11 godzin i o 16.30, jakieś dwie godziny przed zachodem słońca, dotarli do obozu II. Roztopili śnieg, napili się, przygotowali na zimną noc. Potem przyszedł wiatr. Mieli ruszyć w kierunku obozu III o 9, ale nie byli w stanie. Przez cały kolejny dzień siedzieli we czwórce w małym namiocie, uwięzieni przez podmuchy dochodzące do 80 km/godz. Słońce zaszło, przyszło zimno. O 2 w nocy wszystko ucichło, jakby ktoś odłączył nagle od prądu wielki wiatrak, który do tej pory działał na najwyższych obrotach. Dzień wstał piękny i spokojny, wiało może 30 km/godz. Zaczęli się wspinać o 9.30. Szło sprawnie i po południu znaleźli się na wysokości 6700 metrów. Tak wysoko tej zimy Moro i Lunger jeszcze nie byli. Włoch i Bask czekaniami wybili platformę, na której stanął namiot. Urządzili się i zaczęli topić śnieg. W tym czasie Ali i Tamara wyszli 160 metrów w górę i zaopatrzyli część drogi, żeby następnego dnia poszło sprawniej.

O 8 rano 25 lutego Alex połączył się z bazą. Noc była zimna, ale udało się, po raz pierwszy spali w obozie III. Teraz czas na śniadanie i w drogę, do obozu IV. Plan był taki, żeby założyć go na wysokości 7200 metrów. Można by wyżej, wtedy do szczytu bliżej, ale lepiej iść dłużej, a rozbić się w miejscu, gdzie tlenu jest jeszcze trochę więcej, bo zespół był zaaklimatyzowany w różnym stopniu.

Pierwsi w górę ruszyli Moro i Sadpara. Trikon i Lunger złożyli namiot i zabrali ze sobą rzeczy potrzebne do założenia obozu IV. Wystartowali z obozu III o 10.30.

Wcześniej wspinali się po śniegu, lodzie i skałach, czyli w języku wspinaczy po terenie mikstowym. Ale powyżej obozu III przeważał już twardy śnieg. Szło się łatwo. Po sześciu godzinach cała czwórka była na wysokości ok. 7150 metrów. Pokonali grań i znaleźli się w kotle Bahzin, rozległym płaskowyzu leżącym u stóp kopuły szczytowej. O 16.30 kopali już platformę, na której miał stanąć ostatni obóz. Dwie godziny później byli w śpiworach. Pili i odpoczywali przed atakiem.

– Ale blisko ten szczyt! Jutro będzie łatwo! – powiedziała Tamara.

Ale Moro się martwił. Na świecie nie ma tak wielkiej góry jak Nanga Parbat. Są wyższe, ale Nanga jest największa – z bazy na szczyt jest prawie 4000 m przewyższenia, a do tego dołożyć trzeba jeszcze dwa kilometry, które pokonuje się w poziomie. No i Nanga na górze ma jeszcze drugą górę, na którą trzeba wejść. Jeśli chcesz wspiąć się na nią w zimie bez tlenu, to musisz być w pełni zaaklimatyzowany. A oni nie byli. W dodatku tym razem nie zabrał ze sobą podgrzewaczy, tych sterowanych telefonem komórkowym, które testował na drodze Messnerów. Chciał zdobyć szczyt tak, jak się to robiło 30 lat wcześniej, i uniknąć potencjalnych polemik, bo chociażby jego były partner Denis Urubko upierał się, że podgrzewacze zaburzają czystość stylu, a styl dla alpinisty to oczko w głowie.

Najlepsze warunki do ataku miały nadejść kolejnej nocy i trwać przez 27 lutego, ale nie chcieli czekać. Bo trzeba by było spędzić cały dzień w małym namiocie, na wysokości, na której nie da się odpocząć, nawet leżąc cały dzień w śpiworze. Nie da się też nawodnić, bo każdy z nich musiałby wypić przynajmniej pięć-sześć litrów płynu, a stopienie takiej ilości śniegu na tej wysokości jest niemożliwe. Poza tym to musiał być szybki atak, bo nie mieli dobrej aklimatyzacji. Chcieli stanąć na szczycie i zejść z niego jak najniżej, zanim dopadną ich skutki choroby wysokościowej. Stara wspinaczkowa sztuczka – nie jesteś w stanie poradzić sobie z wysokością, to ją przechytrz. Bądź tylko bardzo szybki, bo jeśli sztuczka ci nie wyjdzie, to będzie bardzo źle.

Idealnie byłoby więc chwilę odsapnąć, zagrzać się, napić czegoś i wyruszyć w kierunku szczytu w nocy. Zaoszczędzić te kilka godzin, kiedy słońca jeszcze nie ma, są za to siły, i mieć cały dzień, by bezpiecznie wrócić do namiotu. Tylko że Ali i Alex pamiętają, że rok temu wyszli zbyt wcześnie i przemarzli.

* * *

Atak rozpoczęli 26 lutego o świcie. Wstali o 4 rano. O 6 Ali i Alex wyszli z namiotu. 15–20 minut później w górę ruszyła Tamara. Ostatni był Moro – wyszedł o 6.50. Szli na lekko, nie zabrali ze sobą ani metra liny.

Było zimno. Ok. minus 35, może minus 40 stopni. Wiatr wiał z północnego zachodu z prędkością 35–40 km/godz., obniżając odczuwalną temperaturę do minus 60.

Tamara nie czuła się dobrze. Zwymiotowała śniadanie. Organizm odmawiał przyjęcia choćby kubka herbaty. Próbowwała, ale wszystko lądowało po chwili na śniegu. Czuła, że jej mięśnie są bardzo zmęczone. Powtarzała sobie w myślach: próbuj, powoli, krok po kroku, może będzie lepiej. Ale nie było. Więc prosiła wiatr, żeby przestał im przeszkadzać, ale i ten nie słuchał.

Ali, Alex i Simone zmieniali się na prowadzeniu i w ten sposób cała czwórka dotarła

do wysokości 7650 metrów. Opuścili pola śnieżne i wbili się w skalny trapez. Teren był bardziej stromy, niż się spodziewali. Ali wyrwał w prawo, w stronę skał. Znał tę drogę dobrze, bo tędy wchodził na wierzchołek dwa razy w lecie. Krzyczeli za nim, ale nie posłuchał i poszedł po swojemu. Alex połączył się z bazą i upewnił, że idą dobrze. Igone potwierdziła – kuluar znajdujący się jakieś 50 metrów od drogi Alego miał wyprowadzić ich na wierzchołek. Alex uspokoił się trochę po tej łączności, bo nie chciał popełnić błędu sprzed roku, gdy pomylili drogę.

Zimno uderzyło w nich mocniej na wysokości 7800 metrów. Było coraz bardziej stromo. Ali na szczycie był pierwszy ok. 15. Chwilę po nim na wierzchołek wlaźł Alex, który ze strachu przed odmrożeniem tak mocno koncentrował się na pracy mięśni, oddechach, ruszaniu palcami, że zdziwił się, gdy stanął na szczycie.

Tamara i Simone rozstali się pod szczytem. Ona poczuła, że musi zawrócić. Przez głowę przeszła jej myśl, że jeśli tego nie zrobi, to nie wróci do domu i już nigdy nie zobaczy tych, których kocha.

– Mam siłę, żeby tam wejść. Ale w drodze w dół musielibyście mi pomóc – powiedziała do Simone.

Wiedziała, że taka pomoc jest niemożliwa, bo nie mają liny, robi się coraz później, są zmęczeni, a do obozu daleko. Decyzja o powrocie była dla niej dziwnie prosta. Nie próbowała jej wartościować. Pomyślała, że to nie jest miejsce, żeby się zastanawiać. Simone jeszcze ją namawiał, mówił, żeby spróbowała, ale ona już zdecydowała. Ile jej zabrakło? 60, może 70 metrów. 20–30 minut i zostałyby pierwszą kobietą w historii, która dokonała dziewiczego zimowego wejścia na ośmiotysięcznik. Potem mówiła, że decyzja była kombinacją wiary w Boga, duchowego podejścia do gór i znajomości własnego ciała. Te trzy rzeczy miały sprawić, że ocalała swoje życie, a być może też życie partnerów. Bo co by było, gdyby na szczycie opadła z sił? Jak by ją próbowali ratować?

– Pierwszy raz w swojej wspinaczkowej karierze byłem świadkiem zachowania tak mądrego i etycznego. Gdyby jej się udało, to napisałaby historię. Ale ona myślała o nas. To jedna z najbardziej niesamowitych rzeczy, jakie w życiu widziałem – mówił potem Moro.

Tamara próbowała schować się jeszcze na moment przed wiatrem i zmienić baterie w podgrzewaczach, ale nie była w stanie. Było za zimno, nie odważyła się ściągnąć rękawiczek.

Simone po chwili dołączył do Alexa i Alego. Wyciągnął aparat, zrobili sobie kilka zdjęć. I rozpoczęli zejście. Kilka miesięcy przygotowań, kilkadziesiąt dni w bazie i parę minut na szczycie.

Tamara była już w drodze w dół. Podczas pokonywania jednej ze szczelin poślizgnęła się i zaczęła zjeżdżać. Luźny śnieg zatrzymał ją 200 metrów niżej. Jakimś cudem nic poważnego się jej nie stało.

W namiocie znaleźli się ok. 20. Stopili trochę wody, próbowali się zagrzać. W nocy Tamara miała dreszcze. W dół ruszyli 27 lutego. Poczekali na słońce i zaczęli schodzić o 10.30. W bazie byli siedem godzin później.

Simone Moro został pierwszym człowiekiem w historii, który dokonał czterech pierwszych zimowych wejść na ośmiotysięczniki. Wyprzedził Kukuczkę, Wielickiego i Berbekę.

– Nie czuję się jak bohater. Nie pokonałem nikogo. Niektórzy mówią mi: teraz jestem mocniejszy niż Kukuczka, Wielicki i Berbeka. Gówno prawda. Dopiero teraz, po tym wejściu, w pełni zdałem sobie sprawę, czym mnie zainspirowali. Chciałbym im za to podziękować. To kwestia uczciwości: jeśli chcesz spełnić marzenie, to ktoś musi ci je podsunąć – mówi Moro.

Muhammad Ali jest pierwszym Pakistańczykiem, który wszedł zimą na ośmiotysięcznik. A Alex Txikon pierwszym Baskiem.

Nanga Parbat stała się 13. ośmiotysięcznikiem, który został zdobyty w zimie.
Zostało K2.

ZEJŚCIE

Dominik SZCZEPAŃSKI

Gdy Nanga padła, zaczęły się dziać dziwne rzeczy.

Mackiewicz jeszcze w trakcie ataku szczytowego pisał, że pierwsze zimowe wejście jest nieprawdą, bo nie zgadza się pozycja, którą podawał GPS Alexa Trikona. Producent tłumaczył później, że takie rzeczy się zdarzają, ale Tomek nie wierzył. Nie chciał uwierzyć również w zdjęcia szczytowe i nawet teraz, kilka miesięcy po zdobyciu Nangi, nie pogodził się z tym, że ktoś w końcu stanął w zimie na wierzchołku. Dużo pisze na Facebooku, dyskutuje ze wszystkimi, którzy go o coś pytają, i jedno trzeba mu oddać – jest w tym wszystkim prawdziwy. Tak samo prawdziwy jak każdej zimy, gdy porzucał zwykłe życie i jechał pod Nangę. Gdy zarzekał się, że już tutaj nigdy więcej nie wróci i kończy z himalaizmem. Myślę, że prawdziwy był również wtedy, gdy po kilku dniach zmienił zdanie i uznał, że jednak to jeszcze nie koniec.

„Frustracja nie jest fajna i nie lubimy jej. Ale życie składa się też na takie momenty. Dzielę się z wami szczerze. Wezmę na klatę krytyczne uwagi. Ale zostanę przy swoim” – pisał na Facebooku.

Miał plan na lato – chciał wejść w ciągu jednego sezonu na Gaszerbrum I, Gaszerbrum II, Broad Peak i K2. Partnerką miała być Elisabeth Revol. Zarządził kolejną zbiórkę pieniędzy, ale ta szła średnio. Okazało się, że Elisabeth ma inne plany. Tomek zrezygnował. Nie przestał za to kwestionować pierwszego zimowego wejścia na Nanga Parbat. Pod koniec lipca napisał, że chce wrócić pod Nangę.

Simone Moro mówi, że tym wejściem prawdopodobnie zniszczył życiowe marzenie Tomka.

Moro: – To był prawdopodobnie jeden z powodów, dla których Tomek żył, marzył, ciężko pracował. Pokazał, że więcej niż raz jest w stanie przekroczyć granicę 7000 metrów. Ale Nanga Parbat ma 8125 m. Historia nie jest pisana przez ludzi, którzy docierają do obozu III czy IV. Historia jest pisana przez tych, którzy wchodzą na szczyt. Z jednej strony jest mi więc żal Tomka, ale z drugiej jestem szczęśliwy, że zwyciężył sport, przestrzeganie zasad, ciężki trening. Nie wygrało picie, palenie czy narkotyki. To nie jest deklaracja przeciwko Tomkowi. To słowa skierowane do ludzi, którzy mają marzenia, ale potrafią też dobrze się przygotować. A do tego mają plan i środki, żeby go zrealizować.

Moro trzyma się swoich obietnic – Polacy przygotowują zimową wyprawę na K2, ale Włoch podtrzymuje, że nie weźmie w niej udziału. Powtarza, że teraz czas na wspinanie techniczne na siedmiotysięcznikach, trawersy. A jeśli zima na ośmiotysięczniku, to w grę wchodzi tylko Everest bez tlenu.

Tamara Lunger z uśmiechem na ustach opowiada o wyprawie i sprawia wrażenie osoby, dla której szczyt nie był najważniejszy. Decyzja o zawróceniu nie śni jej się po nocach i nie zatruwa życia.

Muhammad Ali jeszcze w trakcie wyprawy nagrał wideo, na którym mówi,

że Daniele Nardi przez dwa lata nie zapłacił mu ani rupii. Po pierwszym zimowym wejściu Ali odpoczął kilka miesięcy i ruszył w góry, by pomagać komercyjnym wyprawom.

Daniele Nardi po powrocie skupił się na promocji swojego filmu o Nanga Parbat. Mówi, że szczytu nie żałuje. Bardziej żał mu tego, że w jego wyprawie pojawiła się wrogość, która zatruwa alpinizm. Wszystkich, którzy mu kibicowali, przeprosił, ale miło robi mu się, kiedy pomyśli, że po raz kolejny przetrwał zimę pod Nanga Parbat, bo w końcu droga bywa ważniejsza niż cel. A co do sporu z Alexem Txikonem – Nardi wspominał, że sprawę rozstrzygnie sąd.

Alex Txikon mówi, że teraz musi odpocząć od zimy. Nie stać go na zorganizowanie wyprawy na K2, a jeśli dostanie zaproszenie od Polaków, to nie wie, czy je przyjmie. A tak w ogóle, to niewiele się u niego zmieniło. W Hiszpanii, w Kraju Basków, dalej rządzi piłka nożna. Wywiadów może jest więcej, ale sponsorów jak nie było, tak nie ma.

Jacek Czech wrócił do swoich kursantów. Adam Bielecki myśli o kolejnych wyprawach. Czy pojedzie na K2 – sam jeszcze nie wie. Polska zimowa ekspedycja stoi pod znakiem zapytania.

Piotr TOMZA

Gdy Nanga padła, czar prysł. Nawet ja to poczułem, choć przecież nigdy nie konkurowałem o jej względy. Wiedziałem, że dla chłopaków z Nanga Dream „pierwsze zimowe wejście” nie było najważniejszą przyczyną, dla której tam byli i marzli. Wśród nich nie czuło się, że chodzi o wyścig. Kto będzie pierwszy? Ktoś będzie. Nie żeby było to zupełnie bez znaczenia, ale istniało co najmniej kilka lepszych powodów, by od listopada aż do lutego siedzieć tam, a nie w domu. A jednak inni weszli i sen się skończył. Nie dało się temu zaprzeczyć. Czy po 26 lutego widoki stały się mniej oszałamiające? Albo: czy Nanga oddaliła się od epicentrum mocy wszechświata? Jakkolwiek dziwna, odpowiedź była jednoznaczna.

Tak.

Nie rozumiałem, dlaczego tak jest, ale to było bezsporne.

W poniedziałek 22 lutego Marek wysłał z Irlandii maila z prognozą. Wyglądało to zbyt pięknie, by mogło być prawdą. Ale było. Przez cały tydzień, nieprzerwanie, aż do soboty – słońce. Napisał tylko: „Ale pogoda!”. A potem, już po, na facebookowym profilu wyprawy: „Fajnie zleciało sześć lat z głową w chmurach. Gratuluję zdobywcom pierwszego wejścia i zazdroszczę oczywiście radochy. J4A [Justice for All]. Nic się nie zmienia”.

Zależy dla kogo. Pablo powiedział, że w jednej chwili jego życiowe plany legły w gruzach, a Dziubas, że sens straciły treningi. Natomiast Dzik po kilku tygodniach przysłał maila. Że tęskni.

Kudłaty: – Pierwsze odczucia? Jakby ktoś zatańczył ostatni taniec z dziewczyną, która mi się podobała. No, rozczarowanko. Chwilę później pomyślałem o tym, żeby ekipa w komplecie zeszła do bazy. A co potem? Telefony. Pabla to rozłożyło: „Kudłaty, gdybyś był tutaj dziś w Białymstoku, upiłbym się z tobą”. A trzeba wiedzieć, że Pablo w ogóle nie pije. Nie wiem, o co w tym chodzi. Może trzeba mieć jakąś dziwną

modyfikację genetyczną, która pozwala czerpać przyjemność z ekstremów występujących zimą w górach? A może jest to w nas tak zwyczajnie, po prostu – z pasji do życia, z potrzeby przebywania w przestrzeni niezmaconej konsumpcją i pędem niewiadomo-dokąd? Myślę, że kiedy twoja stopa chociaż raz zostawi ślad na śniegu tam wysoko, w tym magicznym królestwie, gdzie błękit nieba jest na wyciągnięcie ręki, a piękno natury można spotkać w jego najczystszej formie, już zawsze będziesz pragnął tam wrócić. Do zobaczenia, bąble, nie tylko w górach.

PODZIĘKOWANIA

Nie miałem sponsorów, za to mam kolegów. Tak jest lepiej. Dziękuję • chłopakom z Nanga Dream, za ugoszczenie mnie w Lattabo i wspaniałą przygodę, o której z dumą opowiadam mojemu synowi. W szczególności • Markowi Klonowskiemu, bo bez rozmowy z nim kilka lat temu na Kolosach nie byłoby o czym gadać, i • Michałowi Dzikowskiemu, za to, że zmobilizował mnie do wyjazdu (no i za ten niesamowity tydzień po Nandze, w Karaczi). Poza tym dziękuję • chłopakom z Tarashing – Abbasowi, Szabirowi i Manafowi – za to, że się mną zaopiekowali, • Zbyszkowi Sasowi, za to, że jest, że zawsze mogę do niego zadzwonić i że mi pożyczył pieniądze, • Krzysiówi Starkowi, za to, że mnie przebrał za himalaistę, poświęcił czas i dał mnóstwo cennych wskazówek, • Łukaszowi Romanowskiemu – za buty, • Dominikowi Szczepańskiemu, bo ochoczo podzielił się ze mną tematem na książkę i cierpliwie zniósł to, że pracuję dużo wolniej od niego, oraz • Andrzejowi Sikorze („każdy ma swoją ścianę Rupal”), bo jest moim przyjacielem.

Dziękuję też kobietom: • Kamili Kielar, bo gdyby mnie nie lubiła, nie pożyczyłbym od Łukasza butów, oraz • Celinie.

Piotr Tomza

Dziękuję:

• Wojtkowi Fuskowi, do którego przyszedłem z pomysłem wyjazdu na Nangę, a on uwierzył i znalazł na to pieniądze. • The North Face i Pajak Sport, którzy w ekspresowym tempie znaleźli dla mnie trochę sprzętu. • Piotrkowi Tomzie, od którego uczę się spokoju. • Mir Ghaniemu, najszczerzej osobie pod Nangą. Ostatnio zadzwonił do mnie i życzył dobrych wakacji. • M., najodważniejszej osobie, jaką znam. Jeszcze raz dziękuję za tę harmonijkę.

Dominik Szczepański

STRONA RUPAL



1. **JAMMING**
(Bob Marley)
2. **EVERYTHING**
(Anathema)
3. **NA SZCZYZIE**
(GrubSon)
4. **SHE'S LOST CONTROL**
(Joy Division)
5. **RIVERSIDE**
(Agnes Obel)
6. **HANG ME UP TO DRY**
(Cold War Kids)
7. **MASS DESTRUCTION**
(Faithless)
8. **CREDO** (Włochaty)
9. **BULLET IN THE HEAD**
(Rage Against the Machine)
10. **GO YOUR OWN WAY**
(Fleetwood Mac)

- 1. BEYOND THE HORIZON**
(Screaming Trees)
- 2. ONE OF THESE DAYS**
(Pink Floyd)
- 3. FEARLESS**
(Pink Floyd)
- 4. KING WITHOUT A CROWN**
(Matisyahu)
- 5. KOSMOS**
(Wieże Fabryk)
- 6. SAN TROPEZ**
(Pink Floyd)

STRONA DIAMIR



PRZYPISY

- [1] Przez pierwsze dwa tygodnie w wyprawie towarzyszył im Adrian Kutarba.
- [2] Bob Marley & The Wailers *Jamming*.
- [3] Malowniczo opisał go Jon Krakauer w jednym ze swoich reportaży zebranych w zbiorze *Eiger wyśniony* (tłum. Janusz Ochab, Warszawa 2010). Gill mówi tam na przykład: „Bouldering tak naprawdę nie jest sportem. To aktywność wspinaczkowa z metafizycznymi, mistycznymi i filozoficznymi podtekstami” [s. 38].
- [4] Wojciech Kurtyka, *Chiński maharadża*, Kraków 2013, s. 56.
- [5] Tomek Mackiewicz, w wywiadzie, którego wiosną 2014 roku udzielił Dominikowi Szczepańskiemu, tak opisywał tę sytuację: „Chłopaki opowiadali, że Simone i David [Göttler] byli w tragicznym stanie, roztrzęsieni, zmarznięci, bo się za cienko ubrali. Ja w kombinezonie, a oni w lajkrach i cieniutkich goretexowych kurtkach. Nie mieli ze sobą ani śpiwora, ani karimaty, bo wszystko było w obozie III. Nie zakładali, że im się nie uda tam dojść. Simone dostał od chłopaków herbatę. Rzeczywiście, kubki nie były czyste, bo gotowaliśmy w nich wszystko jak leciało. Simone jest bardzo wyczulony na punkcie czystości. Może się struł albo był chory, bo dopadł go jakiś wirus. Musiał zostać w jaskini, Jacek Teler oddał mu śpiwór”, http://off.sport.pl/off/1,111379,15896538,Tomasz_Mackiewicz__Wracam_za_rok_na_Nang
- [6] Włochaty *Credo*.
- [7] Agnes Obel *Riverside*.
- [8] Cold War Kids *Hang Me Up to Dry*.
- [9] Rage Against the Machine *Bullet in the Head*.
- [10] Max von Kienlin, *Śmierć na Nanga Parbat*, tłum. Małgorzata Słabicka, Wrocław 2004, s. 35.
- [11] Jw., s. 44.
- [12] Jw., s. 47.
- [13] Fritz Bechtold, *Deutsche am Nanga Parbat*, Monachium 1935. Krzysioowi Starkowi dziękuję za jej udostępnienie.
- [14] <http://www.klonu.pl/a1.html>
- [15] Oba fragmenty pochodzą z wydanego dziesięć lat temu pamiętnika Klonowskiego pt. *Moje buty. Rowerem na Kaukaz, stopem na Alaskę*, Gryfino 2006, s. 57 i 59.
- [16] Jw., s. 9.
- [17] Jw., s. 22.
- [18] Faithless *Mass Destruction*.
- [19] Podczas tamtej wyprawy z 1977 roku miało miejsce jeszcze jedno zdarzenie zaplatające losy Kukuczki i Messnera. Przy górnej krawędzi rynny Merkla polscy wspinacze znaleźli latarkę. Jak napisał Marek Pronobis w relacji opublikowanej

w „Taterniku” (nr 3/1978): *prawdopodobnie zgubioną przez braci Messnerów*. W 1979 roku, schodząc z Lhotse, Kukuczka spotkał Reinholda Messnera i wspomniał mu o znalezisku. Ten, wyraźnie tym poruszony, miał odpowiedzieć: – *Siedem lat wcześniej od ściany południowej doszliśmy do tej przełęczy z bratem, który wtedy zginął w czasie zejścia. To musiała być jego latarka. Akurat tam zmieniał baterię (...)* Wdzięczny ci będę, jeżeli znajdziesz tę latarkę. *Pamiętka po bracie, rozumiesz* (za: Jerzy Kukuczka, *Mój pionowy świat*, Katowice 2014, s. 28).

[20] <http://piotrpuustelnik.wspinianie.pl/blog/2011/06/14/napierdalanka-na-kangchu/>. Rok później napisał o niej jeszcze raz, tutaj: <http://piotrpuustelnik.wspinianie.pl/blog/2012/04/24/cleo-comes-back/>

[21] <http://wspinianie.pl/2016/01/nanga-parbat-cleo-weidlich/>

[22] Fleetwood Mac *Go Your Own Way*.

[23] Anathema *Everything*.

[24] Screaming Trees *Beyond the Horizon*.

[25] Pink Floyd *One of These Days*.

[26] Pink Floyd *Fearless*.

[27] Matisyahu *King without a crown*.

[28] Wieże Fabryk *Kosmos*.

[29] Pink Floyd *San Tropez*.